

PRZEGLĄD

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

NOWOTOMYSKI



NR 3

LIPIEC - WRZESIEŃ

2007

PRZEGŁĄD NOWOTOMYSKI

KWARTALNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

pod patronatem

NOWOTOMYSKIEGO

TOWARZYSTWA KULTURALNEGO

Nr 3/2007

Cena 8 zł

RADA PROGRAMOWA:

Lucyna Kończal-Gnap

Marzena Kortus

Maria Tyszkowska

Andrzej Wałęsa

Tomasz Wlekły

Bogumił Wojcieszak

Ewa Wojtanowska

REDAKCJA:

Lucyna Kończal-Gnap

Sylwia Kupiec

Izabela Putz

Bogumił Wojcieszak

Adres redakcji:

ul. Witosza 8

64-300 Nowy Tomyśl

tel. (061) 44 21 270

e-mail: info@bibiotekant.pl

Wydawca:

Oficina Wydawnicza **Opalgraf**

64-330 Opalenica, ul. Łąkowa 3

tel. (061) 447 58 58

e-mail: opalgraf@tosa.pl

Prenumerata, kolportaż i reklama:

tel./fax (061) 447 58 58

e-mail: opalgraf@tosa.pl

Opracowanie graficzne[®], skład i druk

Opalgraf Opalenica

Na okładce:

Zofia Nitsche, bohaterka działu „Nowotomyskanie znani i mniej znani”, w wieku maturalnym.

Spis treści

Z PRZESZŁOŚCI

Arno Kraft, Jan Jakub Flatau – w 150. lecie honorowego obywatelstwa Nowego Tomysła	3
Izabela Putz, Nasza drynda. Ze wspomnień Jerzego Tomysa	10

TU I TERAZ

Lidia Gałęcka, „Zawsze wiedziałem, co chcę robić...” – wywiad z Krzysztofem Kromą	16
Ewa Wojtanowska, Jeden świat - jedno przyrzeczenie	20
Andrzej Wałęsa, 45 lat Delegatury Automobilkłubu Wielkopolski – rozmowa z Marianem Czajką	25
Marzena Kortus, Jarmark Chmielo - Wikliniarski ma już trzydzieści lat	31

NASZE ŚRODOWISKO

Tadeusz Szymański, Przyrodnicze i organizacyjne uwarunkowania nadleśnictwa Bolewice w ujęciu historycznym	44
Edmund Żurek, Pomniki przyrody w mieście i gminie Nowy Tomysł	54

NOWOTOMYŚLANIE ZNANI I MNIEJ ZNANI

Sylvia Kupiec, O ludziach, czasach, obyczajach – i najmniej o sobie – opowiada Zofia Nitsche	63
---	----

ODCZYTANE NA NOWO...

Ks. Adam Radomski, Ks. Michał Kosicki (1901 - 1981)	90
Dr Zdzisław Kościański, Pamiętajmy o uczestnikach Poznańskiego Czerwca	93

WOKÓŁ NAS

Ewa Wojtanowska, „... Tylko koni żal ...”	96
Tomasz Andrzejewski, Motocyklowe spotkania Opalenica - Sielinko 2007	102
Izabela Putz, Powiatowe Dożynki we Lwówku	106

Z TEKŁ... Ewy Łodygi

Wewnętrzne, duchowe, tajemnicze... ..	108
---------------------------------------	-----

Z DZIAŁALNOŚCI NTK

Lucyna Kończal - Gnap, O Wiklinowy Laur (III)	112
---	-----

KRONIKA WYDARZEŃ

Lipiec - wrzesień 2007	112
------------------------------	-----

Autorzy „Przeglądu Nowotomyskiego”	135
--	-----

Z PRZESZŁOŚCI...

Arno Kraft

Jan Jakub Flatau –

w 150. lecie honorowego obywatelstwa Nowego Tomyśla

Do rozpowszechnienia uprawy chmielu na naszym terenie przyczynił się szczególnie Józef Jakub Flatau (1808-87). Uznał on, że na piaszczystych i bagiennych gruntach okolic Nowego Tomyśla uprawa chmielu może być niezwykle korzystna, przede wszystkim ze względów ekonomicznych. Swój późniejszy rozkwit Nowy Tomyśl zawdzięczał przede wszystkim uprawie chmielu w okolicznych olędрах i związanemu z nią handlowi chmielem. Za zasługi dla rozwoju Nowego Tomyśla 1 V 1858 r. Jan Jakub Flatau otrzymał tytuł honorowego obywatela miasta. Czy Nowy Tomyśl uczci pamięć swego wybitnego mieszkańca, korzystając z okazji 150. lecia nadaniu mu honorowego obywatelstwa? Poniżej publikujemy tekst poświęcony twórcy nowotomyskiego chmielarstwa pióra nowotomyślanina i berlińczyka – Arno Krafra.

Po zwycięstwie biskupa poznańskiego Andrzeja Opalińskiego nad władcą-odszczepieńcem Zbąszynia w roku 1440 tamtejsi husyci i ich zwolennicy ukryli się w lasach na południowy-wschód od miasta.. Z czasem na tym niedostępny teren posiadłości zbąszyńskich powstały dwie nowe rozproszone osady. Czescy osadnicy uprawiali także tutaj chmiel, który znali z własnej ojczyzny i produkowali proste piwo.

Po wojnie 30-letniej przybyli na te tereny uciekający przed prześladowaniami religijnymi mieszkańcy Śląska wyznania ewangelickiego. Ówczesny właściciel sąsiednich posiadłości Tomyśl - Bogusław von Unruh - przekazał tym uciekinierom ziemię do osiedlenia się w ich południowo-zachodniej części.

Trochę później nowi właściciele posiadłości zbąszyńskich – Garczyńscy osiedlili niemieckich chłopów wyznania protestanckiego na wschód od wsi Boruja i w lesie koło Jastrzębska.

Umiejętność uprawy chmielu rozpowszechniła się wkrótce także wśród olędrow na terenach położonych dalej na wschód i także oni zaczęli uprawiać chmiel. Wilgotna i uboga w wapń gleba nadawała się dobrze do uprawy tej rośliny. Chmiel był jednak mało znany i nie był w związku z tym towarem handlowym, lecz przede wszystkim używany był na własne potrzeby i kupowany przez innych rolników, którzy ze względu na właściwości ich ziemi nie mogli go uprawiać. Na własne potrzeby produkowali jednak do domowego spożycia piwo z niską zawartością alkoholu. W kilku okolicznych miastach istniały już jednak browary, które potrzebowały chmiel w dużych ilościach i kupowały go od plantatorów. Ważna przy tym była dobra woda, która znajdowała się np. w Grodzisku i dlatego tutaj już wcześniej działały liczne browary.

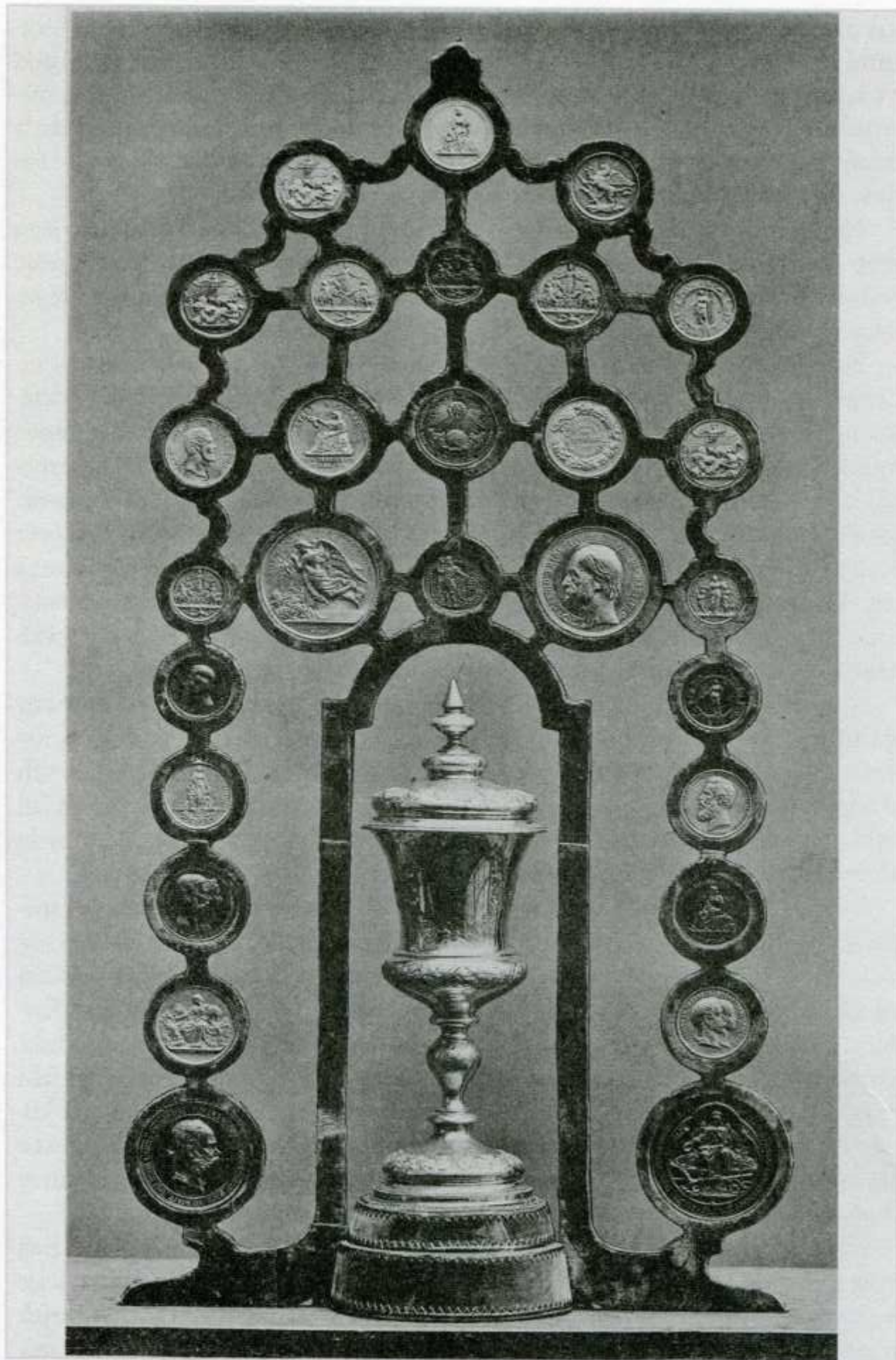
Kampania rosyjska Napoleona sprawiła, że w okolicy pojawili się ludzie obcych narodowości i w ten sposób fakt, że w okolicy Nowego Tomysła uprawia się chmiel stał się bardziej znany w Europie i wkrótce z dalekich stron zaczęli przybywać handlarze, aby zakupić tutaj tanio chmiel, który potem mieszało z czeskim lub bawarskim i uzyskiwali w ten sposób duże zyski przy dalszej sprzedaży.

Ten sposób handlu istniał tak długo jak o nowotomyski chmiel troszczył się Józef Jakub Flatau.

Urodził się on 15 października 1812 r. w Poznaniu i dorastał w bogatej rodzinie żydowskich kupców. On sam także został kupcem i podjął w tym charakterze wiele podróży do innych krajów Europy. Jego rodzina, podobnie jak sam Flatau, zajmowała się handlem produktami rolnymi. Flatau dysponował obszerną wiedzą i był bardzo ambitny. W trakcie pewnej podróży zagranicznej trafił także do Belgii, gdzie zetknął się z browarnictwem i stosowanymi w nim surowcami. Zdziwiły go wysokie ceny, jakie browary płaciły za chmiel, ponieważ wiedział, ile kosztuje chmiel na ziemi nowotomyskiej, niedaleko rodzinnego miasta Poznania. Słyszał także o tym, że przebiegli handlarze zarabiają dużo pieniędzy sprzedając zmieszany chmiel. Był także dobrym ekonomistą i wiedział doskonale, że nie tylko biednym chłopom z Prowincji Poznań, ale także państwu pruskiemu uciekają w ten sposób duże dochody. Nie mógł znieść tej sytuacji i dlatego postanowił przeciwdziałać.

Dlaczego chłopci mieszkający wokół młodego miasta Nowy Tomysł nie mogliby uprawiać dobrej jakości chmielu dla browarów w Prusach i poza jego granicami? Jego jakość nie mogła być przecież zła, jeśli oszustwo związane z jego mieszaniem dotychczas nie zostało odkryte. Jeśli w niektórych miejscach niefachowa uprawa doprowadziła do degeneracji tej rośliny, to należy zastosować nowe sadzonki. Jeśli nie można ich zdobyć w okolicy, należy sprowadzić je z dalszych regionów. W ten sposób myślał Flatau, który w czasie swoich podróży miał już kontakt z plantacjami i plantatorami chmielu.

W roku 1837 Flatau wizytował nowotomyskie tereny uprawy chmielu i stwierdził, jaki jest stan faktyczny. Miał wtedy dopiero 25 lat, ale dysponował



Flatau wysłał nowotomyski chmiel na wiele wystaw, a zdobyte tam medale podarował miastu...

już obszerną wiedzą na ten temat. Dzięki dobrym kontaktom z przedsiębiorcami za granicą udało mu się w następnych latach sprowadzić sadzonki z tradycyjnych terenów uprawy chmielu w Bawarii i w Czechach. Poprzez nieustrudzoną pracę na miejscu i praktyczne prezentacje oraz niezliczone wykłady udało mu się pozyskać plantatorów do swoich zamiarów. Jakość plantacji i ich ilość zwiększały się z roku na rok.

Flatau troszczył się nie tylko o produkcję dobrego chmielu, ale także o jego zbytność. Wierny prawdziwym zasadom gospodarki rozwijał swoją działalność w dwóch kierunkach: uzasadniał racjonalną uprawę chmielu, stworzył uregulowany handel chmielem.

Dzięki swemu kupieckiemu doświadczeniu i sprytowi oraz zdobytej obszernej wiedzy z zakresu rolnictwa te dwie postawowe zasady wcielił w życie. Szczęście dla nowotomyskich chmielarzy był fakt, że ten ambitny i bezinteresowny człowiek zainteresował się gospodarką w tamtych czasach ubogiej i nieznannej ziemi. Jej w znakomitej większości drobni właściciele bogacili się coraz bardziej, a miasteczko, o którym dotychczas nikt nie słyszał, stawało się coraz bardziej znane jako centrum handlu chmielem. Państwo pruskie miało też z tego korzyści ekonomiczne, ponieważ pieniądze trafiały do dotychczas zacofanego regionu, a z drugiej strony nie tylko oszczędzało dewizy na import ważnego dla browarów surowca, lecz nawet zarabiało na jego eksporcie.

Najpierw należało jednak postarać się o to, aby ten chmiel stał się znany w Europie. Flatau wiedział, że najlepszą drogą do osiągnięcia tego celu są wystawy i targi, więc wysyłał próbki towaru na wiele imprez handlowych w Niemczech i w całej Europie. Tam i na spotkaniach fachowców prowadził wykłady wzbogacone materiałem poglądowym. Chmiel z Nowego Tomysła zdobywał coraz częściej na wystawach dyplomy i medale za swoją jakość.

Z czasem chmiel nowotomyski stał się pojęciem znanym wśród kupców i specjalistów w tej branży nie tylko w Europie, a owoce zaangażowania Flatau stały się widoczne także w Nowym Tomyslu. Jesienią na chmielne żniwa do tego młodego, małego miasta przybywali kupcy nawet z odległych zakątków Niemiec. Płacili teraz więcej za chmiel, ponieważ byli pewni, że nabywają produkt o uznanej jakości, który sprzedadzą dalej z zyskiem. Dla plantatorów chmielu i gospodarki całej okolicy Nowego Tomysła wielkim szczęściem był fakt, że kupiec Flatau poświęcił się tej dziedzinie produkcji rolniczej. Zaangażował w to nie tylko swoją wiedzę, lecz także swój majątek. Sam w swojej broszurze *O uprawie chmielu* wypowiadał się w następujący sposób:

Uprawa chmielu wokół Nowego Tomysła prowadzona jest prawie wyłącznie przez drobnych plantatorów, którzy nie mają kontaktu z światowym rynkiem, więc ja starałem się informować miejscowych producentów o wynikach żniw chmielnych za granicą, a zagranicę o rezultatach żniw w okolicy Nowego Tomysła. Dzięki moim staraniom udało się - co uznali także producenci - uzyskać wzrost ceny do 160 talarów (za 1 kwintal).



Nagrobek Jana Jakuba Flataua na cmentarzu żydowskim w Berlinie



Król kupców berlińskich – Hermann Tietz, który dobrze znał Flataua, pisał o nim później w swoim wydanym w roku 1868 r. szkicu biograficznym: *W tym stwierdzeniu objawia się genialny umysł podobnie jak dusza i prawdziwie ludzki sposób myślenia i działania Flataua i charakteryzuje dostatecznie bezinteresowność jego dążeń.*

Sto sześćdziesiąt talarów było oczywiście maksymalną ceną, którą mógł uzyskać szybkim działaniem tylko mądry kupiec. W swoim czasopiśmie fachowym sam pisał: *Wiedząc z doświadczenia, że amerykański chmiel musi spowodować obniżenie ceny, pozostało nam przyspieszenie sprzedaży chmielu nowotomyskiego, zanim chmiel amerykański trafi na stały ląd, na co potrzebnych było sześć tygodni po żniwach. Udało mi się to, ponieważ w ciągu sześciu tygodni po żniwach plantatorzy pozbyli się produktu (w Nowym Tomysłu). Pozostały zapas w okolicy Nowego Tomysła liczył tylko jeszcze 2000 kwintali, które (teraz) musiały zostać sprzedane taniej, natomiast 18000 kwintali zostało (drogo) sprzedanych.*

Starosta Nowego Tomysła von Saher w swoim wydawnictwie: *Praktyczna uprawa i handel chmielem w roku 1862* pisał:

Dla nowotomyskiego chmielu pojawienie się kupca Józefa Jakuba Flataua w roku 1837 było wielkim sukcesem. Nie tylko rozpoznał jakość produkowanego w okolicach Nowego Tomysła chmielu, ale także bezinteresownie i ofiarnie starał się doprowadzić do zwiększenia produkcji i spowodować możliwą jeszcze poprawę jakości towaru. Pod względem rolniczym jak również naukowym, wprowadzając zagraniczne sadzonki, szkoląc w zakresie agrokultury i wprowadzając ten produkt na światowe rynki bankier Flatau, mieszkający obecnie w Berlinie, miał wielkie zasługi dla nowotomyskiego chmielu.

Nie dziwi więc fakt, że w dniu 1 maja 1858 roku miasto wręczyło mu dyplom przyznający godność honorowego obywatela Nowego Tomysła.

Dzięki jego działalności obywatele tego małego miasta podnieśli swój poziom zamożności, podobnie zeresztą jak rolnicy w całej okolicy.

Właściciel domu towarowego Hermann Tietz informuje, na podstawie danych Flataua, że około roku 1860 plantacje chmielu wokół Nowego Tomysła obejmowały 6000 mórg (1500 ha) a korzyści z jego uprawy czerpało w tej okolicy ok. 20 000 osób.

To wszystko osiągnął Flatau bez pomocy finansowej państwa. Nadprezydent Prowincji Poznań zdecydował 12 czerwca 1849 roku, że w Nowym Tomysłu może odbywać się każdorazowo jesienią w trzy kolejne dni targ chmielny. Pierwszy oficjalny targ ustalono na okres od 9 do 11 października 1849 r.

Obok sukcesów w ulepszaniu jakości nowotomyskiego chmielu, która już nie odbiegała od jakości chmielu pochodzącego z tradycyjnych obszarów uprawy oraz dobrych wyników ekonomicznych, których efektem było uzyskanie wysokich cen dla nowotomyskiego chmielu, Flatau zajmował się także zwalczaniem chorób zagrażających tym roślinom, a nawet próbował sterować wpływem pogody na jego uprawę, zalecając stosowanie roślinności chroniącej

przed surowymi wiatrami. Poza tym zajmował się także zasadami prawidłowego magazynowania i transportu oraz eksperymentował w celu zwiększenia wytrzymałości delikatnych baldaszków. Ponieważ zbiory mogły także ucierpieć na skutek niepogody i szkodników, możliwa była nawet utrata całych zbiorów. W tym przypadku można było zastosować także stare produkty. Z biegiem lat Flatau stał się wybitnym specjalistą, a jego rady były bardzo wysoko cenione.

W roku 1853 otrzymał od nowotomyskich plantatorów chmielu długi list dziękczynny, w którym uhonorowano zasługi i sukcesy ostatnich 15 lat jego pracy na rzecz nowotomyskiego chmielarstwa. W roku 1864 obywatele miasta wręczyli mu w Berlinie srebrny puchar jako honorową nagrodę z napisem: *Mieszkaństwo Nowego Tomysła w dniu 19 maja 1864 swemu honorowemu obywatelowi - panu Józefowi Jakubowi Flatau w uznaniu jego niestrudzonych, bezinteresownych i błogosławionych starań w zakresie promocji uprawy chmielu.*

Nie jest możliwe wyliczenie wszystkich jego zaszczytów, dyplomów i medali, które otrzymał w kraju i za granicą za swoje zasługi dla uprawy chmielu. Były wśród nich dowody uznania z takich miast jak Praga, Wiedeń, Paryż, Londyn, a nawet z Columbii (Ohio), aby wymienić tylko kilka zagranicznych miejscowości.

W roku 1873 Flatau, w związku ze zbliżającą się wystawą światową we Wiedniu, umieścił w czasopiśmie *Wiadomości o chmielu z Nowego Tomysła* listę godności z ostatnich 10 lat, wymieniając ich łącznie 45. W tym samym piśmie wymienił także najbardziej znaczących plantatorów chmielu oraz kupców tego towaru z Nowego Tomysła i okolic.

W Berlinie, gdzie zamieszkał po opuszczeniu Nowego Tomysła, był Flatau szanowanym członkiem wielkiej gminy żydowskiej. W swojej synagodze otrzymał honorowe miejsce z tabliczką, na której umieszczono napis: *Józef Jakub Flatau z Poznania i honorowy obywatel Nowego Tomysła.*

U schyłku życia mieszkał przy Ritterstrasse 81. Flatau von Hopfenfeld, jak go nazywał Tietz w swojej biografii, zmarł 28 lutego 1887 roku i został pochowany na cmentarzu żydowskim, na Alei Schönhauser obok miejsca pochówku bogatej i wpływowej rodziny Manheim, a grób jego można odwiedzać jeszcze dzisiaj!

Miastu Nowy Tomyśl zapisał przed swoją śmiercią otrzymane na różnych wystawach medale i nagrody honorowe oraz dużą część pism i książek o uprawie chmielu.

Foto: Arno Kraft

Tłumaczenie: Jacek Gawron

Nasza drynda...

... ze wspomnień Jerzego Tomysa

Bohaterką publikowanych poniżej wspomnień jest **drynda**, zamknięty kołowy pojazd konny, używany do przewozu pasażerów, obsługiwanych według ustalonego rozkładu jazdy. Był to pojazd napędzany najczęściej dwukonnym silnikiem na owies. W krajobraz i historię Nowego Tomysła drynda zaczęła się wpisywać najpewniej wtedy, gdy w odległości 1,5 km od centrum miasta powstał dworzec kolejowy. Nasza opowieść dotyczy jednak znacznie późniejszych czasów...

Mój ojciec Wawrzyn mieszkał w Nowym Tomysłu od 1925 roku i zaraz po wojnie pracował w przedsiębiorstwie budowlanym jako magazynier. Firma ta zmieniła siedzibę i ojciec został bez pracy. Wpadł więc na pomysł, żeby zająć się transportem konnym. Kiedyś nie było komunikacji miejskiej, takiej ilości samochodów jak obecnie, więc w 1954 roku zajęliśmy się dowozem ludzi na stację kolejową. Miałem wówczas 13 lat. Ojciec kupił dryndę w Buku u pani Krzyżakowej (drugą taką po latach kupił od niej pan Dura ze Zbąszynia). Byłem dumny, gdyż pełniłem rolę kasjera. Najpierw bilety kosztowały 50 groszy, a później zdrożały do 1 zł.

Nasz omnibus ozdobiony był reklamami nowotomyskich sklepów. Drynda prezentowała się bardzo ładnie, była oświetlona na zewnątrz i w środku. Wewnątrz były ustawione dwie długie ławki, a wejście było z tyłu. Mieściło się w niej 60 osób, choć pasażerowie nawet na schodkach stali.

Właściwy przystanek znajdował się na placu Chopina, ale zatrzymywaliśmy się też na żądanie i wielu chętnych zabieraliśmy po drodze. Mieliśmy 6 koni na zmianę. Jeździliśmy od 5.00 do 22.00, a oprócz tego odbieraliśmy pasażerów z nocnego pociągu, który przyjeżdżał o godz. 24.00. Dlatego też mieliśmy zmianę koni i wszystkie posiadały atesty – dowody tożsamości konia. Nasze konie pochodziły z ośrodka szkoleniowego w Porażynie: były bułanki, siwki, gniade i kare.

Największe przeciążenie było rano i po południu, gdy ludzie z pracy wracali. Woziliśmy też towary z pociągów, np. ryby, drożdże i rozwoziliśmy je po sklepach. Jeździliśmy dryndą do 1966 roku.



Taka drynda jeździła po Nowym Tomysłu w latach 50. i 60. XX w.



Rodzina Tomysów przed domem na obecnej ul. Piłsudskiego

Pewnie jeździlibyśmy dalej, ale nastał czas, gdy wprowadzono komunikację miejską. Ludzie skarżyli się, że autobus się spóźnia, a my słynęliśmy z tego, że zawsze byliśmy punktualni. Po wprowadzeniu autobusu miejskiego jeździliśmy już tylko po towary: do biblioteki woźiliśmy koks, dla ludności węgla, lekarstwa do szpitala i apteki, a nawet rozładowywaliśmy wagony kolejowe.

Do 1971 roku interes prowadził ojciec, przejąłem go, gdy ojciec poszedł na rentę. Nigdy nie pracowałem w żadnej firmie państwowej. Miałem umowę ze Spółdzielnią Ogrodniczą, rozwoziłem owoce i warzywa do sklepów. Sam zbudowałem wóz do wożenia warzyw i węgla oraz innych towarów. Pracowałem do 1991 roku.

Wspomnienia Jerzego Tomysa spisała Izabela Putz

Dzisiaj w Nowym Tomyslu i okolicach znów można zobaczyć zaprzęganą końmi dryndę. Należy ona do Piotra Waberskiego, właściciela gospodarstwa agroturystycznego „Chata pod Żurawiem” w Glininie. – Zdecydowałem się na zakup dryndy w 2006 r. W tej chwili obsługuję szkoły, firmy i osoby prywatne. Często też obwożę gości hotelowych po obrzeżach Nowego Tomysla i innych urokliwych miejscach.



Dzisiaj Piotr Waberski ożywia wspomnienie dawnej dryndy...

Foto: archiwum rodzinne p. Jerzego Tomysa (fot. 1,2) Izabela Putz (fot. 3)

TU I TERAZ

Lidia Gałęcka

„Zawsze wiedziałem, co chcę robić...” – wywiad z Krzysztofem Kromą

Nazwisko Kroma znane jest większości mieszkańców Nowego Tomysła i okolic. Od wielu lat Pańska rodzina, obecnie również Pan, z powodzeniem prowadzi zakłady, najogólniej rzecz ujmując stolarskie. Czy to, czym się Pan dzisiaj zajmuje jest podtrzymaniem rodzinnej tradycji?

Z całą pewnością tak, ale muszę dodać, że był to też mój świadomy wybór. Od zawsze wiedziałem, co chcę robić i konsekwentnie do tego dążyłem – taka postawa bardzo pomaga w realizacji życiowych postanowień.

Kult pracy wyniosłem z domu. W czasie wolnym, dłużej w czasie wakacji, pracowałem w zakładzie ojca, mogłem więc poznać trudy pracy, jej efekt i korzyści, jakie przynosi. W zasadzie tylko przez kilka lat po ukończeniu studiów na politechnice pracowałem w gorzowskim Ursusie, później w nowotomyskiej Chifie. W połowie lat 80. zbudowałem własny zakład na ulicy Kościuszki, zacząłem pracować na własny rachunek i tym sposobem stałem się także kontynuatorem rodzinnych tradycji.

Pozwoli Pan, że pozostaniemy jeszcze przez chwilę w kręgu wspomnień. Czy chciałby Pan opowiedzieć czytelnikom PRZEGŁĄDU NOWOTOMYSKIEGO o początkach rodzinnej działalności.

Spróbuję, musimy cofnąć się o prawie sto lat, prekursorem rodzinnej firmy był mój pradziadek, a zakład który zbudował był typową stolarnią. Po nim, niestety krótko, prowadził firmę dziadek Roman, a od lat 30. XX wieku mój ojciec Ludwik. Tak było do 1939 roku. W czasie wojny ojciec wyjechał do Generalnej Gubernii. Pracował w zakładzie produkującym trumny, był to smutny wymóg okrutnych czasów. Po wojnie wrócił na ojcowiznę i prowadził zakład wspólnie z bratem – Stefanem na ulicy Ogrodowej w Nowym Tomysłu. W latach 50. rozdzielili się i mój ojciec wybudował własną stolarnię na ulicy Armii Czerwonej (obecnie Piłsudskiego). Wuj Stefan produkował meble, natomiast ojciec

głównie stolarkę otworową, czyli drzwi i okna. Mogę dodać, że mimo ukończonych 83 lat cieszy się wspaniałym zdrowiem, jest nadal czynny zawodowo i jest prawdziwym tytanem pracy, z której czerpie wiele satysfakcji.

A jakie były początki Pańskiej działalności gospodarczej?

Jak już powiedziałem, w latach 80. zacząłem rozwijać własną działalność gospodarczą. Początkowo był to niewielki zakład, w którym pracowałem sam, a później zatrudniłem w nim kilku pracowników. W 1986 roku wyjechałem za granicę, do Danii i Niemiec. Pracowałem tam, podglądałem co i jak się produkuje w interesującej mnie branży. Podjąłem też wtedy mocne postanowienie, że w moim zakładzie będę produkował to, co produkuje się w poznanych firmach, sprzedawał to, co można kupić w zachodnich sklepach. Nawiązałem kontakt z duńską firmą w Surballe i tak zaczęła się moja współpraca z jedną, a z czasem i innymi firmami duńskimi, holenderskimi i niemieckimi. Nasze kontakty obejmują dzisiaj ok. 20 kontrahentów głównie z Europy Zachodniej. W 1990 roku powstała spółka cywilna, którą założyłem z bratem Władysławem. Lata 90. to czas inwestycji i szybkiego rozwoju firmy. Zakład na ulicy Kościuszki okazał się zbyt mały, dlatego w 1993 roku zakupiliśmy teren i budynki na ulicy Zakładowej (wcześniej znajdowały się tu Zakład Handlu i Budomet), po modernizacji przenieśliśmy tutaj produkcję. Od 1999 roku, od tragicznej śmierci brata, w zasadzie sam zawiadam spółką komandytową. Mam nadzieję, że będą ze mną współpracowali moi synowie. Starszy - Maciej dzielnie mi pomaga od jakiegoś czasu. Ufam, że i młodszy Sławek, który ukończył w tym roku studia, znajdzie tutaj swoje miejsce.

Rozpoczynał Pan działalność w latach 80. zwykło się o nich mówić czasy gospodarczej transformacji, gospodarki księżycowej, ekonomicznych wahań. Jak udało się Pańskiej firmie zaistnieć i przetrwać ten okres na rynku?

Z pewnością nie było najłatwiej, a dokonujące się przekształcenia nie zawsze były korzystne dla już funkcjonujących czy rozpoczynających działalność przedsiębiorców. Wyszedłem jednak z założenia, że trzeba spróbować. Mój zakład, mimo iż nie był duży, miał stałych zagranicznych odbiorców, co w wielkim stopniu pozwoliło przetrwać na rynku, a nawet rozwinąć działalność. Sądzę, że kluczem do sukcesu była i nadal jest umiejętność dostosowania się do potrzeb rynku, a współpraca z uznanymi firmami zagranicznymi, takimi jak Zwilling J. A. Henckell, AG, Ed We sthof Dreizachwerk, Per Kristensen, litala daje poczucie ekonomicznego bezpieczeństwa. Myślę, że plusem było także to, że zawsze ostrożnie gospodarowałem środkami i starałem się zachować płynność finansową. Natomiast bardzo dużo trudności było z komunikacją, sprawnym, przepływem informacji. Dzisiaj z uśmiechem wspominam moje przeprawy z Urzędem Celnym w Poznaniu. Gdy chciałem wysłać towar, musiałem osobiście jechać do Poznania, oczywiście bardzo wcześnie rano i ustawić się w kolejce oczekujących na.... „przydział” celnika. Urząd był czynny od 10 rano, nie było w powszechnym uży-

ciu telefonów komórkowych, więc zdarzało się, że zsynchronizowanie czasu przyjazdu samochodu z towarem i czynności celnika było, krótko mówiąc, niemożliwe. Bywało, że samochód zepsuł się i wtedy dopiero były nieprzyjemności, bo przecież marnotrawiłem cenny czas urzędnika. Więc myślę, że najwięcej utrudnień z tamtych lat wiąże się z przepływem informacji. Na szczęście dzisiaj to tylko zły sen, który minął raz i na zawsze. Natomiast utrzymanie się przedsiębiorstwa na rynku jest wypadkową dobrej jakości towaru i umiejętności dostosowania się do oczekiwań odbiorców. W sferze ludzkiej decydują o tym z pewnością determinacja, zdyscyplinowanie, kreatywność, dyspozycyjność, dbałość o klienta - i co tu dużo ukrywać - czas, który może być sprzymierzeńcem lub wrogiem przedsiębiorcy.

Znajdujemy się w pomieszczeniu, w którym półki wypełnione są przeróżnymi, dodam pięknymi przedmiotami, wykonanymi z drewna. Czy zechciałby Pan powiedzieć, co produkuje się w firmie kierowanej przez Pana.

Przedmioty, które produkujemy są nie tylko piękne, ale przede wszystkim funkcjonalne. Najogólniej rzecz ujmując są to opakowania dla produktu finalnego. Trzon produkcji stanowią różnego rodzaju kulinary, czyli bloki do noży, deski kuchenne w bogatym asortymencie, kształcie, przeznaczeniu, elementy meblowe dla IKEI, a także zakładów meblowych w Holandii i Anglii. Wcześniej produkowaliśmy różne drobiazgi, będące elementem wyposażenia i wystroju kuchni; jak podstawki, drewniane miseczki, solniczki, świeczniki, koszyczki. Dużą część produkcji stanowią drewniane zabawki - wózki i rowerki, eksportowane głównie do Holandii. Staramy się także łączyć drewno z innymi materiałami, np. z metalem, plastykiem, ceramiką. Drewno jest niezwykle wdzięcznym materiałem, pięknym i bogatym w sobie. Poddane obróbce, odpowiednio wymodelowane, potrafi być prawdziwą ozdobą mieszkania, dodam - bardzo funkcjonalną, trwałą i ekologiczną.

Rozumiem, że nie martwi się Pan o rynki zbytu.

Raczej nie. Mamy stałych, wieloletnich odbiorców, staramy się o jak najlepszą jakość i dotrzymywanie terminów, bo to świadczy o odpowiedzialności i wiarygodności producenta. Nasze rynki zbytu obejmują głównie Europę Zachodnią, wymieniane już Niemcy, Danię, Holandię. Odbiorcy niestety, a może na szczęście, są wymagający, dlatego produkt opuszczający zakład, musi być pod każdym względem solidny. Staramy się także, aby bez względu na wielkość zamówienia było ono zrealizowane starannie i rzetelnie.

Czy rynki zbytu obejmują także rynek polski?

Nasze produkty nie obejmują w zasadzie rynku rodzimego, chociaż próbowaliśmy na nim zaistnieć, szukaliśmy kontrahentów, nawiązaliśmy nawet z nimi współpracę. Niestety, nasi krajowi odbiorcy okazali się na tyle niesolidni,



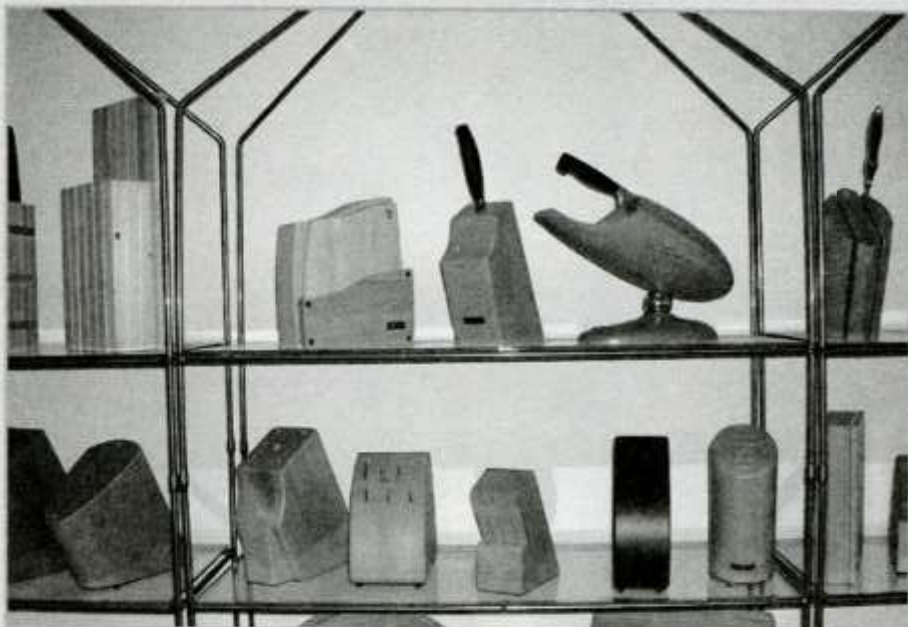
Krzysztof Kroma
(...zawsze wiedziałem
co chcę robić...)



Maciej Kroma -
starszy syn Krzysztofa



Krzysztof Kroma
z młodszym synem
Sławomirem



Kulinary do noży



Deski kuchenne

Deska ozdobna - przykład łączenia
drewna z ceramiką



Ozdobne elementy
wyposażenia kuchni



że musieliśmy zrezygnować ze współpracy. Obecnie realizujemy niewielkie zamówienia, w zasadzie wprost do sklepów. Produkty opuszczające zakład są wykonane z bardzo wielu elementów. Proces technologiczny, od surowca do gotowego produktu, jest czasochłonny, przekłada się to na ceny i być może to jest barierą dla wielu odbiorców. Patrząc na blok do noży trudno sobie uświadomić, że składa się on z kilkunastu części, które są klejone, malowane, lakierowane, przechodzą przez obróbkę mechaniczną i ręczną. Muszę jednak dodać, że obecnie zainteresowanie naszymi produktami jest coraz większe i być może w niedalekiej przyszłości będzie można je nabywać i u nas.

A plany na przyszłość?

Przede wszystkim rozwijać produkcję, wzbogacić ofertę, poszerzać rynki zbytu. W planach mamy też modernizację parku maszynowego. Zamierzamy przeprowadzić szkolenia związane z zarządzaniem, którym objęci będą wszyscy pracownicy. Jak już wspomniałem, nasi odbiorcy są wymagający, dlatego musimy ciągle coś zmieniać, ulepszać, wprowadzać nowe technologie i na tym głównie skupiamy się obecnie.

Z całą pewnością nie ma Pan zbyt wiele wolnego czasu. Jaka jest ulubiona przez Pana forma relaksu?

Rzeczywiście w pracy spędzam po kilkanaście godzin, dlatego nauczyłem się wypoczywać intensywnie. Lubię dobrą książkę, ciekawe artykuły prasowe, z konieczności i ciekawości śledzę też wiadomości gospodarcze. Natomiast niedzielne popołudnia spędzam na wycieczkach rowerowych, które bardzo mnie odprężają. Na dłuższy niż tygodniowy urlop w zasadzie od lat sobie nie pozwalam.

Zrealizował Pan swoje zamierzenia, osiągnął sukces zawodowy, czego zatem można jeszcze Panu życzyć?

Przede wszystkim zdrowia, siły, pomysłów, uczciwych doradców, dobrych kontrahentów, udanych produktów i funduszy.

Życzę zatem spełnienia tych wszystkich pragnień i serdecznie dziękuję za rozmowę.

Foto: Lidia Gałęcka

„Jeden świat - jedno przyrzeczenie”

O wschodzie słońca, o godz. 3.56, w dniu 1 sierpnia 2007 r. w całej Polsce odbyły się uroczystości związane ze światowym dniem odnowienia przyrzeczenia harcerskiego. Harcerze Hufca ZHP w Nowym Tomyślu spotkali się już w dniu 31 lipca o godz. 22.00 pod największym koszem świata i ruszyli na nocne czuwanie do leśnej bazy ZHP w Sękowie, by o wschodzie słońca odnowić przyrzeczenie harcerskie. W Europie dzień ten był okazją do uroczystych obchodów 100. lecia powstania ruchu skautowego. O wschodzie słońca 1 sierpnia br. cały świat braci harcerskiej – skautowej łączył się, wypowiadając takie oto słowa: *Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym prawu harcerskiemu.* Znakiem rozpoznawczym dla całej braci harcerskiej tego dnia była chusta i wstążeczka w kolorze słońca.



Odnowienie przyrzeczenia

Początek XX wieku proponował młodym ludziom wiele zmian, które niosły wiele rozterek. Był to czas tworzenia się pierwszych organizacji młodzieżowych, które niewiele miały wspólnego z wychowywaniem, bardziej przepełnione były skomplikowaną ideologią. Na północy Europy ktoś budził nadzieję na wielkie i bliskie dzieciom i młodzieży zmiany.

Wśród zapachu traw i szumu morza, 1 sierpnia 1907 roku, wielki generał Baden - Powell, o wschodzie słońca, na wyspie Brownsea zadał w róg antylopy kudu i obwieścił światu początek eksperymentalnego obozu dla dwudziestu dwóch chłopców.

Każdy z nas przeżywał podobny eksperyment wiele lat później. Dlaczego warto dokonywać wyborów, które z początku wystawiają nas na wiele trudnych prób? Odpowiedzieliśmy sobie pierwszy raz przyrzekając i dając słowo.

Każdy poprzez jedność harcerską nauczył się odpowiedzialności za siebie i za innych, wielokrotnie budując mosty i burząc bariery. Doświadczeni zaś elementami skautingu, dostrzegaliśmy różnice i szukaliśmy wielu podobieństw w kulturach, religiach, ludziach i otaczającym nas świecie. Świecie w każdym znaczeniu - w domu, rodzinie, drużynie, kraju, całej Ziemi.

Sierpniowa noc była chwilą na rozmowy dotyczące zgodności naszych postaw z prawem i przyrzeczeniem harcerskim, pracy nad wartościami i zasadami harcerskiego wychowania, a także obowiązkami wobec siebie, rodzin i naszego kraju.

W harcerskiej leśnej bazie w Sękowie koło Nowego Tomyśla spotkali się harcerze młodszy, seniorzy, instruktorzy i sympatycy ruchu skautowego. Odbył się uroczysty apel, wciągnięto flagę na maszt i odśpiewano hymn. Potem wszyscy razem zebrali się w kręgu wokół ogniska i rozpoczęło się nocne czuwanie, przeplatane wspomnieniami, gawędami i harcerskimi piosenkami, żeby o wschodzie słońca uroczystie odnowić przyrzeczenie harcerskie.

Symboliczna triada - Jedność, Świat, Przyrzeczenie - to współbrzmienie, które przetrwało już 100 lat. To fenomen, to eksperyment, który się sprawdził i zmienił nasze życie na to lepsze...

Naczelny skaut świata

Skauting niezmiennie kojarzy się z Anglią i z Robertem Baden-Powellem. Ojciec Roberta był profesorem teologii i geometrii na uniwersytecie oksfordzkim, matka zaś przez całe życie poświęcała się pracy charytatywnej w jednym z londyńskich szpitali dla ubogich. Tuż po trzecich urodzinach małego Roberta zwanego również Ste, umiera ojciec. Opiekę wychowawczą nad nim przejmuje dziadek, admirał Smyth. On właśnie odkrywa przed Robertem 'Hyde Park', największy park w Londynie. Tam Robert uczy się rysowania map, tropienia zwierząt, podpatrywania przyrody. To tam także stary admirał opowiada wnukowi o Indianach, wielkich przygodach



Sierpniowa noc była też chwilą refleksji...

i zwycięskich bitwach. Robert słucha uważnie tych opowieści i odkrywa w sobie zamiłowanie do przyrody i podróży.

Do nauki nie przykładają się zbyt wiele, uczą się na tyle, by nie zostać w klasie na następny rok. Po sześciu latach zdaje egzamin końcowy i stara się o przyjęcie do Sandhurst (Szandurd), prestiżowej akademii wojskowej. Kończy tę szkołę z wynikiem bardzo dobrym i jako prymus otrzymuje przedterminowo stopień porucznika.

Jako porucznik szkoli rekrutów. Ma ich pod sobą 40. Początkowo szkoli wszystkich jednakowo – jak było w zwyczaju. Efekty nie zadawały jednak Roberta. Tworzy własny system: dzieli kampanie na sześć grup liczących od pięciu do ośmiu ludzi (patrole), na dowódców wyznacza szczególnie uzdolnionych żołnierzy. Dowódców zbiera kilka razy w tygodniu na krótkie szkolenia – ci zaś szkolą swoją małą grupę. Podczas odwrotu z Afganistanu trafiony w nogę, wraca na manewry, tworzy i szkoli małą grupę zwiadowców – skautów, dzięki której po sześciu dniach manewrów bierze do niewoli wszystkie wojska przeciwnika (bez jednego wystrzału). Skauting tak nazwano stosowaną przez Powella technikę zwiadu, która podobała się dowództwu. Tak w skrócie przedstawia się historia skautingu, którego twórcą był Robert Baden-Powell.

Robert Baden-Powell jako doświadczony oficer armii brytyjskiej w dniu 1 sierpnia 1907 roku zbiera grupę 22 chłopców i wypływa na małą wyspę

niedaleko wybrzeża, organizując obóz dla chłopców. Podzielił drużynę chłopców na pięcioosobowe zastępy i najstarszego z nich uczynił dowódcą. Zastęp stanowił jednostkę uczestniczącą w szkoleniu, zabawie i pracy obozowej na własnym terytorium. Po powrocie z wyspy Brownsea pierwsi skauci złożyli przyrzeczenie skautowe. Skauting rozwijał się błyskawicznie, ogarnął całą Anglię, a wkrótce cały świat. W 1908 roku Robert napisał książkę pt. *Scouting for Boys*, w której zawarł ideę i podstawowe zasady skautingu. W 1920 roku Robert Baden-Powell został uznany przez wszystkie organizacje skautowe *naczelnym skautem świata*.

... harcerska dola radosna...

Codziennie na całym świecie młodzi ludzie, w wielu językach, w różnych krajach, składają jedno przyrzeczenie. Różne słowa, ale te same wartości. Jak bardzo dla nas ważne. Służba, braterstwo, praca nad sobą. Różnymi słowami przyrzekamy to samo, bo chcemy zostawić świat lepszym niż go zastaliśmy.

W roku 2007 przypada setna rocznica pierwszego obozu skautowego i powstania skautingu. Od tego czasu blisko miliard ludzi na całym świecie miało okazję żyć w duchu prawa i przyrzeczenia skautowego. Poprzez obchody stulecia pokazaliśmy unikatową wartość i dorobek skautingu. Realizowaliśmy różne projekty większe i mniejsze. Staraliśmy się pokazać nasz skautowy udział w budowaniu lepszego świata.

...na szlaku harcerskiej wędrówki

W 1909 roku idea skautingu trafia do polskich organizacji młodzieżowych takich jak: „Sokół”, „Zarzewie”, „Eleusis”. Początek XX wieku, Polska wciąż pod zaborami, a młodzież z konspiracyjnych organizacji odbywa kurs i ćwiczenia z zasad wojskowości.

Na tym kursie w organizacji „Zarzewie” ćwiczenia odbywał także Andrzej Małkowski. Ponieważ spóźnił się na ćwiczenia, więc w konsekwencji musiał stanąć do raportu karnego. Jego dowódca – komendant Mieczysław Neugebauer – wyznacza Andrzejowi karę polegającą na przetłumaczeniu z języka angielskiego książki Roberta Baden-Powella *Scouting for Boys*. Andrzej zaczął czytać książkę. Po chwili był nią pochłonięty i nagle zawołał – „Synteza! Walka o niepodległość Polski plus skauting to jest synteza”.

Takie znamienne słowa padły z ust pierwszego polskiego skauta – harcerza.

22 maja 1911 r. Andrzej Małkowski wydaje rozkaz o powołaniu pierwszych drużyn skautowych. W tych zmaganiach skautowych Andrzejowi pomagała Olga Drahonowska. To ona stworzyła harcerstwo żeńskie. Mijały lata, a z ruchu skautowego wyłonił się Związek Harcerstwa Polskiego. W czasie II wojny światowej harcerstwo przemianowano na „Szare Szeregi” – najmłodsze wojsko polskie, które odegrało ważną rolę w powstaniu warszawskim, które wybuchło w dniu rocznicy powstania skautingu.

Harcerski system wychowawczy realizowany w ciągu 100.letniej historii ZHP jest rozumiany jako jedność programu, metody i zasad harcerskiego wychowania. Rozwój zuchów, harcerzy, i instruktorów jest możliwy tylko wtedy, gdy kierując się harcerskimi zasadami, tworzymy program pobudzający do kształtowania w sobie cech i umiejętności potrzebnych w życiu osobistym i przydatnych w społeczeństwie. Służba - czynna i pozytywna postawa wobec świata, ojczyzny i drugiego człowieka. Braterstwo - przyjazna i serdeczna postawa wobec drugiego człowieka. Praca nad sobą - kształtowanie swojej osobowości. Oto zasady, którymi kieruje się Związek Harcerstwa Polskiego w wychowaniu młodego pokolenia.

Zadania programowe mają na celu osiągnięcie konkretnego celu wychowawczego. Oczywiście, każde zadanie ma także przynosić radość i satysfakcję z dobrze wykonanej pracy. Zwróćmy więc uwagę na jakość naszego działania. Jeśli będziemy o nią dbali, stworzymy dobre warunki do wychowywania zuchów i harcerzy na ludzi prawych, zaradnych, o mocnych charakterach i z dużym poczuciem odpowiedzialności. Tak więc... *załóż mundur i przypnij lilijkę,... w szeregu stań wśród harcerzy i razem nami w świat rusz...*



„Płonie ognisko ...”

45 lat Delegatury Automobilklubu Wielkopolski w Nowym Tomysłu

rozmowa z Marianem Czajką – prezesem Delegatury

45 lat nowotomyskiej Delegatury i 20 lat prezesowania przez Pana tej organizacji – trudno chyba o lepszą okoliczność, by przybliżyć ją Czytelnikom PRZEGLĄDU NOWOTOMYSKIEGO. Zacznijmy więc naszą rozmowę o początkach Delegatury...

Rzeczywiście. Czterdzieści pięć lat temu – 25 stycznia 1962 roku – podjęta została decyzja o powołaniu w Nowym Tomysłu Delegatury Automobilklubu Wielkopolski. Dużą w tym zasługą śp. Andrzeja Dunajskiego, który stanął na czele komitetu założycielskiego Klubu Automobilistów na terenie byłego powiatu nowotomyskiego. W skład pierwszego Zarządu, którego prezesem został



Andrzej Dunajski weszli: Janusz Babiński – taksówkarz, Hubert Figlarek – ówczesny kierownik stacji benzynowej, Franciszek Mizgajski – mistrz malarski, Czesław Konieczny – szewc, ks. Bogdan Laskowski – wikariusz, Bogusław Witkiewicz – wulkanizator i Józef Milczyński – zawodowy fotograf. Przez kilka lat zebrania i posiedzenia Zarządu odbywały się w mieszkaniu Prezesa Delegatury przy ulicy Walki Młodych 9 (obecnie ul. Długa), a pierwsze wydatki pokrywane były z prywatnych budżetów członków Zarządu. Pierwszy lokal przy ul. Walki Młodych 30 Delegatura otrzymała dopiero po siedmiu latach – 1 lipca 1969 roku i od tego czasu wielokrotnie zmieniała swoją siedzibę, by ostatecznie od ubiegłego roku ulokować się, choć też tymczasowo, przy ul. Sienkiewicza 1, w dawnym budynku lekarskim przy szpitalu.

Delegatura Nowy Tomyśl obejmuje obecnie mieszkańców gmin Nowy Tomyśl, Buk, Lwówek i Opalenica.

Działalność Automobilklubu Wielkopolski służy popularyzacji motoryzacji, sportów samochodowych, motocyklowych, kartingowych, ale i poprawie bezpieczeństwa w ruchu drogowym, doskonaleniu umiejętności kierowców i kultury jazdy. Jak te zadania realizowała nowotomska Delegatura?

Mimo kłopotów lokalowych działalność Delegatury ożywiała się z roku na rok, by sprostać tym zadaniom. W latach 1967 – 1979 przez Nowy Tomyśl przebiegały trasy eliminacji Samochodowych Mistrzostw Okręgu Poznańskiego oraz trasy trzech Rajdów Samochodów Ciężarowych (1965 i 2-krotnie w 1967 roku). Dwukrotnie w Nowym Tomyślu znajdował się półmetek Poznańskiego Międzynarodowego Rajdu Samochodów Zabytkowych (1979 i 1985 r.). Czterokrotnie (w latach 1963, 1971, 1974 i 1975), Delegatura była organizatorem zawodów kartingowych. Na pewno nowotomyskanie pamiętają wyścigi, które odbywały się wokół Placu Chopina, na bieżni stadionu „Polonia” i dwukrotnie wokół Placu Niepodległości, bowiem oglądały je wtedy tłumy mieszkańców miasta i pewnie dawnego powiatu nowotomyskiego. W wyścigach tych uczestniczyli m. in. Kazimierz Krotoski – adwokat, najbardziej utytułowany zawodnik w Polsce w latach sześćdziesiątych oraz Marian Miler – inżynier. W następnych latach rodzinne zamiłowanie Krotoskich do kartingu i sportu motorowego kontynuowali jego synowie Jerzy i Robert, a obecnie wnuki Robert i Błażej.

Członkowie Delegatury włączali się do popularnych w tym okresie akcji *STOP – DZIECKO NA DRODZE* i *TYGODNIA KULTURY NA JEZDNI*. Mając na uwadze bezpieczeństwo ruchu drogowego wśród dzieci i młodzieży, docierali do szkół, prowadząc pogadanki i szkolenia na kartę rowerową. Dla posiadaczy samochodów Delegatura organizowała akcję ustawiania świateł, początkowo wykorzystując punkty w Szkole Zawodowej, a później stację diagnostyczną Automobilklubu Wielkopolski przy ulicy Walki Młodych. Rozwijająca się motoryzacja rodziła też potrzebę szkolenia kierowców. Za usilnym i wieloletnim staraniem prezesa Delegatury Andrzeja Dunajskiego, 1 kwietnia 1978 roku został uruchomiony przy ulicy Nowotki (obecnie ul. Witosza) Ośrodek Szkolenia Kierowców, który przetrwał do 1 maja 1990 roku. Jego kierownikami kolejno byli: Jacek Szpon (do końca 1983 r.), Tadeusz Knop (do końca sierpnia 1984 r.) i Bogumił Wiśniewski.

W związku z ustąpieniem dotychczasowego Prezesa Andrzeja Dunajskiego, na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu Członków Delegatury 28 marca 1979 roku na nowego prezesa Delegatury został wybrany **Henryk Maćkowiak** – prezes Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Nowym Tomyślu. Za jego kadencji, 1 września 1982 roku uruchomiona została stacja diagnostyczna z uprawnieniami do dokonywania przeglądów rejestracyjnych. Stacja diagnostyczna istniała do 30 stycznia 1996 roku. Zarówno Ośrodek Szkolenia Kierowców, jak i stacja diagnostyczna zamknięte zostały z powodu zmiany przez Urząd Miasta i Gminy w Nowym Tomyślu przeznaczenia terenu, na którym się znajdowały. 21 maja 1984 roku przy ulicy Kolejowej 16, za przejazdem kolejowym,

uruchomiony został sklep prowadzący sprzedaż części zamiennych do samochodów polskiej produkcji: Fiatów 125p i 126p, Syreny i Żuka oraz sprzętu do wyposażenia warsztatów naprawczych i stacji obsługi samochodów.

W tamtym okresie sklep taki miał bardzo istotne znaczenie dla szerokiej rzeszy użytkowników pojazdów samochodowych na terenie Nowego Tomysła i okolic. W związku ze zmianą w 1987 roku ustawy o podmiotach gospodarczych, do których należały sklepy, działalność jego została zakończona. Po zaistniałych zmianach w Zarządzie Delegatury, ożywiła się działalność klubowa. Nawiązana została ścisła współpraca z Wojskowym Kołem Motoryzacyjnym przy Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Pancernych im. St. Czarnieckiego w Poznaniu oraz Zarządem Koła SIMP przy Fabryce Narzędzi Chirurgicznych w Nowym Tomysłu.

Wielu obserwatorom aktywności Delegatury, jej działalność kojarzy się z rajdami samochodowymi, tabliczkami z numerami startowymi i tajemniczymi mapkami trasy rajdu...

Delegatura była i jest nadal organizatorem jedno- i wielodniowych rajdów oraz wycieczek samochodowych. W początkowym okresie istnienia Delegatury organizowane były w ciągu roku 2 lub 3 rajdy samochodowe oraz 1. dniowe wycieczki do okolicznych miejscowości, m. in. do Wolsztyna w 1964 r., NRD w 1967 r., Międzyrzecza i Łagowa w 1970 r., Rogalina i Kórnika w 1971 r., Boszkowa w 1972 r. i Prądówki w 1977 r. W późniejszym okresie organizowano i dalsze wyjazdy. I tak np. zorganizowano: w 1986 roku 3. dniowy wyjazd do Książa k/Wałbrzysza oraz Karpacza (19 osób), w 1989 roku 10. dniowy wyjazd do Budapesztu ze zwiedzaniem po drodze Częstochowy i Krakowa (8 osób), w 1990 roku tygodniowy wyjazd do Zakopanego (11 osób) oraz w 1991 roku 3. dniowy wyjazd do Karpacza (9 osób). Dużym zainteresowaniem cieszyła się zawsze i cieszy nadal impreza organizowana na koniec sezonu *POGOŃ za LISEM*, którą zapoczątkowano już w 1962 roku. Począwszy od 1982 roku, Delegatura wprowadziła do kalendarza imprez 2. dniowe rajdy samochodowe, które zaczęły pozyskiwać coraz więcej zwolenników. Najczęściej odwiedzanymi obiektami były zamek w Rydzynie, pałac w Pawłowicach k/Lesna. Ponadto 2. dniowe rajdy odbyły się do zamku w Gołuchowie k/Kalisza, do zamku w Książu k/Wałbrzysza, do pałacu w Rokosowie k/Lesna, do Chrzypiska i do Zajączkowa. Trzykrotnie odwiedziliśmy Międzyrzecki Rejon Umocnień oraz Rezerwat Przyrody *NIETOPEREK*.

Każdemu rajdowi towarzyszą samochodowe próby sprawnościowe, testy znajomości przepisów ruchu drogowego, testy z wiedzy o regionie, przez który prowadzi trasa rajdu i próby rekreacyjno-sportowe. To sprawia, że na wynik w rajdzie mają wpływ wszyscy członkowie załogi i dlatego jest to z pewnością doskonała zabawa dla całej rodziny, nie pozbawiona przy tym emocji i ducha rywalizacji.

Kilka imprez rajdowych Delegatury ma już swoją wieloletnią tradycję. *PO-*

GOŃ ZA LISEM, o której wspomniałem już wcześniej, organizowana jest na koniec sezonu motorowego, przeważnie w październiku i gromadzi każdorazowo ponad 25 samochodów. Początkowo jego meta mieściła się w szczerym polu. Od 1993 roku zakończenie imprezy ma miejsce w „wigwamie” z ogniskiem i to co roku w innym miejscu. Nie zawsze jednak udało się „dogonić lisa”, można raczej powiedzieć, że udało się to tylko nielicznym kierowcom: Edwardowi Kowalczykowi (1964 r.), Eugeniuszowi Nowakowi (1975 r.), Henrykowi Adamczewskiemu (1980 r.), Ryszardowi Koziełowi (1984 r.), Ryszardowi Kromie (1989 r.) i Stefanowi Henschke (1994 r.). Nie jest to więc łatwa próba, tym bardziej warto podkreślić sukces zwycięzców.

Rajd z okazji DNIA DZIECKA zapoczątkowany został w 1980 roku za prezesury Henryka Maćkowiaka, przyjaciela dzieci i Kawalera „Orderu Uśmiechu”. Rajdy te cieszyły się i cieszą dużym zainteresowaniem i frekwencją. Towarzyszą im zawsze zabawy i przejażdżka bryczkami, a na zakończenie wspólny ciepły posiłek. W rajdach tych uczestniczy nawet do 60 samochodów.

Rajd PANIE za KIEROWNICĄ organizowany jest od 1988 roku na przełomie sierpnia i września, a od 1997 roku na stałe wszedł do kalendarza obchodów Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego. W imprezie uczestniczy zwykle ponad 20 samochodów, a jego zakończenie ma zawsze bogatą oprawę i kończy się piknikiem.

Poza rajdami, które odbywają się tradycyjnie od wielu lat, byliśmy również organizatorami i uczestnikami rajdów okolicznościowych, m. in. Szlakiem Wyzwolenia Poznania (1977 r.), W 100. lecie śmierci Emilii Szanieckiej (1996 r.), Śladami hr. Stanisława Korzbok – Łąckiego, prezesa AW w latach 1927 – 1937 (1997 r.) czy Z okazji 10. rocznicy śmierci Andrzeja Dunajskiego (2000 r.)

Członkowie Delegatury byli również organizatorami rajdów samochodowych szczebla krajowego i okręgowego np. 3. dniowego Szlakiem pielgrzymki Ottona III i 2. krotnie Szlakiem Mieszka I, a ponadto byliśmy organizatorami 8 Złotów Kół i Delegatur (w latach: 1986, 1987, 1997, 1998, 1999, 2000, 2001 i 2004) oraz 5 rajdów z okazji Święta Niepodległości w latach: 1993, 1995, 1997, 1999 i 2001.

W 2004 roku działacze podjęli decyzję o zorganizowaniu pierwszego Kostiumowego Rajdu Samochodowego z okazji 200. rocznicy urodzin Emilii Szanieckiej. W rajdzie wzięło udział 20 załóg. Zalecanym strojem był ubiór z epoki lat dwudziestych XX wieku, który był jednym z elementów podlegających ocenie jurorów. Rajd zyskał uznanie uczestników i postanowiono go powtórzyć w tym roku. Zorganizowany został tym razem 2. dniowy Kostiumowy Rajd Samochodowy do Rydzyny, w którym wzięło udział 32 załogi. Mam nadzieję, że ta najnowsza inicjatywa Delegatury będzie zyskiwać coraz więcej zwolenników i stale się rozrastać.

Imponująco wygląda aktywność Delegatury w organizowaniu rajdów i imprez, w których na przestrzeni minionych lat wzięło udział setki, a najpewniej tysiące

załóg z Nowego Tomysła, Buku, Lwówka i Opalenicy, które mogły w ten sposób doskonalić swoje umiejętności prowadzenia pojazdów. Ta ilość, popularność i masowość imprez musiały przynieść sukcesy w rywalizacji pomiędzy delegaturami Automobilklubu Wielkopolskiego...

Tak, nowotomyska Delegatura należy do najaktywniejszych w Automobilklubie Wielkopolskim. Zgodnie z Regulaminem Współzawodnictwa najlepiej działającym kołom i delegaturom przyznawane są co roku wyróżnienia w formie dyplomów i nagród pieniężnych na dofinansowanie rajdów samochodowych. W tej rywalizacji, poczynając od 1984 roku, Delegatura Nowy Tomyśl zajmuje nieprzerwanie I miejsce, będąc organizatorem blisko jednej trzeciej ogółu imprez organizowanych przez wszystkie koła i delegatury AW. W 1984 roku została zapoczątkowana impreza samochodowa, w której uczestniczą reprezentacje poszczególnych kół i delegatur, nosząca nazwę zlotu. Zwycięska reprezentacja tej dwudniowej, prestiżowej imprezy nagradzana jest pucharem przechodnim, który po trzech wygranych staje się własnością koła bądź delegatury. Nasza Delegatura otrzymała go na własność w roku 1999, po trzech kolejnych sukcesach w latach 1997-1999, a potem, w kolejnych latach, jeszcze kilkakrotnie sięgała po zwycięstwo w zlocie.

Nowotomyska Delegatura była i jest też jedyną w Automobilklubie Wielkopolskim posiadającą proporzec klubowy. Został on ufundowany w 1975 roku przez władze polityczno-administracyjne powiatu nowotomyskiego. Po 24 latach, 25 lipca 1999 roku, w dniu św. Krzysztofa, w słoneczne niedzielne popołudnie, na Mszy świętej w kościele przyklasztornym oo. Franciszkanów w Woźnikach odbyła się ceremonia jego poświęcenia. To niezwykle i bardzo cenny wyróżnik naszej Delegatury w całym Automobilklubie.

Rajdy samochodowe i zloty to na pewno także dobry sposób integrowania wszystkich członków i sympatyków nowotomyskiej Delegatury, zrzeszającej przecież mieszkańców aż czterech gmin. Myślę, że m. in. z tego powodu zarząd Delegatury proponuje każdego roku również bardzo bogatą ofertę kulturalną i turystyczną...

To z pewnością jeden z ważnych powodów, dla którego staramy się zaproponować różnorodne atrakcje kulturalne swoim członkom, odpowiadające ich oczekiwaniom. Od 1975 roku zaczęto organizować w Delegaturze bale karnawałowe. Pierwszy zainaugurowany został w 1975 roku w nowo otwartym lokalu Otwarte Wrota. Następne w latach 1976 - 1989 odbywały się w lokalu Słoneczna (obecnie Miraż). Ostatni bal karnawałowy miał miejsce w 1991 roku w lokalu Nowotomyskiego Ośrodka Kultury. W następnych latach, w związku ze spadkiem zainteresowania wśród członków, zaprzestano ich organizacji. Jednocześnie czyniono próby poszukiwania nowych form rozrywki. I tak zrodził się pomysł zorganizowania wyjazdów członków Delegatury i sympatyków do Poznania na roczne podsumowania działalności Automobilklubu Wielkopolski,

którym zawsze towarzyszy atrakcja kulturalna na najwyższym poziomie. Były więc koncerty w auli UAM, wybitne przedstawienia operowe i baletowe w Teatrze Wielkim im. S. Moniuszki, m. in. *Borys Godunow* M. Musorgskiego, *Norma* V. Belliniego czy „*Otello*” G. Verdiego, spektakle w Teatrze Muzycznym i Teatrze Polskim.

Od 1989 roku Delegatura zaczęła też organizować najpierw jedno-, a później również kilkudniowe wycieczki autokarowe: do Kórnik i Rogalina, do Szklarskiej Poręby, do grobu bł. Urszuli Ledóchowskiej, do Lednogóry i na spektakle do Teatru Muzycznego i Teatru Wielkiego. Członkowie Delegatury uczestniczyli również w wycieczkach zagranicznych organizowanych przez Automobilklub Wielkopolski. A udział w nich zapoczątkowaliśmy w 1994 roku i od tego czasu aż 13.rotnie - autokarem bądź samolotem - nasi członkowie wyjeżdżali za granicę. Na turystycznej trasie znalazły się europejskie stolice: Praga, Bratysława, Wiedeń, Londyn, były Włochy, Belgia i Holandia, Turcja i Grecja, Szwecja, Irlandia i Majorka.

Imponująca aktywność i rzeczywiście interesująca oferta, właściwie dla każdego...

Automobilklub Wielkopolski będzie miał w przyszłym roku 85 lat. Ma więc długą tradycję i długie doświadczenie organizacyjne. Nasza Delegatura jest blisko o połowę młodsza, jednak na tyle okrzepła i dojrzała, by wiedzieć, że musi nadążać za zmieniającą się rzeczywistością, potrzebami i oczekiwaniami jej członków. Dlatego, obok tradycyjnych i sprawdzonych form pracy, ciągle poszukujemy nowych i atrakcyjnych propozycji, które dzięki skutecznej pracy całego Zarządu Delegatury udaje się nam z powodzeniem realizować.

Dziękuję za rozmowę i życzę równie owocnych, dalszych dwudziestu lat przewodzenia nowotomyskiej Delegaturze AW.

Andrzej Wałęsa

Jarmark Chmielo-Wikliniarski ma już trzydzieści lat...

Na nowotomyskich ulicach wielkie ożywienie. Sprzątanie skwerów i chodników, odnawianie budynków, przez miasto przejeżdżają dostawcze samochody, z niektórych wystają fragmenty konstrukcji karuzeli, z innych elementy do budowy straganów. Prawdziwe zamieszanie panuje jednak w parku na obrzeżach miasta: budowa dekoracji na scenie, stawianie kramów, ustawianie krzeseł i ławek. Mieszkańcy Nowego Tomyśla dawno nie byli świadkami takiego zamieszania i gwaru. Ta nieco nerwowa atmosfera wcale ich jednak nie niepokoi, raczej wywołuje radosne oczekiwanie. Już kilka dni wcześniej w mieście pojawiły się kolorowe tablice informacyjne, których znaczenie lepiej oddaje zapożyczone do języka polskiego słowo „billboard”. Napisy na nich obwieszczają: „Jarmark Chmielo-Wikliniarski 10-11 IX 1977”...

Tak właśnie rozpoczyna się historia Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego w Nowym Tomyślu.

Pojawienie się w Nowym Tomyślu święta nazwanego Jarmarkiem Chmielo-Wikliniarskim nie było przypadkiem. Poprzedziło go wiele wydarzeń oraz działalność ludzi – dawnych mieszkańców tej ziemi, kształtujących gospodarkę, kulturę, wpisujących się w historię tego regionu. Właśnie tę ziemię niezbyt urodzajną, piaszczystą i bagienną, o specyficznym mikroklimacie upodobały sobie dwie rośliny: chmiel i wiklina. Wierzba od dawna porastała gęstymi zaroślami nowotomyskie gleby. Dopiero jednak kolonizacja tego terenu związana z osadnictwem olęderskim przyczyniła się do rozwoju wikliniarstwa na szerszą skalę. Zakładane na przełomie XVIII i XIX wieku, przez osadników przybyłych głównie z Niemiec, plantacje były uważane za wzorcowe i najpiękniejsze. Ich znaczenie wzrosło po sprowadzeniu w 1885 roku z Ameryki Północnej przez mistrza koszykarskiego z Trzciela Ernesta Hoedt'a bardzo wartościowej odmiany wikliny, nazywanej później „amerykanką”. Dzięki swym właściwościom - dużej giętkości i małej łamliwości, zrewolucjonizowała fach plecionkarski. W latach 30. XX wieku większość wyprodukowanej w Nowym Tomyślu wikliny wysyłana była w formie nieprzetworzonej na eksport, co niekorzystnie wpływało na nowotomyskie wikliniarstwo. Aby upowszechnić fach plecionkarski i zainspirować mieszkańców do zakładania warsztatów koszykarskich, w 1936 roku zorganizowano pierwszą wystawę wyrobów z wikliny.

jarmark chmielo- wikliniarski

NOWY
TOMYŚL

10 wrzesień 1977 r.

- godz. 10⁰⁰ - Otwarcie wystaw okolicznościowych
- Sesja popularno-naukowa na temat „Nowoczesne metody uprawy wikliny” - MGB
- godz. 14⁰⁰ - Finał imprez sportowo-turystycznych - Stadion KS „Polonia”
- godz. 15⁰⁰ - Korowód Chmielo-Wikliniarski - wyrusza ze stadionu
- godz. 16⁰⁰ - Inauguracja Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego - Park Kultury i Wypoczynku
- godz. 17⁰⁰ - Zespół Pieśni i Tańca „Wielkopolska” - PKiW
- godz. 19⁰⁰ - Zabawa Ludowa w Parku.

11 wrzesień 1977 r. - Park Kultury i Wypoczynku

- godz. 13⁰⁰ - Targi Chmielarskie
- godz. 15⁰⁰ - Widowisko „Tyrynek” - Teatr Lalek i Marionetek „Marcinek” z Poznania
- godz. 17⁰⁰ - Pokaz mody
- godz. 18⁰⁰ - Koncert estradowy
- godz. 20⁰⁰ - Pokaz ogni sztucznych - zakończenie Jarmarku.

IMPREZY TOWARZYSZĄCE - Park Kultury i Wypoczynku

- wystawy chmielu i wikliny, barmant, występy kapel ludowych, strzelnice, karuzela, występy zespołu Pieśni i Tańca „Polanie” z PTH w Trzciance.

Do udziału w Jarmarku Chmielo-Wikliniarskim zdecydowanie zapraszają
ORGANIZATORZY



Pierwszy plakat Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego - 1977 rok

Lata 70. przyniosły ożywienie nowotomyskiego wikliniarstwa. Zaczęto organizować *plenery wikliniarskie*, które - dzięki uczestniczącym w nich artystom z kraju i zagranicy - pozwoliły na nowo odkryć wiklinę, nie tylko jako materiał pracy rzemieślniczej, ale także źródło inspiracji twórczej.

Uprawę chmielu na ziemi nowotomyskiej upowszechnili Bracia Czescy, którzy do Polski przybyli uciekając przed prześladowaniami religijnymi we własnej ojczyźnie. Zamieszkując tutaj nie zrezygnowali z przyzwyczajień i upodobań wyniesionych z własnego kraju i będąc smakoszami domowego napoju zwanego podpiwkiem, rozpoczęli uprawę chmielu służącego do jego produkcji.

Nowotomyskie chmielarstwo swój rozwój oraz nadanie mu rangi na arenie międzynarodowej zawdzięcza niemieckiemu ekonomście Józefowi Jakubowi Flatau. Pisze o tym Arno Kraft [patrz ss. 3-9], dlatego ograniczę się do stwierdzenia, że Nowy Tomyśl ma zatem długie nie tylko wikliniarskie, ale i chmielarskie. Pomimo różnych uwarunkowań ekonomicznych nie zaprzestano uprawy tych roślin. Nieustannie byli i nadal są wśród mieszkańców ziemi nowotomyskiej rolnicy-plantatorzy oraz rzemieślnicy, którzy kontynuują zapoczątkowane przed wiekami specyficzne uprawy i plecionkarski fach. Właśnie ta, nieprzerwana przez stulecia, sztafeta ludzi gospodarujących na tym terenie pozwoliła w II połowie XX wieku na zainicjowanie obchodów święta chmielu i wikliny, święta nowotomyślan - kontynuatorów dawnych tradycji.

Wróćmy zatem do roku 1977. Obok billboardów na ulicach pojawiły się pierwsze jarmarkowe plakaty. Rysunki gałązek chmielu i wikliny oraz fragment herbu „Łódzia” zdobiły program nowotomyskiego święta. Właśnie ten program oraz odszukane w archiwach Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej i Nowotomyskiego Ośrodka Kultury pożółkłe przez upływ czasu dokumenty, artykuły prasowe i czarno-białe fotografie przywołują atmosferę tego pierwszego w dziejach miasta Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego. Jarmark ten rozpoczął się o godzinie 15.00 na stadionie Klubu Sportowego „Polonia”. Stąd ulicami miasta barwny wyruszył korowód do Parku Kultury i Wypoczynku. Otwierali go fanfarzyści odgrywający hejnał imprezy. Za nimi podążali przebrani w historyczne stroje rzemieślnicy niosący herby i znaki nawiązujące do charakteru imprezy. Dalsza część korowodu także odzwierciedlała wielowiekowe tradycje chmielarstwa i wikliniarstwa na ziemi nowotomyskiej: prezentowały się w nim wsie posiadające najstarsze tradycje uprawy chmielu i wikliny, na



Pierwsze logo Jarmarku



Plansza informująca
o jarmarku ustawiona
na placu Chopina
- rok 1977

platformach zaprzężonych w konie pokazane były: miniatura plantacji chmielu, warsztat koszykarski, snopy wikliny i artykuły z niej wykonane. W korowodzie podążali nowotomyskanie poprzebierani za dawnych mieszkańców: Braci Czeskich, rzemieślników, kupców, braci kurkowych. Ostatni fragment pochodło ilustrował historię miasta - od momentu założenia go przez Feliksa Szołdrskiego w 1788 roku do czasów współczesnych.

Pierwszy jarmark był niewątpliwie wielkiem przeżyciem dla mieszkańców Nowego Tomyśla i okolicznych wsi. Impreza przywołała dawne tradycje i walory ziemi nowotomyskiej, a dzięki pomysłowości i zaangażowaniu mieszkańców całej gminy, zapomniane już elementy lokalnego kolorytu odkryte zostały na nowo. Już pierwszemu jarmarkowi towarzyszyły występy artystyczne, zabawy taneczne i spektakle, stoiska z wyrobami z wikliny i artykułami spożywczymi, karuzele i strzelnice; jednym słowem wszystko co było niezbędne, aby dobrze bawić się i miło spędzić czas. Podsumowaniem dwudniowego świętowania był pokaz sztucznych ogni.

Kolejne jarmarki miały charakter nie tylko rozrywkowy. W nowotomyskiej bibliotece organizowane były sesje popularnonaukowe, podczas których prezentowane były odczyty i prelekcje poświęcone współczesnym zagadnieniom związanym z uprawą wikliny i chmielu. Zatem jarmarkowi przypisywano także wyższe cele, miały nie tylko bawić, ale i uczyć. Nowy Tomyśl zaczął coraz wyraźniej osiągać rangę wielkopolskiego ośrodka



Pierwszy korowód jarmarkowy przeszedł ulicami miasta w 1977 roku

specjalizującego się w szerzeniu wiedzy oraz tworzeniu kultury opartej na swych historycznych uprawach: wiklinie i chmielu.

Forma nadana Jarmarkowi Chmielo-Wikliniarskiemu w 1977 roku wywarła wpływ na jego organizację w dziesięcioleciach następnych. Oczywiście święto to wciąż ewoluuje. Corocznie pojawiało się i pojawia się nadal wiele propozycji i pomysłów na jego uatrakcyjnienie. Jedne na stałe wprowadzone zostały do programu, inne zniknęły, a na ich miejsce pojawiły się nowe. Pewne elementy pozostają jednak niezmiennie. Jarmark Chmielo-Wikliniarski otwierany jest przez włodarza miasta. Następnie barwny korowód wędrujący ulicami Nowego Tomyśla obwieszcza wszem i wobec, że w mieście rozpoczyna się wielki festyn, który tradycyjnie zakończy się oczekiwanym przez wszystkich pokazem sztucznych ogni. Niezmiennie też jarmark odbywa się na obszernym terenie parku, nazywanego od momentu jego powstania Parkiem Kultury i Wypoczynku. Nazwa ta zresztą harmonizuje z charakterem imprezy, która w nim od lat przebiega. Wodzirejem festynu niezmiennie od lat jest poznański aktor Zbigniew Grochal. Nowotomyskiemu świętu towarzyszy logo - panienka jarmarkowa, która stała się stałym symbolem jarmarku i do dnia dzisiejszego sygnuje wszystkie materiały z tym świętem związane. Dobrze ją wszyscy mieszkańcy gminy znają i obok herbu kojarzą z miejscową symboliką. Logo to pojawiło się już w 1978 roku, początkowo funkcjonowało równolegle z innym jarmarkowym symbolem. Z czasem go jednak wyparło i obecnie panienka

Podczas jarmarku w 1978 roku
prezentowane były fotografie najlepszych
chmielarzy



jarmarkowa znajduje się na wszystkich materiałach promocyjno-informacyjnych jarmarku.

Sukces Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego tkwi w pomysłowym połączeniu tradycji ze współczesnością. Tradycja, która odnosi się do upraw chmielu i wikliny z ręcznie splata się z odpowiedzią na gusty i zapotrzebowanie współczesnego odbiorcy kultury masowej.

Odwołań do symbolicznych dla Nowego Tomyśla roślin chmielu i wikliny podczas jarmarku jest bardzo wiele. Witryny sklepowe udekorowane są w długie pędy chmielu, tak bardzo malownicze, z dojrzałymi o tej porze szyszkami oraz snopy wikliny i wyplecione już kosze. Właściciele nowotomyskich sklepów do ich dekoracji, rywalizując o tę najpiękniej przybraną, sięgają także po inne rekwizyty. Efektem ich starań jest pięknie udekorowane centrum miasta. Najważniejszym elementem nawiązującym do tradycji jest jednak obrzęd jarmarkowy. Od 1988 roku przygotowują go mieszkańcy wsi, która zwyciężyła w dorocznym Turnieju Wsi organizowanym przez Nowotomyski Ośrodek Kultury. Ze sceny rozbrzmiewa pieśń otwierająca obrzęd:

*Ziemio wielkopolska, co dzielisz się chlebem
Jak do dobrej matki idziemy do ciebie,
Wikliną i chmielem ta ziemia się chlubi
Pracą sprawiedliwych i życzliwych ludzi.*



Brawuudy Nowotomyskie - 1984 rok

Obrzęd jarmarkowy jest piękną inscenizacją artystyczną, z udziałem stałych elementów i symboli: grupy żywej wody, wiklinowego Jasia, chmielo-wiklinowego wieńca, śpiewów i tańców.

Z Jarmarkiem Chmielo-Wikliniarskim związanych jest wiele oryginalnych i charakterystycznych tylko dla tej imprezy konkursów, a mianowicie na najpiękniejszą formę wiklinową, na najdłuższą ramkę chmielową i największą szyszkę chmielową. Konkurs dla plecionkarzy na wyplecenie najciekawszego wyrobu z wikliny jest niezwykle widowiskowy dla gości odwiedzających jarmark. Rywalizacja toczy się bowiem w centrum parku i każdy może obserwować proces powstawania wiklinowych form konkursowych.

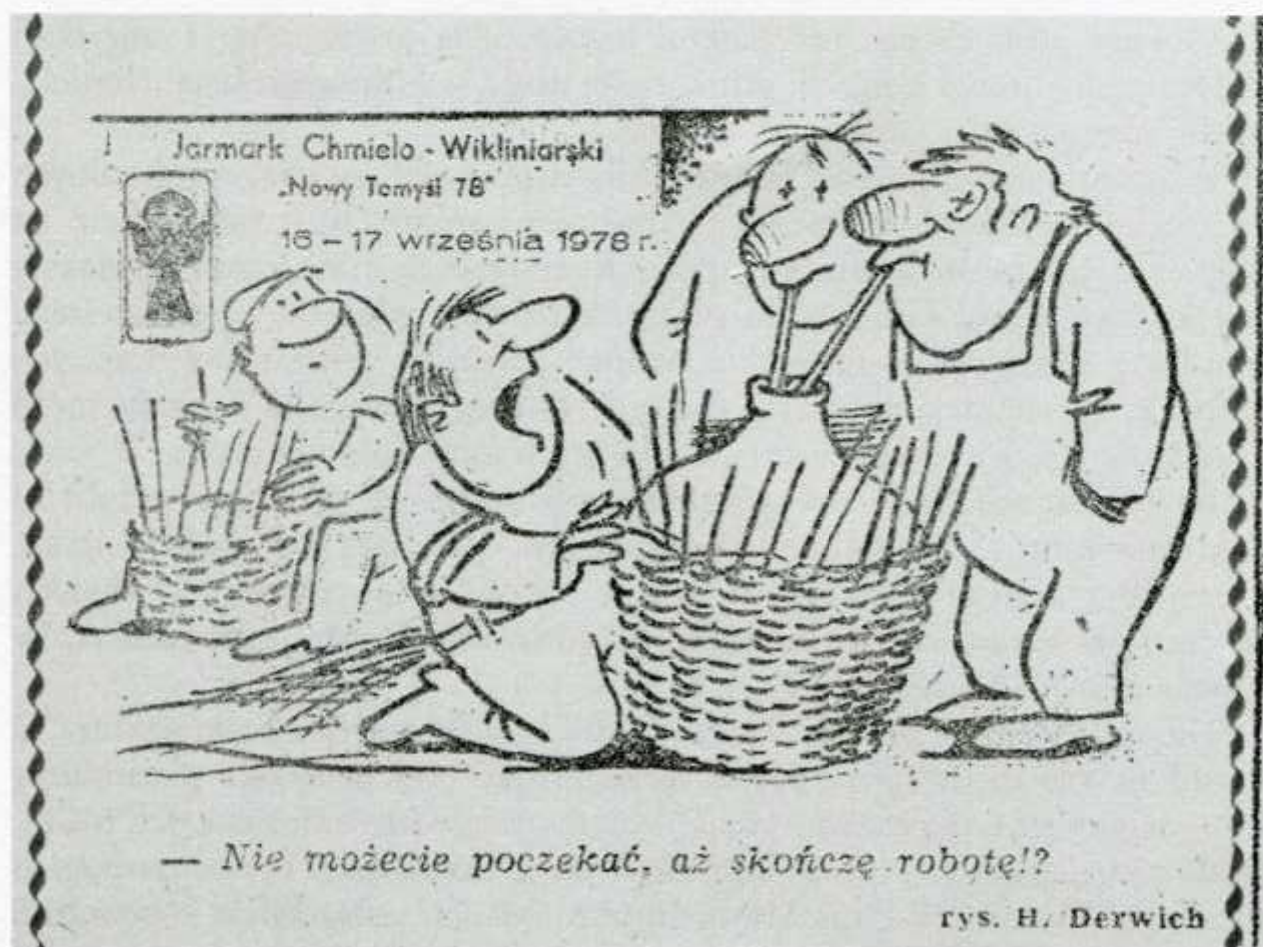
Nieodzownym elementem każdego jarmarku są stoiska z wyrobami wikliniarskimi. Nowotomyskie zakłady plecionkarsko-wikliniarskie prezentują szeroki asortyment swych wyrobów, począwszy od małych koszyczków po meble, którymi można urządzić dom. Bogata gama produktów sprostą gustom każdego odbiorcy.

Nie odbywają się już natomiast wybory króla chmielu i króla wikliny. O tytuły te rywalizowali w pierwszych jarmarkowych latach plantatorzy legitymujący się największymi osiągnięciami w dziedzinie uprawy tych roślin. Jeden z jarmarkowych dni w minionych latach oddawany był do dyspozycji młodzieży. W ramach Dnia Młodości uczniowie uczestniczyli w korowodzie jarmarkowym i prezentowali na scenie swoje szkoły. Spośród siebie wybierali najmilszych Chmielinka i Wiklinkę. Trwałym śladem po tej formie udziału

dzieci i młodzieży w jarmarku jest ich bardzo liczny udział w korowodzie jarmarkowym. Poprzezbierani w barwne stroje, z transparentami i flagami z nazwami szkół i przedszkoli, stanowią ważną część pochodu podążającego ulicami miasta.

Do historii przeszły też organizowane w ramach Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego „Brawyn dy Nowotomyskie”, które zainicjowane zostały w 1983 roku. Publiczność do woli mogła nasłuchać się gwary poznańskiej. Rok później z estrady płynęło hasło: *Wiaruchno kochana! Brawyn dy styndy i zez towyndy*, a publiczność zabawiali: Władysław Jan Przybylski, Marian Pogasz, Jerzy Walczak, Janusz Kaźmierczak, Adam Lewandowski, Kapela „Zza Winkla” i Lech Konopiński, którego teksty piosenek w formie niewielkiej książeczki wydało Nowotomyskie Towarzystwo Kulturalne.

Minionym jarmarkom towarzyszyły wystawy wyrobów wykonanych z wikliny, wystawy kwiatów, płodów rolnych, osiągnięć działkowców, jarmarkowy Turniej Wsi, pokaz mody ślubnej, pokaz strojów wykonanych z wikliny i cała gama innych imprez. To ludzie, mieszkańcy ziemi nowotomyskiej są głównymi kreatorami jarmarku. Od ich pomysłowości i zaangażowania w dużej mierze zależy jego forma i atrakcyjność. W ramach tegorocznego jarmarku zorganizowany został I Międzynarodowy Konkurs Plecionkarski, w którym uczestniczyły cztery reprezentacje z Francji, Ukrainy, Rudnika nad Sanem i repre-



Rysunek H. Derwicha, będący zaproszeniem do udziału w Jarmarku Chmielo-Wikliniarskim
- Express Poznański nr 209, 16-17.09.1978 r.

zentacja Stowarzyszenia Plecionkarzy i Wikliniarzy Polskich w Nowym Tomyślu. Prace konkursowe oceniało międzynarodowe jury. Kolejne edycje jarmarków niewątpliwie zaskoczą nas nowymi pomysłami i formami uatrakcyjniającymi ich przebieg.

Jarmark Chmielo-Wikliniarski, jako największe wydarzenie kulturalne w gminie, łączony był z wieloma innymi inicjatywami o charakterze kulturalnym, gospodarczym i społecznym. W roku 1986 właśnie Jarmarkiem Chmielo-Wikliniarskim zakończyły się obchody 200-lecia miasta. W roku 2000 podczas inauguracji jarmarku odsłonięty został największy na świecie wiklinowy kosz, który wyplekli nowotomyscy plecionkarze, a który z racji swych wymiarów wpisany został do Księgi Rekordów Guinnessa.

Uczestnicy jarmarku byli świadkami podobnego wydarzenia w roku 2006, gdy na placu Niepodległości stanął kolejny kosz. Od 1996 roku jarmark organizowany jest jako trzydniowe święto, w łączności z dożynkami gminnymi, które w 2004 roku przebiegały w sposób szczególny – jako dożynki archidiecezjalno-samorządowe. W roku 1996 w ramach jarmarku zorganizowany został I Big Band Festiwal. Zespoły walczyły o statuetkę Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego. Kolejne festiwale, jako samodzielne już imprezy, organizowane są rokrocznie w czerwcu.

Jarmark Chmielo-Wikliniarski to impreza skierowana do odbiorców o różnych gustach artystycznych. Komitet organizacyjny stara się im sprostać, zapraszając do udziału w nowotomyskim święcie wielu artystów. Obok wykonawców miejscowych, których można posłuchać na jarmarkowej scenie, od 1990 roku na jarmark zapraszani są artyści estradowi, znani i popularni w całej Polsce. Pierwszą gwiazdą goszczącą w Nowym Tomyślu była Urszula Sipińska. W kolejnych latach prezentowali się m. in.: Maryla Rodowicz, Agnieszka Fatyga, De Mono, Eleni, Zbigniew Górny z Galą Gal, Elektryczne Gitary, Myslowitz, Just 5, Dżem, Perfekt, Lady Pank, Zakopower, Kayah, Czarno-Czarni, Kombii, Leszcze, Urszula, Raz Dwa Trzy, Eleni, Małgorzata Ostrowska, Ewa Kuklińska, Brathanki, kabarety Paka, Otto, Pod Wydrwigrosem i wielu innych wykonawców.

Jarmark Chmielo-Wikliniarski odmienia oblicze Nowego Tomyśla. Tak jak przy pierwszej jego edycji na ulicach trwa wielkie porządkowanie, zawiesza-



Panienka jarmarkowa - aktualne logo Jarmarku



PROGRAM

Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego

12 września 1987 r.

godz. 11.00 — Imprezy rekreacyjno-sportowe,

godz. 13.30 — Otwarcie Dnia Młodości,

godz. 15.00 — Rockowisko-Chmielowisko.

13 września 1987 r.

godz. 13.00 — Otwarcie Jarmarku,

godz. 14.00 — Blok imprez estradowych,

godz. 19.00 — Zabawa Ludowa.

UPRZEJMIE ZAPRASZAMY

Obywatela
do wzięcia udziału

w

**Jarmarku
Chmielo –
Wikliniarskim**

który odbędzie się
w dniach 12 — 13 września 1987 r.
w Nowotomyskim Parku Kultury
i Wypoczynku.

Komitety Organizacyjne

Z
A
P
R
O
S
Z
E
N
I
E

Zaproszenie - program Jarmarku - 1987 rok



W korowodzie jarmarkowym zawsze licznie uczestniczyły dzieci i młodzież - 1984 rok

nie banerów, strojenie w chmiel i wiklinę sklepów uczestniczących w konkursie. Odczuwa się miłe ożywienie i wszystkim udziela się nastrój oczekiwania, podobny temu przed wielkimi świętami. Dla mieszkańców Nowego Tomysła jarmark jest bowiem ważnym wydarzeniem, jest świętem bliskim sercu. Czym jest jednak świętowanie bez towarzystwa. Tylko gdy mamy z kim dzielić ten radosny świąteczny nastrój jarmark nabiera właściwego sensu. Nowotomyślanie zapraszają zatem swoje rodziny, przyjaciół, znajomych. Wspólny spacer do parku, posłuchanie koncertów ulubionych gwiazd zaproszonych do Nowego Tomysła, wspólny śmiech na kabaretowych wieczorach i taniec na nocnych dyskotekach, także wspólnie wypite kufle piwa i gorące przekąski kosztowane pod namiotami – to urok tego festynu. I chociaż jest ciasno i głośno, nikomu to nie przeszkadza. To także buduje nastrój jarmarkowy.

Impreza ta przysparza wiele radości także dzieciom. Przejażdżka na karuzeli należy do tradycji. Dmuchane zabawki – wynalazek dziecięcej rekreacji ostatnich lat, przejażdżki na kucykach i quadach, fantowe loterie, lody i gofry, które nigdzie tak dobrze nie smakują jak na jarmarku – to główne atrakcje dla maluchów.

Jarmark Chmielo-Wikliniarski to impreza, która toczy się na wielu płaszczyznach. Jednocześnie w kilku punktach miasta rozgrywane są zawody, toczą się rywalizacje o jarmarkowe puchary i dyplomy. Mieszkańcy Nowego Tomysła starają się przeżyć jarmark w sposób, który sprawia im najwięcej radości i satysfakcji, który jest odzwierciedleniem ich pasji i zamiłowań.



Uroczyste odsłonięcie i nadanie imienia „Kosz 2006” największej tego typu budowli na świecie



I Międzynarodowy Konkurs Plecionkarski zorganizowano w ramach Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego w 2007 roku

Hodowcy gołębi pocztowych organizują konkursowe loty gołębi, na strzelnicy sportowej w Parku Kultury i Wypoczynku członkowie klubu strzeleckiego LOK strzelają z broni pneumatycznej i małokalibrowej, rozgrywane są mecze piłki nożnej, siatkówki plażowej, tenisa ziemnego, badmintonu, brydża sportowego, rajd samochodowy, spławikowe zawody wędkarskie na jeziorze Brajec. Puchar zdobyty na jarmarku to wielka satysfakcja, a wygraną cieszyć i chwalić się można przez cały rok, aż do kolejnego święta chmielu i wikliny.

Organizacja Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego to kosztowne przedsięwzięcie. Część środków na ten cel pochodzi z budżetu gminy. Dużej pomocy udzielają też sponsorzy – miejscowe firmy, instytucje, indywidualni darczyńcy, którzy włączają się w organizację nowotomyskiego święta poprzez datki finansowe i materialne oraz wykonane prace. Organizatorzy nazywają ich *Przyjaciółmi jarmarku*, więc jak prawdziwi przyjaciele nigdy nie zawodzą. Dzięki ich zaangażowaniu w Nowym Tomyślu może być organizowana jedna z największych imprez w Wielkopolsce, imprez na której bawią się nie tylko nowotomyskanie, ale także goście z kraju i zagranicy.

Jarmark Chmielo-Wikliniarski to ogromne przedsięwzięcie organizacyjne. Na wiele miesięcy przed imprezą komitet organizacyjny rozpoczyna planowanie przebiegu jarmarku i podejmuje pierwsze przygotowania. Najbardziej intensywne są jednak prace w dni poprzedzające nowotomyskie święto. W przygotowaniach uczestniczą setki osób. To oni dopilnowują wszystkich szczegółów, swoją rzetelną i sumienną pracą troszcząc się o sprawny przebieg imprezy. Cały sztab organizacyjny nie ustaje też w wysiłkach podczas trwania jarmarku, jest gotowy nieść pomoc i reagować na wszystkie mogące pojawić się problemy. Tylko on zna arkana tej pracy. Tysiącom osób przybywającym na trzydniową imprezę zapewnione musi być bezpieczeństwo. Tutaj pomocą służą policja, straż miejska, pogotowie ratunkowe, firmy ochroniarskie i strażacy, zarówno zawodowi, jak i ochotnicy. Kierowanie ruchem, wskazywanie miejsc parkingowych i czuwanie nad sprawnym i spokojnym przebiegiem całej imprezy to ich domena.

Trzydzieści lat temu rozpoczęło się jarmarkowe świętowanie. To ludzie – mieszkańcy miasta i wsi skupionych w obrębie gminy chcą, by impreza właśnie w tej formie trwała. Angażują się zatem w jej przebieg, uświetniają ją swoimi działaniami i pomysłami. I na tym właśnie polega sukces i fenomen Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego. Jest to bowiem święto ludzi, mieszkańców tej chmielowo-wiklinowej krainy i dopóki trwać w nich będzie dziecięca wręcz radość czerpana ze wspólnej zabawy, poczucie więzi i tożsamości z tradycją swej małej ojczyzny oraz potrzeba wspólnego bycia – jarmark będzie trwał.

Foto: archiwum Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej
i Nowotomyskiego Ośrodka Kultury

NASZE ŚRODOWISKO

Tadeusz Szymański

Przyrodnicze i organizacyjne uwarunkowania Nadleśnictwa Bolewice w ujęciu historycznym

Nie jest łatwo – wbrew pozorom – zrozumieć i poznać rejon, w którym mieszkamy i pracujemy. To, co wpłynęło na obecny wygląd krajobrazu, ukryte jest przed naszym wzrokiem pod szatą roślinności, gleby, czasu biegnącego nieubłaganie i zmieniającego otoczenie od jednej formy do następnej. Badaniem tych zjawisk na skalę epoki i krainy zajmuje się wielu naukowców różnych specjalności, lecz często w konkretnym miejscu, w którym żyjemy brak kompleksowych badań geologicznych, siedliskowych, botanicznych czy historycznych. Tak się składa, że lasy państwowe prowadzą dla poszczególnych nadleśnictw okresowo szczegółowe badania wielu aspektów przyrodniczych, siedliskowych i innych, które ukierunkowane są na osiągnięcie celu produkcyjno-przyrodniczego czyli na uzyskanie jak najzdrowszej i najlepszej jakościowo produkcji, m. in. drewna i tlenu, a także optymalizacji pochłaniania dwutlenku węgla, tworzenia różnorodnych zespołów roślinnych, kształtowania estetyki krajobrazu oraz wielu innych korzyści płynących z lasu. Wyniki tych badań powinny być popularyzowane w jak najszerszym zakresie. Uważam, iż doskonałym miejscem na ich przytoczenie jest „Przegląd Nowotomyski”.

Nadleśnictwo Bolewice położone jest na południowym wschodzie Rejonowej Dyrekcji Lasów Państwowych Szczecin. Od zachodu graniczy z Nadleśnictwem Trzciel, od północy z Nadleśnictwem Międzychód, od północnego wschodu z Nadleśnictwem Sieraków, od wschodu z Nadleśnictwem Pniewy, od południowego wschodu z Nadleśnictwem Grodzisk wchodzącymi w skład RDLP Poznań, a od południa z Nadleśnictwem Wolsztyn wchodzącym w skład RDLP w Zielonej Górze.

Ustąpienie lodowca z obszarów, na których położone jest Nadleśnictwo Bolewice nastąpiło około 11-12 tysięcy lat temu. Historia kultur ludzkich na tych terenach rozpoczęła się 4-5 tysięcy lat po ustąpieniu lądolodu. Pierwsze ich ślady nad górną Odrą pochodzą z epoki kamienia, z okresu paleolitu schyłkowego (ok. 7,9 tys. lat p. n. e.). Nad Odrą środkową występują ślady kultur z okresu mezolitu (ok. 7,5 – 4,0 tys. lat p. n. e.), świadczące o pierwotnie większym zainteresowaniu bezpośrednim sąsiedztwem Odry, gdyż obszary w głębi lądu zasiedlane były później.

W 1974 roku badacz skandynawski J. Mangerud opublikował podział holocenu na okresy. Pierwszy, najstarszy okres, który nazwał *preborealnym* charakteryzował się dominacją świetlistych lasów brzozowych i sosnowych z domieszką osiki, jarzębiny i wierzb. Kolejny okres, zwanym *borealnym*, znamionowała dominacja zbiorowisk sosnowych i leszczyny. Pojawiły się wtedy także takie gatunki drzew jak świerk, wiąz, dąb i lipa. Jest to okres najintensywniejszych, dynamicznych wędrówek i przekształceń zbiorowisk leśnych. W tym okresie w dnie lasów zanika roślinność heliofilna (światłolubna). W następnym okresie holocenu – *atlantyckim* – kształtowały się bogate lasy mieszane z lipami, wiązami, dębami i jesionami. Zbiorowiska te były bardzo stabilne, maksymalnie wykorzystujące warunki klimatyczne i siedliskowe. Okres zwany *subborealnym* przynosi z kolei wzrost znaczenia dębu na niekorzyść jesionu i lipy. Równocześnie z obszarów otaczających Polskę zaczynają migrować grab i buk. Grab swą ekspansję rozpoczął z kierunku południowo – wschodniego.

W tym czasie wzrasta aktywność ludzka w sferze przekształcania środowiska naturalnego. Nakładające się na siebie odpowiednie wymagania siedliskowe buka i grabu, oceanizacja i ochłodzenie klimatu przyczyniły się do ekspansji tych gatunków. Zaznaczyć należy dominację graba, jako gatunku znacznie bardziej elastycznego, o dużych możliwościach regeneracji wegetatywnej. W tym czasie rozpoczęła również swą ekspansję jodła, która z kierunku zachodnio-południowego wędrować zaczęła na wschód. W ten sposób w okresie subborealnym wykształciły się lasy o składzie gatunkowym bardzo zbliżonym do współczesnego.

Pierwsze liczniejsze ślady osadnictwa człowieka na terenie Wielkopolski pochodzą z okresu borealnego (4,5 – 2,5 tys. lat p. n. e.). Ludy osiedlały się wtedy na piaszczystych terenach, wzdłuż wąskich dolin rzecznych. Początkowo, z powodu niskiej kultury rolnej, nie opanowano żyznych gleb gliniastych. Przesuszenie klimatu, prowadzące do ustępowania jezior, osuszania bagien, powstawania licznych polan i obszarów bezleśnych okazało się sprzyjającym czynnikiem dla rozwoju osadnictwa. Dominowała gospodarka odłogowa, a nowe tereny pozyskiwano przez karczowanie i wypalanie lasów.

Ostatnim okresem, w którym społeczeństwa pradziejowe biernie korzystały z zasobów przyrody był mezolit. W okresach późniejszych intensywność wykorzystania i przekształcania środowiska naturalnego była coraz większa.

Z nastaniem epoki brązu możemy już mówić o w pełni świadomym jego przekształcaniu. Większe, ważniejsze kultury na tym terenie w epoce brązu to unietycka (ok. 1900 lat p. n. e.), przedłużycka (ok. 1500 lat p. n. e.) oraz łużycka (ok. 1300 lat p. n. e.). Ta ostatnia - funkcjonując w epoce brązu i żelaza - okazała się jedną z trwalszych kultur. Dzieliła się na okresy - we wczesnej epoce żelaza wyróżnia się okres halszacki (ok 700 lat p. n. e.), charakteryzujący się budową mocno fortyfikowanych, drewnianych grodów.

Znaczne ochłodzenie klimatu oraz katastrofalne zwiększenie opadów, które nastąpiło w epoce żelaza (lata 800 - 0 p. n. e.) zahamowało proces osadniczy. Pod koniec IV wieku na kontynencie europejskim zaszły poważne zmiany polityczne i cywilizacyjne. Rozpoczął się czas wędrówki ludów, która spowodowała na terenie Polski m. in. zanik niektórych kultur oraz osadnictwa. Zachował się jedynie zachodniobałtyjski krąg kulturowy. W okresie V-VI wieku na tych terenach pojawili się Słowianie. W tym czasie stwierdzono mobilność osad, związaną z wyjaławieniem pól, eksploatowanych w jednym miejscu kilka lat. Wylesianie było więc również krótkookresowe.

Żyzność gleb stanowiła najistotniejsze kryterium wyboru siedzib. Od VIII do połowy X wieku tereny te przechodziły fazę plemienną. Na Nizinie Wielkopolskiej bytowały zróżnicowane plemiona. Te zamieszkujące nad środkową Odrą nawiązywały kulturowo do plemion śląskich. „Geograf Bawarski” za największe plemię okolic środkowej Odry przy ujściu Baryczy uznaje Dziadoszan (*Dadosesani*). Tereny na północ i wschód od Dziadoszan opanowali Polanie (Łędzianie - wg. „Geografa Bawarskiego”). Badania archeologiczne dowodzą, że nad górną i środkową Odrą istniała osobna grupa plemienna, nawiązująca wieloma cechami swej kultury do plemion śląskich. Było to najprawdopodobniej odgałęzienie plemion Polan, ponieważ południowe grupy plemion Wielkopolski nawiązywały do plemion śląskich i małopolskich.

Za pierwszych Piastów, w okresie panowania Mieszka I oraz Bolesława Chrobrego ziemie, na których położone jest nadleśnictwo wchodziły w skład Państwa Polskiego. Od tego czasu rozpoczął się okres ponownego intensywniejszego osadnictwa na tym terenie. Do dziś przetrwało, położone na terenie Pszczewa średniowieczne grodzisko obronne z przełomu X i XI wieku. W późniejszych latach obszary te podlegały zmiennym wpływom politycznym, co różnie oddziaływało na rozwój rejonu.

W okresie od V w p. n. e. do VI w. n. e. stale podnosił się poziom wód gruntowych oraz zaznaczył się wzrost powierzchni jezior i bagien. W następnych wiekach wraz z rozwojem gospodarczym następował dalszy spadek lesistości.

Teren obecnego nadleśnictwa Bolewice w przeszłości był wykorzystywany głównie rolniczo. Nie istniały tu duże ośrodki przemysłowe. Energii i ciepła dostarczało głównie drewno oraz torf. Rozwój rolnictwa przyniósł dużo szkód

terenom leśnym. W miejscach wycinek nie sadzono nowych lasów, pozostawiając je do odnowienia naturalnego lub zamieniając ich teren na pola uprawne. Na terenie obecnego obrębu Lewice proces wylesienia posunięty był tak daleko, że około 90 % obszaru obecnych lasów pokrywały w czasach historycznych pola uprawne. Las pozostał tu tylko w terenach niedostępnych lub bardzo trudnych w uprawie.

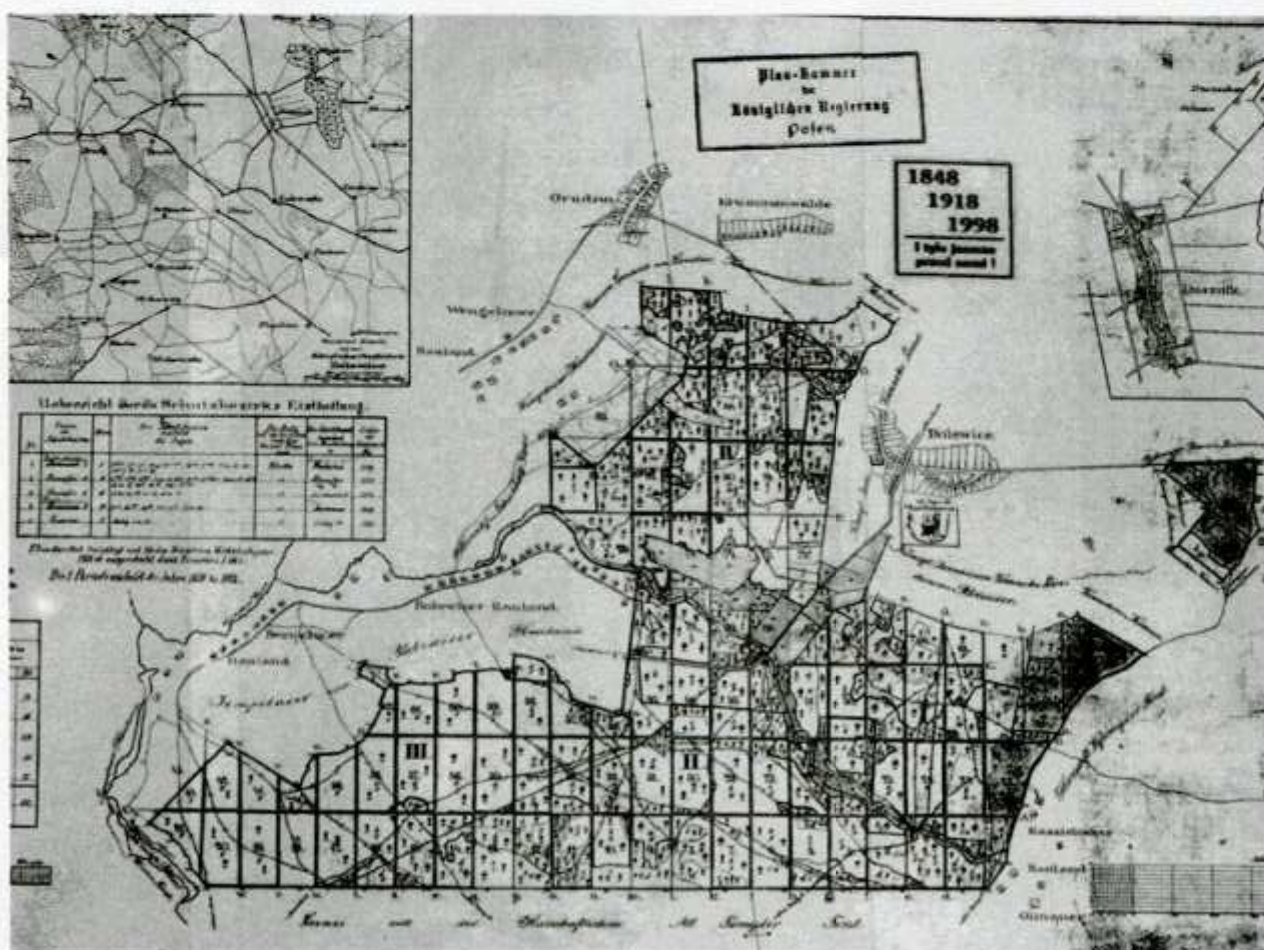
Gospodarka rolna na tych terenach rozwijała się już od średniowiecza, a jej intensyfikacja nastąpiła w XVIII wieku, kiedy to pozbawiono lasów okolicy wsi Jabłonka, Świechocin, Silna, Stoki i Dormowo. Na mapie Prus Południowych z lat 1802-1803 w trójkącie łączącym wsie Jabłonka - Dormowo - Stoki brak jakiegokolwiek lasu, natomiast w czworoboku Lewice - Silna - Dormowo - Gralewo las zajmuje zaledwie 40 % powierzchni. Podobnie wyglądał wschód obrębu Lewice, gdzie trójkąt zlokalizowany między wsiami Tuczepy - Krzyżkówko - Młostowo był bezleśny.

Poza presją rolniczą już od XVIII wieku postępowała presja przemysłu - w końcu wieku, w okolicach Szklarki Trzcielskiej (na zachód od obecnych granic nadleśnictwa) powstała nawet huta szkła. Od czasu rozwoju huty systematycznie w jej okolicy malał areał zajmowany przez drzewostany liściaste (szczególnie bukowe). Wycięte lasy zamieniono na pola uprawne. Huta szkła istniała również pod Głazewem (na mapie z 1893 roku - Glasberg). Działalność tej huty spowodowała wyrąb większości drzewostanów bukowych występujących na północy obrębu Lewice. Na terenie obrębu Bolewice z drzew iglastych pozyskiwano m. in. smołę, co zaowocowało nazwaniem przysiółka „Smolarnią”, a przede wszystkim oznaczało wylesianie terenu. Pod koniec XIX wieku oddano do użytku pierwszą linię kolejową Międzychód - Trzciel. W tym czasie nastąpiło na terenie nadleśnictwa nasilenie germanizacji. Dotowani przez państwo osadnicy niemieccy i holenderscy zaczęli uprawiać wcześniej nie zagospodarowane tereny np. w okolicach Piotrów czy Bolewicka, stąd późniejsze, znaczne ilości leśnych siedlisk porolnych, nawet na piaskach eolicznych i wydmach.

Równocześnie w połowie XIX wieku rozpoczęła się tu planowa gospodarka leśna. Niestety maksymalizacja renty gruntowej w połączeniu z zapotrzebowaniem na drewno iglaste spowodowały degradację labilnych siedlisk leśnych. Dotyczy to szczególnie siedlisk lasów mieszanych oraz lasów świeżych. W miejsce drzewostanów mieszanych i litych liściastych wprowadzano także monokultury sosnowe. Największe nasilenie oddziaływania człowieka na środowisko przyrodnicze miało miejsce od końca XVIII do początku XX wieku, kiedy to teren ten był znacznie gęściej zaludniony niż obecnie. Silny rozwój myśli technicznej XIX wieku pozostawił po sobie ślad w postaci budowli inżynieryjno-technicznych, które spotyka się na terenie nadleśnictwa. Przykładem takich budowli są: linia kolejowa, ruiny młynów wodnych i hut szkła, stawy hodowlane (Krzyżkówko, w dolinie Kamionki), bardzo liczne piaskowane czy osuszone torfowiska.



Stan odlesienia z 1893 roku pokazuje mapa z przełomu XIX i XX wieku





Wieża Marii od 130 lat służy obserwacji przeciwpożarowej



Widok na leśnictwo Szklarzę , Leśny Folwark i jeszcze dalej....

Działania podyktowane postępem technicznym nie zawsze sprzyjały środowisku. Szczególnie nieprzemyślane osuszanie bagien, czy przekopywanie wododziałów miało katastrofalny wpływ na biocenozę, w skrajnych przypadkach powodując ich całkowite zniszczenie.

Przykładem pożytecznej budowli inżynierskiej jest wieża „Marii” zbudowana w 1877 roku w celu obserwacji przeciwpożarowej. Z czasem uległa zniszczeniu – do 1980 roku w lesie prezentowały się tylko jej szczątki. Z uwagi na dobrą lokalizację i unikalną, drewnianą konstrukcję obiektu, bolewicki leśnicy wspólnie z Narodowym Funduszem Gospodarki Wodnej i Melioracji zdecydowali o jego odbudowie i modernizacji. Prace zakończono w roku 2005 uzyskując w ogólnopolskim konkursie tytuł „Modernizacja Roku 2005”, w kategorii obiekty przemysłowo – inżynierskie. Wieżę (widoczną na zdjęciu) będzie można zwiedzać od roku 2008.

Po II wojnie światowej dodatkowym elementem obniżenia zaludnienia były przesiedlenia ludności. W okresie tym, ze względów politycznych i gospodarczych zalesiono znaczne powierzchnie gruntów rolnych słabej jakości oraz kłopotliwych w uprawie. Proces zalesiania gruntów porolnych nasilił się ponownie po roku 1990, w czasie transformacji ustrojowej Polski, kiedy to zalesiono sporo gruntów po byłych PGR-ach.

Drzewostan dawnych lasów tego terenu stanowiły sosny, mieszane z bukami, sosny i dęby, a także mieszanki liściaste – głównie dębowe i bukowe, w dolinach torfowych zaś olszowe i jesionowo-olszowe. Wiele szkód – przez wycinkę czy pożary – przyniosły kolejne wojny, które przetaczały się i przez te tereny.

Nie zachowały się szczegółowe dane historyczne na temat gospodarki leśnej, na terenach administrowanych obecnie przez nadleśnictwo. Większość lasów obecnego nadleśnictwa to były lasy państwowe i lasy pomajątkowe, upaństwowione na mocy Dekretu z dnia 12 grudnia 1944 roku o przejęciu niektórych lasów na własność Skarbu Państwa.

Obszary leśne, które znajdowały się we własności większych majątków ziemskich były prawdopodobnie prowadzone zgodnie z tendencjami szkoły leśnictwa niemieckiego, tzn. gospodarki opartej na pojęciu „renty leśnej”, czyli dochodu, który w równych wysokościach i w równych odstępach czasu wpływał do kasy nadleśnictwa. W lasach byłej drobnej własności w zasadzie nie prowadzono żadnej racjonalnej gospodarki leśnej.

Dominowały zręby wielkopowierzchniowe, które odnawiane były głównie sosnami pochodzącymi z nasion lub sadzonek różnego pochodzenia. Niektóre powierzchnie zalesiły się samosiewami brzoźowymi. Charakter małej części drzewostanów starszych klas zdradza zaniedbanie w zabiegach pielęgnacyjnych, stosowanie materiału sadzeniowego niepewnego pochodzenia, pewną ilość przyziemnych pożarów oraz fragmentaryczną gospodarkę rabunkową.

Właścicielami największej powierzchni lasów na terenie nadleśnictwa byli właściciele ziemscy – hrabiostwo Łąccy z Lwówka. Za działalność patrio-

tyczną, popieranie polskich powstań narodowych i przeciwstawianie się germanizacji, w 1848 roku władze pruskie pozbawiły rodzinę Łąckich majątku. Z lasów będących ich własnością utworzono Pruskie Lasy Państwowe Nadleśnictwa Bukowy Ostrów (*Königlichen Oberförsterei Buchwerder*).

Było to pierwsze nadleśnictwo państwowe działające na terenie obecnego Nadleśnictwa Bolewice. Prowadziło gospodarkę zgodną ze szkołą niemiecką. Do dziś widoczne jest wprowadzanie w życie „Zasad ogólnych” Hartiga z 1815 roku oraz ich modyfikacji (po zaprzestaniu protekcjonizmu państwowego) dokonanych przez Pfeila około 1840 roku, kiedy to wprowadzono maksymalną rentę gruntową.

Jedynie racjonalne zyski dawały w tym przypadku zręby wielkopowierzchniowe odnawiane jednogatunkowymi drzewostanami iglastymi, głównie sosnowymi. Pozostałością tego procesu są drzewostany sosnowe na siedliskach lasów i lasów mieszanych w leśnictwie Bolewice (dawne nadleśnictwo Bukowy Ostrów). W tym okresie powstała również niezwykle regularna sieć linii podziału powierzchniowego, który na pozostałym terenie jest mało regularny.

Po odzyskaniu niepodległości (w 1918 r.), w 1925 roku utworzono pierwsze polskie „Nadleśnictwo Państwowe Bolewice”. Nadleśnictwo to obejmowało pięć leśnictw: Duszniki, Bolewice, Smolarnia, Modrzewina i Glinki.

Jak wcześniej wspomniano, na terenie obecnego obrębu Lewice deforestacja (wylesienie) była znacznie bardziej posunięta aniżeli na terenie obrębu Bolewice. Dopiero na przełomie XIX i XX wieku rozpoczął się na większą skalę proces restytucji lasu. W tym czasie zalesień dokonywali głównie prywatni właściciele, którzy rezygnowali z uprawy roli. Proces ten przerwała II wojna światowa, a od 1945 był kontynuowany głównie przez administrację państwową do 1963 roku, kiedy zakończył się proces przejmowania i zalesiania większych powierzchni gruntów rolnych.

Po zakończeniu II wojny światowej na mocy dekretu PKWN z dnia 6 X i 12 XII 1944 r. administracja Lasów Państwowych na tym terenie przejęła lasy przedwojennego państwowego nadleśnictwa Bolewice (bez leśnictwa Duszniki), lasy własności ziemskich oraz lasy drobnej własności prywatnej (głównie polskiej). Formalne przejęcie nastąpiło w 1945 r. W tymże roku na obszarze obecnego Nadleśnictwa Bolewice istniały dwa Nadleśnictwa Państwowe Bolewice i Lewice.

Nadleśnictwo Lewice utworzono z byłych lasów państwowych, lasów majątkowych i lasów drobnej własności głównie polskiej.

Utworzone w 1945 roku Nadleśnictwo Bolewice (aktualnie Obręb Bolewice), zarządzało lasami przedwojennego Nadleśnictwa Bolewice bez leśnictwa Duszniki (Obręb Kuźnica), lasami wielkiej własności ziemskiej, lasami drobnej własności oraz polskimi.

W ciągu ostatniego półwiecza granice obecnego Nadleśnictwa ulegały ciągłym zmianom. Z dniem 1 stycznia 1978 roku (Zarządzenie Nr 47 Naczelnego Dyrektora LP z dn. 10.11.1978 r.) zostało powołane jako nadleśnictwo dwuobróbowe. Największe przesunięcia powierzchniowe miały miejsce, kiedy przekazano do nadleśnictwa Pniewy, Grodzisk i Wolsztyn powierzchnie wchodzące w skład nowo powstałych województw.

Czynniki biotyczne (wynikające z działania jednych żywych organizmów na inne żywe organizmy), nękające lasy obecnego nadleśnictwa to przede wszystkim szkodniki owadzie i grzybowe. Owady żerowały w lasach nadleśnictwa od zawsze. Numberg podaje, że lasy nadleśnictwa leżą w strefie stałego zagrożenia ze strony owadów. Istnieją tu stałe ogniska gradacyjne. Historyczne zapisy większych pojawów i gradacji notowane są od roku 1922. W latach 1922-1923 lasy przedwojennego nadleśnictwa (majątku) Łomnica graniczącego z południowymi lasami nadleśnictwa Bolewice, a obecnie obrębu Bolewice, w 30 % zniszczyła gradacja strzygoni choinówki.

Kolejnym, ale zdecydowanie najważniejszym, szkodnikiem owadzi w nadleśnictwie jest brudnica mniszka. Największa gradacja nastąpiła w latach 1980 - 1983, kiedy to kulminacja występowania szkodnika i równoczesnego jego zwalczania objęła powierzchnię 20 118 ha, co oznacza objęcie gradacją prawie całego nadleśnictwa, a szczególnie gatunków iglastych. Doprowadziła ona do zagłady większości drzewostanów świerkowych i znacznego uszkodzenia wielu drzew sosnowych. Zaistniało też znaczne zagrożenie ze strony cetyńców, które tylko w latach 1973 -1982 spowodowały usunięcie z lasu nieplanowanych 13 908 m³ drewna. Poza wymienionymi szkodnikami notowano na terenie nadleśnictwa boreczniki, sieciecha niegłębka, szeliniaka sosnowego, zwójkę choinówkę i sosnoweczkę, rzemliki, pędraki, zmienniki, smoliki, poprocha cetyńca, przedziorki i inne. Pojawy te, mimo że nie miały charakteru gradacji, zmniejszały aparat asymilacyjny drzewostanów iglastych, co spowodowało konieczność jego regeneracji, a w konsekwencji zahamowanie ich przyrostów. Dane te potwierdzają, że na terenie Nadleśnictwa istnieją ogniska gradacyjne takich gatunków jak strzygonia, brudnica mniszka, boreczniki i zwójki. Bardzo ważnym elementem ochrony jest lokalizacja i permanentny monitoring tychże, celem zapobiegania masowemu pojawowi.

Znaczenie w kształtowaniu stanu i obrazu lasu mają też szkody wyrządzane przez grzyby. Szczególnie narażone są na nie drzewostany porolne, zajmujące znaczne powierzchnie na terenie nadleśnictwa. Drzewostany takie zajmują na terenie nadleśnictwa 8582 ha, co stanowi 47 % powierzchni leśnej. Do najgroźniejszych grzybów tu występujących należy huba korzeniowa, obwar sosny i opieńka miodowa. Wymagają one szczególnej troski o stan sanitarny oraz dbałości o prawidłowe określenie dalszego kierunku i celu hodowli.

Duże negatywne oddziaływanie na młode pokolenie lasu miała duża liczebność zwierzyny płowej. Tereny nadleśnictwa stanowiły od średniowiecza

historyczne bogate rewiry łowieckie. Również dzisiaj Bolewice znane są z dużej liczby zwierzyny, zwłaszcza dzików, jeleni i saren. Dla prawidłowego wprowadzenia gatunków liściastych konieczne było i nadal jest grodzenie upraw siatką drucianą, w celu zabezpieczenia przed działaniem tych zwierząt.

Szkodniki owadzie, jak również zwierzyna zgryzająca młode pokolenie gatunków liściastych, powodują zniekształcenie obrazu lasu. Prowadzi to do degradacji ekosystemu leśnego poprzez ograniczanie go do zbyt ubogich składów gatunkowych czy też monokultur sosnowych.

Czynniki abiotyczne (tzn. natury fizycznej, nieożywionej) szczególnie wiatry huraganowe również wpłynęły negatywnie na stan zdrowotny lasów. W latach 1973-1974 usunięto 5 225 m³ wiatrołomów, a w latach 1984-1989 kolejne 6 423 m³. Do tych czynników zaliczyć należy także pożary, które mogą zniszczyć obszary leśne. Istnieje obecnie znaczne niebezpieczeństwo przeniesienia szerokich pasów ognia bezpośrednio do lasu z otaczających go ugorów. Największe prawdopodobieństwo zaistnienia takiego zdarzenia powstaje na wiosnę podczas wypalania traw.

Lasy Nadleśnictwa Bolewice, jak większość obszarów leśnych Polski, zagrożone są szkodliwymi substancjami przemysłowych zanieczyszczeń transgranicznych. Są one przenoszone z Europy Zachodniej w górnych warstwach atmosfery i opadają wraz z opadami atmosferycznymi na lasy. Na powyższe czynniki destrukcyjne nałożyły się w ostatnim okresie niekorzystne zmiany klimatyczne związane z suszami lat 1982, 1992, 1993. Spowodowało to m. in. obniżenie poziomu wód gruntowych oraz osłabienie przyrostów drzew.

Wyżej opisane szkody natury abiotycznej wzmogły wystąpienie szkód ze strony czynników biotycznych, co jest naturalną konsekwencją wzajemnych oddziaływań zaistniałych w środowisku.

W obecnym okresie coraz większą wagę uzyskują zagrożenia antropogeniczne czyli wyrządzane przez człowieka, a w szczególności zaśmiecanie lasów i brak skutecznej gospodarki odpadami w ogóle, o czym świadczy ilość usuwanych przez leśników, gminy i rejony dróg śmieci, nielegalnie i nieodpowiedzialnie wywożonych do lasu, na nieużytki, czy też na pobocza dróg. Są to setki ton rocznie i pomimo apeli, akcji sprzątania świata, większej ilości parkingów leśnych i wreszcie coraz większej skuteczności w wykrywaniu sprawców, zjawisko to trwa, a jego skala rośnie.

O tym w jaki sposób można przeciwdziałać stwarzaniu zagrożeń dla otaczającej nas przyrody będą mogli Państwo przeczytać w kolejnych artykułach zamieszczonych w dziale: *Nasze środowisko* PRZEGLĄDU NOWOTOMYSKIEGO.

Foto.: Paweł Borówko

Edmund Żurek

Pomniki przyrody w mieście i gminie Nowy Tomyśl

Drzewa - ważny element środowiska

Drzewa, z uwagi na swoje wymiary, znacząco wpływają na warunki życia człowieka. Sprawują wiele ważnych funkcji: ekologiczną, estetyczną, społeczną i gospodarczą. W miastach wpływają na lokalny mikroklimat, podnoszą wilgotność powietrza, obniżają temperaturę w dzień (cień drzew), tłumią hałas, zatrzymują unoszący się pył, wyhamowują silne wiatry, w wyniku asymilacji pobierają CO₂ i produkują tlen. W obszarach zabudowanych, takich jak: osiedla mieszkaniowe, obiekty przemysłowe, infrastruktura drogowa, drzewa tworzą tzw. małą architekturę, środowisko przyjazne człowiekowi. Z wielkim pietyzmem ogląda się dziś stare widokówki i zdjęcia naszego miasta tonącego w zieleni wysokich drzew. Drzewa widoczne na tych zdjęciach rosną nie tylko wzdłuż ulic, ale również w obejściach, na podwórzach, skwerach i placach miejskich. Dzisiaj można by było zakwalifikować Nowy Tomyśl z tamtych lat – gdyby nadal istniała harmonia z przyrodą – do typu idealnego miasta, ku któremu obecnie dąży świat – EKOPOLIS.

Mniej więcej od lat 50. ubiegłego wieku szata roślinna Nowego Tomysła i jego okolic ulegała stopniowej degradacji. W wyniku rozwoju gospodarczego miasta zaczęto usuwać duże drzewa, często niepotrzebnie. Planista, nie będąc nawet w terenie, podejmował zza biurka decyzję dotyczącą wycięcia wielu drzew, chociaż niektóre mogłyby pozostać. W tym okresie możemy także odnotować pewne pozytywne działania. W 1947 roku ks. dziekan Michał Kosicki dokonał powiększenia cmentarza parafialnego w Nowym Tomysłu. Urządził go w myśl nowej koncepcji architektonicznej, dając mu założenie parkowe z alejkami dobranych gatunkowo drzew i krzewów. Zaslugą ks. Dziekana jest również powstanie ulicy Lipowej, łączącej bramę główną cmentarza z ul. Kolejową i obsadzenie jej drzewami lipowymi w podwójnym szpalerze.

W 1971 roku podjęto decyzję o powstaniu w zachodniej części miasta, między ulicami Sienkiewicza i Wypoczynkową, Nowotomyskiego Parku Kultury i Wypoczynku. Obejmuje on obszar 34 ha, w tym kilka hektarów zajmuje ZOO. Decyzja dotycząca powstania parku okazała się bardzo szczęśliwa, gdyż zapobiegła degradacji istniejącej zieleni. Powstało miejsce wypoczynku i rekreacji dla ludności miasta.

Pomniki przyrody – warunki ich wyznaczania

Podstawą prawną tworzenia pomników przyrody w Polsce jest ustawa z dn. 16 kwietnia 2004 roku o ochronie przyrody (Dz. U. Nr 92 poz. 880; z 2005 r. Nr 113 poz. 954, Nr 130, poz. 1087).

Ustawa ta wyróżnia następujące formy ochrony przyrody: parki narodowe, rezerваты przyrody, parki krajobrazowe, obszary chronionego krajobrazu, obszar Natura 2000, pomniki przyrody, stanowiska dokumentacyjne, użytki ekologiczne, zespoły przyrodniczo – krajobrazowe, ochrona gatunkowa roślin, zwierząt i grzybów.

Na obszarze gminy Nowy Tomyśl występują: Zespół przyrodniczo – krajobrazowy Głińskie Góry, użytki ekologiczne i pomniki przyrody.

Pomnikami przyrody są pojedyncze twory przyrody żywej i nieożywionej o szczególnej wartości przyrodniczej, naukowej, kulturowej, historycznej lub krajobrazowej. Na naszym terenie są nimi drzewa, pnącza (bluszcz) oraz głązy narzutowe pochodzenia polodowcowego. Pomnikiem przyrody może być pojedyncze drzewo albo grupy drzew rosnące na powierzchni nie przekraczającej 0,2 ha oraz aleje drzew. Obiekty uznane za pomniki przyrody oznakowane są urzędową tabliczką z godłem państwa i napisem *Pomnik przyrody. Prawem chroniony*. W alejach i grupach drzew tylko niektóre mają takie tabliczki. Prawo chroni pomnik przed jakąkolwiek ingerencją bez zgody wojewódzkiego konserwatora przyrody. Nie wolno więc wykonywać żadnych prac w koronie drzewa, np. wycinać gałęzi, przybijać tablic oraz ingerować w system korzeniowy drzewa.

Szacunkowe, minimalne wymiary drzew określające je jako pomniki przyrody wyglądają następująco:

<i>Lp</i>	<i>GATUNKI</i>	<i>obwód</i>	<i>pierśnica</i>
1	bez czarny, bez koralowy, cis pospolity, wszystkie gatunki: jałowca, żywotnika, jarząba, cypryśnika, czeremchy	100	50
2	leszczyna turecka, tulipanowiec, magnolia, miłorząb, sosna, limba	150	50
3	grab zwyczajny, grusza polna, jabłoń płonka, jawor, wszystkie gatunki: brzozy, wiązu	200	70
4	olsza czarna	220	70
5	dagleźja, iglicznia, perełkowiec, pozostałe gatunki sosny	250	100
6	buk zwyczajny, kasztanowiec zwyczajny, robinia, pseudoakacja, klon, płatan, wszystkie gatunki: dębu, lipy, wierzby	300	120
7	topola, osika	200	70
8	pozostałe gatunki topoli	400	120

Obwód i pierśnice pnia mierzymy zawsze na wysokości 1,30 m od powierzchni ziemi.

Wymiary drzew kwalifikujące je do uznania za pomnik przyrody nie są decydujące. W niektórych przypadkach o uznaniu drzewa lub pnącza za pomnik przyrody decydują inne czynniki: kulturowe, historyczne, naukowe i krajobrazowe. W przypadku głązów narzutowych kryterium uznania za pomnik przyrody jest obwód mierzony w najszerszym miejscu obiektu. Przyjmuje się, że minimalny obwód winien wynosić 300 cm.

W naszej gminie pomnik taki znajduje się w nadleśnictwie Dąbrowa. Jest to granitowy głąz narzutowy o wymiarach: 1,70 m długości, 1 m szerokości, i 0,8 m wysokości. Każdy mieszkaniec może wnioskować o uznanie drzewa lub innego obiektu za pomnik przyrody, zgłaszając go do Urzędu Miasta i Gminy w Nowym Tomysłu lub bezpośrednio do Wojewódzkiego Konserwatora Przyrody w Poznaniu i wypełniając odpowiednią ankietę.

Rozmieszczenie i wiek pomników przyrody w Nowym Tomysłu i okolicach

Patrząc na duże, dorodne drzewo pomnikowe jesteśmy pod jego urokiem. Czujemy swoją małość wobec potęgi obiektu żywej przyrody. Zadajemy sobie pytanie, ile może mieć lat? Skąd się wzięło?

Chcąc mówić o rozmieszczeniu pomników przyrody i ich wieku w naszej gminie, musimy cofnąć się do początków osadnictwa olęderskiego, a nawet czasów wcześniejszych, gdy obszar ten porastała puszcza „Pilże”. Teren ten znajdował się na *Sandrze Nowotomyskim*. Jest mocno zróżnicowany pod względem fizjograficznym. Wzniesienia wydmy porastał las iglasty (przeważnie sosnowy), rozległe obniżenia zajmowane były przez podmokłe łąki i lasy olsowe.

Taki teren oferował pierwszym osadnikom właściciel majątku Tomysł, Feliks Szoldrski. Pierwszymi wsiami olęderskimi były: Sękowo (1692), Paproć (1701), Glinno (1701) i Przyłek (1704). Daty założenia wsi mogą być pierwszym ważnym punktem odniesienia w kwestii wieku niektórych pomników przyrody. W Przyłoku, w linii prostej, w równych od siebie odległościach, rosną trzy pomnikowe dęby szypułkowe o wymiarach obwodu: 460 cm, 480 cm, 540 cm [fot. 1]. Biorąc pod uwagę ich rozmiary i położenie względem siebie, możemy powiedzieć, że były zasadzone ręką pierwszego osadnika olęderskiego około 300 lat temu. Minimalne różnice w wielkościach spowodowane są warunkami glebowymi i poziomem wody gruntowej. Osadnicy olęderscy chętnie sadzili drzewa wokół swoich chat i zabudowań gospodarczych oraz przy drogach wyjazdowych z gospodarstwa. Były to głównie lipy, dęby, kasztanowce, które miały chronić domy przed silnymi wiatrami i uderzeniami pioruna oraz dawać upragniony cień ludziom i zwierzętom, w czasie letnich upałów.

Pomnikiem przyrody, który kojarzy się z historią Nowego Tomysła i kościoła na Placu Chopina (d. Stary Rynek), zbudowanego w latach 1778 – 1779, jest wiekowa 200-letnia lipa drobnolistna, o obwodzie 400 cm. [fot. 3].



Fot. 1. Edmund Żurek przy będących pomnikami przyrody dębach szypułkowych „Jakub” (obw. 480 cm); na drugim planie „Piotr” (obw. 540 cm) w Przylęku



Fot. 2. Wiekowe dęby szypułkowe na cmentarzu w Nowym Tomysłu



Fot. 3. Pomnikowa lipa drobnolistna na Placu Chopina w Nowym Tomysłu (obw. 400 cm)



Fot.4. Fragment największego pomnika przyrody dębu „Stary” w Sękowie
(miał 650 cm obwodu, usechł 20 lat temu)



Fot. 5. Chojniki – uschnięty 10 lat temu dąb
– pomnik przyrody (obw. 620 cm)



Fot. 6. Symptomy usychania dębu – duża
liczba suchych gałęzi w koronie drzewa

Wokół kościoła rosły jeszcze trzy zbliżone wielkością drzewa lipowe, które zostały złamane przez wichury w latach 1949-1968. Podobny los może spotkać ostatnie drzewo – wymaga ono pilnych zabiegów konserwatorskich i technicznych – spięcia klamrami konarów drzewa, które grożą wyłamaniem.

Największe pomniki przyrody – dęby szypułkowe w Sękowie (obw. 650 cm) i w Chojnikach (obw. 620 cm) z uwagi na swoje wymiary – mogą pochodzić jeszcze sprzed okresu osadnictwa olęderskiego. Wiek ich zatem można określić na ok. 350 lat. Niestety, obydwie wspaniałe niegdyś drzewa są już suche. Zastanowić nas musi, jaka była tego przyczyna. Dęby są drzewami długowiecznymi, np. najstarszy „Bartek” koło Zagnańska, woj. świętokrzyskie, ma ok. 1000 lat, a dęby w Rogalinie ok. 500 lat i są ciągle żywe. Dąb w Sękowie usechl 20 lat temu, a w Chojnikach 10 lat temu. [fot 4. i fot. 5].

Prawdopodobną przyczyną uschnięcia tych dębów był stały lub okresowy niedobór wody na skutek obniżenia poziomu wody gruntowej. Olbrzymie drzewa potrzebują do transpiracji dużej ilości wody. Okolice Nowego Tomysła, w ciągu ostatnich kilkunastu lat, z obszaru o wysokim poziomie wody gruntowej stały się obszarem coraz większej suszy gruntowej. Przyczynami tego stanu rzeczy są niższe opady, niewielka pokrywa śnieżna, jednostronna melioracja, polegająca głównie na odprowadzaniu wód z naszego terenu, a nie na jej zatrzymywaniu poprzez budowę zastawek na ciekach wodnych.

W przypadku pomnika w Chojnikach przyczyną która przyspieszyła jego degradację, mógł być las sosnowy, który został posadzony wokół tego drzewa 30 lat temu. Sosna posiada długi korzeń palowy, czerpie wodę gruntową z głębokości kilkunastu metrów. Las sosnowy zatem mógł pogłębić niedostatek wody dla pomnikowego dębu. Niedobór wody szczególnie silnie odczuwają dęby, gdyż mają one płózący system korzeniowy, czerpiąc wodę gruntową w ok. 70% z głębokości 2,5m, a więc z płytkiego poziomu. Symptomy usychania przejawia wiele dębów w okolicy. Dowodem tego jest pojawianie się w ich koronach coraz większej ilości suchych konarów. Dobre warunki egzystencji mają te drzewa, które rosną na żyłach wodnych [fot. 6].

Rozmieszczenie i zróżnicowanie gatunkowe pomników przyrody w Nowym Tomysłu i okolicach

Ostojami starych drzew, w tym pomników przyrody w Nowym Tomysłu i jego okolicy, są: parki miejskie, parki podworskie w Starym Tomysłu i Wytomysłu, cmentarze katolickie i byłe olęderskie, tereny przykościelne, tereny przy zabudowie olęderskiej, place (w tym stadion miejski „Polonia”), pobliskie lasy, niektóre drogi polne.

Licznie w naszej okolicy występujący wzdłuż dróg polnych starodrzew został w wyniku ich poszerzania usunięty. Jeszcze do 1947 roku aleja starych dębów (w tym o wymiarach pomnikowych) znajdowała się przy drodze z Nowego Tomysła do Cichej Góry.



Fot. 7. Aleja dziewięciu dębów przy ul. Targowej w Nowym Tomysłu (największy o obw. 390 cm)



Fot. 8. Pomnik przyrody – topola osika (obw. 410 cm) w parku przy ul. Musiała w Nowym Tomysłu. Jedyny okaz tego gatunku w gminie



Fot. 9. Pomnik przyrody - dąb (obw. 390 cm) przy bramie cmentarza w Nowym Tomysłu

Aktualnie w spisie pomników przyrody znajduje się aleja przy drodze z Wytomyśla do Bolewic. Składa się z 39 drzew (20 dębów i 19 buków). W Nowym Tomyszu przy ulicy Targowej znajduje się aleja licząca 9 dębów szypułkowych, z których największy ma obwód 390 cm. [fot. 7]

W mieście i gminie zarejestrowanych jest łącznie 217 pomników przyrody. Liczba ich wg miejscowości przedstawia się następująco: Nowy Tomyśl - 21, Boruja Kościelna - 3, Boruja Nowa - 26, Bukowiec - 12, Cicha Góra - 1, Chojniki - 1, Glinno - 7, Jastrzębsko Stare - 1, Kozielaski - 1, Paproć - 3, Przyłęk - 3, Róża - 3, Sękowo - 21, Stary Tomyśl - 15, Wytomyśl - 99.

W Nowym Tomyszu zarejestrowanych jest 21 pomników przyrody. Występują one jako pojedyncze drzewa lub grupy drzew. Najwięcej - 15 sztuk - znajduje się w Nowotomyskim Parku Kultury i Wypoczynku. Są to głównie dęby szypułkowe, największy z nich ma obwód 350 cm. Przy pomniku „samolot” rosną pod ochroną znajdujące się 4 olchy czarne o obw. 200-250 cm. W parku miejskim przy ulicy Musiała pomnikiem jest wspaniały okaz topoli osiki (obw. 410 cm). Jest to wymiarowo największe drzewo w Nowym Tomyszu i jedyne chronione z tego gatunku w gminie. [fot. 8]

Pozostałe pomniki przyrody w Nowym Tomyszu znajdują się na stadionie miejskim „Polonia”, gdzie rośnie grupa dwóch dębów o obw. 386 i 250 cm, tabliczkę ma największy. Na cmentarzu parafialnym rośnie dąb o obw. 390 cm. [fot. 9]. Najbardziej znanym historycznie pomnikiem jest lipa drobnolistna rosnąca na Placu Chopina [fot. 3]. Najwięcej pomników zarejestrowanych jest w Wytomyślu (99 szt.). Znajdują się głównie w parku podworskim i jego okolicy oraz w alei przy drodze Wytomyśl - Bolewice.

Najbardziej okazałe i największe pomniki przyrody znajdują się w miejscowościach:

- **Boruja Nowa** - dąb o obw. 605 cm, skraj lasu, 300 m od drogi Boruja Kościelna - Jabłonna (miejsce to wskaże rolnik z tej wsi Zenon Beder); drzewo to jest obecnie największym żywym pomnikiem w gminie Nowy Tomyśl,
- **Jastrzębsko Stare** - dąb o obw. 520 cm przy gospodarstwie rolnym Lecha Dziewiałtowskiego,
- **Paproć** - dąb o obw. 550 cm, przy gospodarstwie rolnym Sławomira Szulca,
- **Przyłęk** - grupa 3 dębów o obw. 460 cm, 480 cm, 540 cm, przy wjeździe do firmy Cabański - Recycling,
- **Róża** - dąb o obw. 545 cm., skraj wsi,
- **Wytomyśl** - dąb „Patryk”, obw. 597 cm, las w pobliżu wsi.

Pomniki przyrody w naszej gminie są także zróżnicowane gatunkowo. Obrazuje to poniższe zestawienie liczbowe: dąb bezszypułkowy - 25, dąb szypułkowy - 94, buk zwyczajny - 28, bluszcz pospolity - 1, cis pospolity - 2, grab zwyczaj-

ny - 2, jawor - 1, jesion wyniosły - 4, kasztanowiec zwyczajny - 5, klon jawor - 5, klon zwyczajny - 1, lipa drobnolistna - 9, lipa szerokolistna - 12, olcha czarna - 4, sosna zwyczajna - 21, topola osika - 1, wiąz szypułkowy - 2.

Z podanego zestawienia wynika, że 17 gatunków roślin jest pomnikami przyrody. Ponad połowę z nich stanowią 2 gatunki dębów, łącznie 117 sztuk. Są to drzewa długowieczne, które dożywają wieku 500 i więcej lat. Dlatego również w grupie pomników przyrody osiągają największe wymiary. Dużą grupę pomników przyrody stanowią dwa gatunki buków – 28 szt., sosny zwyczajnej – 21 szt. i lipy – 21 szt.

Nielicznymi gatunkami roślin, będącymi w naszej gminie pomnikami przyrody są: bluszcz pospolity w Wytomyślu, który rośnie przy zabudowaniach gospodarczych Marii i Lecha Sokołowskich, topola osika w Nowym Tomyslu, cis pospolity (2 szt.) w Starym Tomyslu – park podworski i w Róży (w pobliżu dawnego zakładu rolnego RSP).

Podsumowanie

1. Pomniki przyrody są częścią naszej historii, niemymi świadkami, minionych wydarzeń wspaniałymi obiektami naszego krajobrazu, z których winniśmy być dumni.
2. W naszym mieście i gminie jest jeszcze pewna ilość wiekowych drzew, które powinny być zarejestrowane jako pomniki przyrody.
3. Wiele z istniejących pomników przyrody wymaga pilnych zabiegów konserwatorskich. Zaniechanie tej czynności spowoduje ich zagładę.
4. Warunki bytowania przyrody pomników ulegały na przestrzeni kilkunastu lat pogorszeniu. Spowodowane jest to obniżeniem poziomu wody gruntowej, co szczególnie odczuwają duże dęby oraz gospodarczą działalnością w mieście i gminie.
5. Pomniki przyrody powinny mieć społecznych opiekunów. Prawnie funkcję tę pełni Urząd Miejski, a na wsi sołtysi z radą sołecką i leśnictwem. Do opieki powinny włączyć się organizacje społeczne i szkoły, ZHP, OSP i inne, a także każdy mieszkaniec danej miejscowości, który powinien zgłaszać wszelkie zagrożenia do odpowiedniego urzędu. Przy braku naszej troski wnuki nie zobaczą tak pięknych darów przyrody, jakimi są pomniki przyrody.

Literatura i źródła:

1. Wykaz pomników przyrody w powiecie nowotomyskim. Wydział Rolnictwa, Leśnictwa i Ochrony Środowiska Starostwa Powiatowego w Nowym Tomyslu, 2006 r.
2. Wykaz pomników przyrody w gminie Nowy Tomyśl. Wydział Komunalno-Inwestycyjny, Rolnictwa i Ochrony Środowiska Urzędu Miasta i Gminy Nowy Tomyśl, 2007 r.
3. E. Żurek, *Negatywna i pozytywna działalność człowieka w środowisku Nowego Tomysla*. w: *Ochrona środowiska w Wielkopolsce*, praca zbiorowa wydana przez Polski Klub Ekologiczny, Nowy Tomyśl 1992

Foto: Edmund Żurek

NOWOTOMYŚLANIE

ZNANI I MNIEJ ZNANI

O ludziach, czasach, obyczajach,
i najmniej o sobie ...
opowiada Zofia Nitsche

... Czy można na kilkunastu stronach opisać czyjeś życie? Streścić 92 lata, które były udziałem człowieka i wypełniały treścią jego świat? Myślę, że nie... Dlatego z poczuciem pewnego niedosytu – ale i radości – prezentuję rozmowę z **panią Zofią Nitsche** – nieustrudzoną romanistką, pedagogiem ale przede wszystkim wychowawczynią i nauczycielką życia dla swoich uczniów, osobą reprezentującą świat wartości, które powoli odchodzą w niepamięć. Czy muszą? Mimo iż szkoła zawsze była jej pasją, Zofia Nitsche była i jest kimś więcej niż nauczycielką. Cieszę się, że choć kilka opowieści, których można słuchać wiele godzin, choć kawa stygnie, a pyszne ciasto czeka na talerzu, zachowa się – mam nadzieję – w pamięci naszych Czytelników....

Urodziła się Pani w Lublinie w czasie I wojny światowej, studia skończyła, jeszcze przed wybuchem II wojny. Przez całe życie wierna była Pani zawodowi nauczycielskiemu. A jak wyglądała edukacja z czasów Pani dzieciństwa?

W 1921 roku swoją edukację rozpoczęłam szkołą powszechną – tzw. „ćwiczeniówką”, działającą przy Państwowym Seminarium Nauczycielskim Żeńskim. Do dziś pamiętam niektóre lekcje – zajęcia praktyczne, rysunek, robienie zabawek na choinkę. Wszystko prowadziła jedna nauczy-

cielka. Tylko na francuski w V klasie przychodziła Madame Decjusz. Długo przeżywałam dwóję, którą dostałam z francuskiego, bo nie umiałam napisać słowa: beaucoup. Zapamiętałam je czytając po polsku wszystkie litery i tak też później uczyłam moich uczniów. Polubiłam jakoś od razu ten język, uczyły się go moje starsze siostry: Hanka i Joanna, co mi bardzo imponowało. Recytowały francuskie wierszyki, a że uczyły się na głos, więc i ja z tego korzystałam. Ćwiczeniówka trwała 5 lat, przez kolejne 2 lata uczyłam się w prywatnym gimnazjum u p. Radzikowskiej, tam lekcje francu-

skiego prowadziła madame Gocłowska – niezwykła kobieta, jeszcze późnym wieku wykładała na uczelniach wyższych w Lublinie... Po 2 latach nauki u niej, na prawdę dobrze znało się język. Wyższe klasy gimnazjum i maturę zrobiłam w Czteroklasowym Prywatnym Żeńskim Gimnazjum Wacławy Arciszowej. Szkoła ta, założona w 1912 roku miała dużą renomę – uczył tam prof. Julian Krzyżanowski, a romanistką była Madame spokrewniona z wielkimi Załuskimi. We wszystkich szkołach miałam dobrych romanistów, może i stąd wybór studiów.

Jaki był Pani dom rodzinny? Dzieciństwo...? To były trudne czasy...

W domu było sześćoro dzieci: 4 dziewczyny – Jadwiga, Hanka, Joanna i ja – najmłodsza oraz dwóch chłopców – Aleksander i Marian.

Aleksandra, starszego ode mnie o 18 lat, w ogóle nie znałam – gdy ja się urodziłam on wyjechał do Rosji, na politechnikę i przepadł bez wieści.

Bratu Marianowi, tak jak i wszystkim członkom rodziny, zawdzięczam wiele. On nauczył mnie kontaktu z przyrodą, od najmłodszych lat zabierał mnie na entomologiczne wycieczki na łąki i do lasu, uczył rozpinać motyle na szpilkach, opiekować się jedwabnikami, które hodował. Jego pasje owocowały pracą naukową – był mikrobiologiem na Uniwersytecie Warszawskim.

Oczywiście najwięcej zawdzięczaliśmy rodzicom. Ojciec zawsze pilnował, by dzieci się uczyły, żeby były grzeczne, mądre i dobre. Nie pamiętam jednak, bym kiedykolwiek od ojca dostała lanie. Gdy wracałam z biblioteki, zawsze sprawdzał co wypożyczyłam. Spojrzał na tytuł, autora...



Pierwsza od lewej p. Zofia z siostrami - Jadwigą, Joanną i Hanną

przekartkował.... Krótco przed śmiercią czytał książkę o Holandii, którą wypożyczyłam. Gdy ją przyniosłam do domu, to powiedział: „Ty sobie zawsze takie porządne książki wybierasz.”... Moja siostra Joasia czytała tylko beletrystykę, a przecież nic w głowie nie zostaje z takiej książki. Ja nie lubiłam takiej lekkiej literatury i tak jest do dziś. Od fikcji literackiej wolę fakty i konkretną wiedzę.

Do nauki nigdy nie trzeba było nas zapędzać. Wiedzieliśmy, że to należy do naszych obowiązków. Uczyliśmy się wszyscy razem przy dużym stole w kuchni. Tam też jadaliśmy. Po powrocie ojca z pracy, mama zaraz podawała obiad. Tylko on wtedy pracował – w czasie zaborów mama i najstarsza siostra – Jadwiga w uczyły domu, bo nie było rozwiniętego szkolnictwa, ale później już nie. Pieniądzy nie było za wiele i choć zawsze w domu była zgoda, to pamiętam taką awanturę, gdy Pater przyniósł pensję. Był wtedy zatrudniony w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych. Wrócił do domu z wypłatą, usiadł przy stole – on siedział zawsze z jednego krańca, mama z drugiego... Podał jej pieniądze, ona przeliczyła, zezłościła się i jak nie „szmyrgnie” przez cały stół tych pieniędzy w jego stronę...”Masz, gospodarz sam!” - powiedziała. Tyle ich było, że nie wiadomo było jak dzielić... Tak, kryzys był ciągle...

Nasz dom był jednak zgodny, wesoły i pełen ciepła. Co sobotę odbywały się jakieś tańce. Gdy tylko kilka osób się zebrało, to już była okazja do wspólnych śpiewów – ojciec siadał zaraz do fortepianu i grał. To były czasy, gdy każda szkoła miała swój chór, a wspól-

ne granie było nieodłącznym elementem spotkań towarzyskich. Brat z fortepianem był trochę na bakier, ale pięknie grał na skrzypcach, więc mieliśmy już duet. Ojciec, choć znał nuty, nie potrafił jednak tak jak Marian angażować się w grę. A brat wkładał w to całą duszę, więc w czasie tych koncertów ciągle się spierali. (śmiech) Mama lubiła, gdy się bawiliśmy, tańczyliśmy. To ona zarobiła na nasz fortepian – z warszawskiej firmy „Zdrodowski” – gotując obiady dla kolegów ojca z monopolu. Pater pracował wcześniej w różnych miejscach – w monopolu spirytusowym właśnie, na budowie, a jeszcze wcześniej był w wojsku rosyjskim.

Pracując na budowie poznał człowieka z Krakowa, który opowiadał mu o swoich szopkach bożonarodzeniowych. Wzorując się na tych opowiadaniach i pomagając sobie wyobrażniać ojciec sam zrobił dla nas taką szopkę. Była piękna i dawała nam wiele radości... W okienkach ozdobionych witrażkami z bibuły paliły się świece. W podłodze miała szpary, w które wchodziły lalki – bywało, że nawet 5 lalek na raz. Robione były ręcznie – korpus z drewna, główka porcelanowa, halka papierowa, a strój z tkaniny i przedstawiały różne typy osobowe. Inscenizacja oparta była na tekście Marii Konopnickiej, w której występowały takie postaci jak: dwóch krakowiaków, Piast i Rzepicha, emigrant, pachole śpiewające (*Nie płaczcie mój tatulu nie teraz pora..* – p. Zofia śpiewa kwestię pacholecia..), druciarz, stara Marcynowa, Żyd, Pan z panów, Anioł (*Szczęśliwi ziemianie nie trwóźcie się wiele, oto opowiadam wam wielkie wesele, w Betlejem*

Judzkim Chrystus się narodził - deklamuje p. Zofia)... w sumie 32 lalki. Została tylko jedna i jest u nas (faktycznie - mogę podziwiać ręcznie robioną krakowiankę). Część tekstu stanowiło misterium Narodzenia Dzieciątka Jezus.

Cała zabawa odbywała się oczywiście w okresie świąt Bożego Narodzenia - wtedy robiliśmy przedstawienia, na które przychodziły dzieci nie tylko z sąsiedztwa, ale i z całej dzielnicy. Wszyscy braliśmy w tym udział, ale bratu który był „kierownikiem” tej szopki najbardziej pomagała siostra Hanka - potrzeba było 2 - 3 osób, by poruszać lalkami. Marian zresztą, był tak dalece przewidujący i zmateralizowany (śmiech), że z kubeczkim stał przy drzwiach i jak kto przyszedł to zawsze musiał wrzucić grosz lub dwa albo markę. No, ale kiedyś ojciec podpatrzył, że syn bierze pieniądze za oglądanie szopki i pyta zdziwiony: „To dają Tobie?” - „No, dają - odpowiedział brat - przecież to się zużywa!” (śmiech) Faktycznie, trzeba było kupić świece do okienek, a codziennie w okresie Bożego Narodzenia były przedstawienia. Hanka, u której szopka była jeszcze długie lata, spisała treść tych przedstawień. Szopka nie przetrwała do dziś, jednak poprzez syna Hanki zainteresowało się nią Muzeum Zabawek w Kielcach. Po konsultacjach zdołali ją odtworzyć i włączona została do ich ekspozycji, pod nazwiskiem Hanny - po mężu Grum.

Ojciec lubił majsterkować, za pomocą laubzegi, takiej cienkiej metalowej piłki, wycinał ze sklejk według wzoru różne sprzęty i zabawki - pamiętam półeczkę w kształcie samolotu, stolik okrągły na trójnogu ozdo-



Można podziwiać ręcznie robioną krakowiankę...

biony sosnowymi szyszkami. Wymyślał też piękne ozdoby na choinkę: anioły, mikołaje, gwiazdki, ptaszki. My, dzieci robiliśmy witrażyki na jajkach, łańcuchy... Bombki były szanowane, każda miała swoje pudełko - ojciec sam je kleił. On też ubierał choinkę. Jednak gdy przyszła wojna to powiedział, że choinki nie będzie, bo ona oznacza radość... pamiętam jak nam było przykro... Włożyliśmy tylko kilka gałązek do flakonu i ustroiliśmy je trochę.

Wielkanoc też obchodziliśmy tradycyjnie. Cały rok gromadziłyśmy z siostrami materiały do wykonania palm, na niedzielę Palmową. Należałyśmy do organizacji przy parafii, więc uczestniczyliśmy w sprzedaży tych palm przed kościołem. Sprzedanie ich



Pani Zofia z siostrą Jadwigą - 1937 r. - wakacje

było dużą sztuką, bo należało wmówić kupującemu, że te palmy są ładne (śmiech)...

W domu zawsze coś się działo, było nas dużo, wspólnie przy jednym stole odrabialiśmy lekcje, wspólnie bawiliśmy na podwórku, a właściwie po całej dzielnicy. Zabawy były różne – w policjantów i złodziei na przykład. (śmiech) Najmilej jednak wspominałam to muzykowanie i zajęcia plastyczne – klejenie ozdób na choinkę i do szopki.

W 1932 roku rozpoczęła Pani studia na KUL-u. Jak wyglądała wtedy nauka i tzw. „życie studenckie”?

To były początki KUL-u, założonego w 1918 roku. Przedmioty na romanistyce były takie jak dziś – gramatyka historyczna i opisowa, literatura, pro-

seminarium, seminarium. W 1938 roku udało mi się skończyć studia, mimo, wyszedł dziwny przepis, że w jednej sesji można było składać tylko dwa egzaminy, a ja miałam do zdania jeszcze trzy egzaminy, z obroną pracy magisterskiej. Po studiach trzeba było odbyć 2. letnie, bezpłatne praktyki, ale nigdzie nie można było ich dostać. W ogóle było bardzo ciężko z pracą...

Jeśli chodzi o życie studenckie – nie we wszystkim mogłam uczestniczyć. Mieszkaliśmy daleko od uczelni – przeszło pół godziny marszu, a ja czasem musiałam chodzić dwa razy dziennie na KUL, bo wieczorem były lektory. Autobusów nie było, taksówek też mało...

Należałam jednak – jak wielu innych studentów – do organizacji katolickich: Sodalicji Mariańskiej i do Ko-

ła Misyjnego. Działałam nawet w zarządzie Koła misyjnego, było ono wtedy bardzo rozbudowaną organizacją, ale to tego jeszcze wróć... Śpiewałam również w uczelnianym chórze, na KUL-u działały oczywiście korporacje, ale one były męskie – Astra, Konkordia, Korabia... Bardzo liczne było również stowarzyszenie o nazwie „Odrodzenie”. Prawie wszyscy tam należeli, ale ja, do uczelni miałam daleko, no i wiele innych zajęć – musiałam wybierać... Uniwersytet organizował również studenckie wyjazdy, kolonie, ale ja zwykle nie korzystałam – studiowałyśmy we dwie z siostrą, a to pochłaniało sporo pieniędzy.

Studenci KUL-u odróżniali się od innych uczelnianymi czapkami – były to białe wełniane rogatywki, z czarnym daszkiem i złotym sznurem. Zresztą w ogóle nieprzyzwoicie było na ulicy pojawiać się bez nakrycia głowy.

Wracając jeszcze do Kół Misyjnych... istniały one i na innych uczelniach. Raz do roku w jednym z miast akademickich odbywał się ogólnopolski zjazd tych kół. W lutym 1934 roku, w Lublinie, właśnie na takim zjeździe poznałam Romana Nitsche. Mój przyszły mąż studiował w Gdańsku i wraz z kolegami przyjechał na ten zjazd. Po oficjalnej części spotkania, w czasie zabawy, poprosił mnie do tańca, no i tak się zaczęło.... Miałyśmy swoich kolegów – „adorantów”, ale ja się nie angażowałam... Wiernie pisałam listy do przyszłego męża... Potem widzieliśmy się jeszcze w Krakowie na podobnym zjeździe... Spotkania Kół Misyjnych były bardzo owocne – nie tylko byli z nami wspaniali duchowni: ks. Biskup Fulmann czy

ks. Prof. Pastuszka, z którym utrzymywałyśmy kontakt do samej jego śmierci, ale i dzięki nim zawartych zostało kilka małżeństw – kolega Romana – Paweł ożenił się kolei z moją siostrą – Joanną, a inny kolega z siostrą męża. Ogólnopolskie zjazdy niosły też wiedzę o sytuacji w kraju, szczególnie w tych niespokojnych czasach. Od gdańskich studentów, a potem z listów męża dowiedziałam się wiele o tamtych rejonach. Rzadko który Polak dostał normalnie dyplom na Uniwersytecie Gdańskim, a w 1939 roku w wielkim uczelnianym holu pojawiła się tablica, na której wypisano nazwiska wszystkich studentów – Polaków, no i oni musieli zaraz uciekać. Gestapo ścigało ich po całym pomorzu...

Po studiach, szukając praktyki, zgłosiłam się w końcu do mojej dawnej szkoły, do pani Arciszowej. Zapytała nawet, dlaczego wcześniej nie przyszłam i obiecała porozmawiać z dyrektorem. Przyjęli nie tylko mnie, ale również moją siostrę Joannę – polonistkę. Joanna zresztą była znana, również w kuratorium, z tego, że była poetką, wydawała również gazetkę szkolną, zawsze coś pisała. Kiedyś podczas wizytacji szkoły spodobała się panu Araszkiewiczowi. Ile razy był w szkole, to pytał o nią i jej poezję. Gdy zginęli Żwirko i Wigura napisała wiersz o nich, recytowany potem w wielu szkołach. Po jakimś czasie – w styczniu 1939 roku p. Araszkiewicz zatelefonował, że ma dla niej pracę w Bilgoraju. No i wyjechała. A ja byłam cały rok u Arciszowej. Któregoś dnia wezwał mnie dyrektor Krzyżanowski i mówi: „Proszę pani, przecież pani nie ma pieniędzy.”- „No, nie mam”- odpowie-

działam – „A gdyby trzeba było jakichś korepetycji – czy z polskiego, czy z francuskiego – to podjęła by się pani?”. Oczywiście się zgodziłam i biegałam później do uczniów, robiąc chyba ze 30 pięter i parę kilometrów dziennie. Tak było do wojny. Na zakończenie roku szkoła wyjechała na kolonie nad morze. Będąc w Gdańsku w sierpniu 1939 roku, sama widziałam czołgi i samochody z Niemcami, jadące przez całe pomorze. Czuło się te nastroje... Już wtedy widziałam co się działo... To był ostatni moment mojej pracy w tej szkole. Potem wybuchła wojna i pracę straciłam. Niemcy zlikwidowali szkoły, a dyrektor Krzyżanowski wraz z innymi dyrektorami zginął na Zamku wtedy, gdy Niemcy wymordowali wszystkich ważnych mieszkańców Lublina.

Jak Pani pamięta moment wybuchu wojny?

To był dla nas tragiczny moment – nie wiedzieliśmy co się dzieje z rodziną, bliskimi. W sierpniu 1939 roku dostałam ostatnią wiadomość od Romana – po 20. sierpnia został powołany do wojska i tyle... więcej nie wiedziałam. Pamiętam też 5. listopada. Dzwonek do drzwi w domu, w Lublinie – otwieramy – czterech dryblasów... Przyglądam się... rozpoznałam jednego... Paweł, kolega mojego przyszłego męża i narzeczony siostry, z trzema kolegami.... Jak się okazało uciekając z Pomorza wsiedli w jakikolwiek pociąg i jechali przez całą Polskę. W końcu Paweł postanowił przyjechać do nas. I tu się zakotwiczyli. Spali u naszych sąsiadów, żydów zresztą..

Była Pani nauczycielką w tajnych kompletach. Jak znalazła się Pani w tej organizacji?

Wojna się toczyła, ale trzeba było jakoś żyć. Ja wtedy straciłam pracę. Mało było uczniów, szkół wcale. Miałam tylko zaświadczenie, że odbyłam rok bezpłatnych praktyk i tym się potem legitymowałam. W tajnych kompletach uczyłam od 5 grudnia 1939 r., choć wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to takie zorganizowane nauczanie.

Pod koniec listopada odwiedziłam moją szkołę i wtedy p. Arciszowa zaproponowała mi wyjazd na tzw. „kondycję”. „A jak to wygląda...?” - zapytałam. „Spanie, mieszkanie, jedzenie i trochę grosza... Będiesz na wsi, tam są dwie dziewczyny, jedna z pierwszej licealnej. Zrobisz z nią lekcje polskiego, francuskiego, historii – tyle podołasz, a inni przyjdą uczyć matematyki, fizyki.” No i pojechałam. Było to u leśniczego w Nowym Stawie, na trasie do Łańcuchowa. Tam spędziłam cały rok. Uczyłam nie tylko tam, bo jeździło się również po innych wsiach – młodzież do szkoły do Lublina dojechać nie mogła – dość, że szkół nie było – tylko jedna u Urszulanek, to jeszcze autobusy były zbombardowane. Robiłam lekcje polskiego, łaciny, historii. Było to o tyle trudne, że uczyłam z pamięci. Jak dobrzy musieli być moi przedwojenni nauczyciele, że to wszystko pamiętałam! Książek było niewiele, tylko te, które przed wojną były zakupione. Ja miałam tylko „Program nauczania w gimnazjum i liceum”. No i to co w głowie. Trochę było książek w bibliotekach, bo one były otwarte, ale wiele pozycji było zakazanych, niszczonych przez Niemców...

**Uchwałą
Zarządu Głównego
Związku Nauczycielstwa Polskiego**

z dnia 10.06 1985 r.

LEGITYMACJA

nr 2284

Kol. Zofia

NITSZE

wyróżniony(a) został(a)

**Odznaką ZNP
za Tajne Nauczanie**

Warszawa, dn. 10 czerwca 1985 r.



PREZES

Legitymacja odznaczenia za tajne nauczanie w czasie wojny

Angażowałam się to tu, to tam, żeby pracować. Kto był bez pracy zaraz kwalifikował się na listę przeznaczonych do wywiezienia na roboty. Gdy mój rocznik znalazł się na takiej liście, wymeldowałam się z domu w Lublinie i tak mieszkalam na tej wsi, bez melunku i papierów...

Tak spędziłam 3 lata. Zmieniałam miejsca pobytu. Rok spędziłam Garbowie, w okolicach Nałęczowa. Uczyłam u kuzynki siostrzenicy mojej przełożonej. Tam miałam kontakt ze środowiskiem artystów. Wśród nich byli na przykład malarze – bracia Mierzejewscy, spokrewnieni z Mają Berezowską. To był trochę inny świat, tam wojny się prawie nie odczuwało... Mierzejewscy słynęli z wykonywania niesamowitych ozdób na choinkę, to były kapitalne postacie – huzar, anioł, gra-

jek ze skrzypcami, stary kawaler z bukietem kwiatów... robione były z jajek i papieru.

Było nam właściwie wesoło. Śpiewaliśmy wszystko co popadło, deklamowaliśmy... Dziwili się tylko skąd znam piosenki z lat 20,...(p. Zofia zaczyna śpiewać)... a przecież dlatego, że miałam starsze rodzeństwo – oni się uczyli różnych rzeczy, a ja słuchając zapamiętywałam.

Po roku w Garbowie wróciłam wreszcie do Lublina. Było to ryzykowne – nie miałam dokumentów, a policja porządkowa nawet za przewożenie osekki masła brała na Majdanek... Choć w sumie zdążyłam się przyzwyczaić, bo i tak zawsze z tych wsi wiozłam do domu różne rzeczy – obdarowywano mnie wszystkim: rybami, drobiem... tytoniem dla matki...

Dopóki byłam na wsi, myślałam, że ja tak sobie prywatnie uczę. W Lublinie okazało się, że funkcjonowała cała organizacja tajnego nauczania. Jej działanie było jednak tak zakonspirowane, że znało się tylko jedną osobę, która kierowała pod określony adres. Gdy wróciłam na stałe do Lublina koleżanki postarały się o uczniów. Lekcje odbywały się w różnych miejscach, w całym Lublinie. Egzaminy były czasem u mnie w domu, ale nigdy nie wnikałam, kim byli inni nauczyciele – jak konspiracja, to konspiracja. Nie wiadomo nigdy, co by z człowieka wyciągnęli w czasie przesłuchania, na torturach. Nie mówiłam też rodzicom, żeby się nie bali. Szczególnie mama się obawiała, że nas aresztują. Ojciec przyjmował wszystko jako konieczność – skoro tak musi być, to musi i tyle. Nie można było przecież uniknąć niebezpieczeństwa. Jeden z egzaminów odbywał się nawet u krawcowej, która szyła koszule dla gestapo, o czym nie wiedziałam... Gdy mi później o tym powiedziała włos mi się zjeżył na głowie...

Po wojnie się okazało, że to wszystko prowadziły Siostry Urszulanki – chciałam mieć świadectwo, że te trzy lata uczyłam, napisałam więc do koleżanki, która mi właśnie dawała adresy, by jakoś to zaświadczenie zorganizowała. Na dokumencie, który uzyska-

łam widniała pieczęć Ośrodka Tajnego Nauczania Sióstr Urszulanek. To one to wszystko organizowały... Obok jedynej legalnej szkoły hotelarskiej prowadziły też działalność konspiracyjną...

Trzeba było pracować, by nie zostać wywiezionym do Niemiec, jakie było Pani oficjalne zajęcie w czasie wojny?

Byłam nauczycielką zaangażowaną w pracę komitetu Rady Głównej Opiekuńczej*. RGO to była instytucja utworzona za pozwoleniem Niemców, która pomagała poszkodowanym Polakom. Centrum znajdowało się w Krakowie. Nawet do tej pory niektórzy krzywo patrzą na tę organizację, ze względu na to, iż Niemcy pozwolili na jej działanie. Przez nią jednak udało się w Lublinie pomóc wielu ludziom. W skład organizacji wchodziły świetlice i ochronki. Ochronki przyjmowały dzieci już od trzech lat. Opiekowałyśmy się dziećmi w różnych grupach wiekowych – do 16 lat. Inne przedszkolanki opiekowały się dziećmi mniejszymi, inne przygotowywały sześciolatków do szkoły. Zresztą wychowawczynie to też były uczennice, czasem szesnastoletnie. Pracowały i jednocześnie tajnie robiły dalej szkołę – gimnazjum, czy liceum. Uczyłam kilka z nich. Nasz komitet RGO mieścił

* Rada Główna Opiekuńcza (RGO) – polska organizacja charytatywna działająca w czasie obu wojen światowych, obejmująca swoją działalnością Polaków. Działała za zgodą władz okupacyjnych w czasie obu wojen światowych: I wojny światowej w latach 1916-1918 w Królestwie Polskim (za zgodą niemieckich władz okupacyjnych) i później, do 1920 na terenie Litwy, Łotwy i Estonii. Prowadziła wówczas bursy, schroniska, ochronki, wydawała żywność, odzież, zasiłki pieniężne. W czasie II wojny światowej w latach 1940 – styczeń 1945. Istotną pomoc w jej działalności okazał kardynał Adam Stefan Sapieha. Z pomocy RGO korzystało wówczas ok. 700-900 tys. osób rocznie.

się w starej szkole policyjnej, miałyśmy na górze do dyspozycji kilka sal. Na dole zaś, mieszkała folksdojczka, straszna kobieta. Bałyśmy się przejść przez korytarz, by wejść po schodach. Donosiła o wszystkim. W różnych częściach miasta znajdowały się również ochronki – około dziesięciu i kilka świetlic dla starszych dzieci. Młodzież niepełnoletnia już wtedy pracowała, a po pracy, żeby się nie włóczyć, szła na świetlicę, gdzie dostawała ciepły posiłek i schronienie do wieczora.

Pamiętam jak do punktu RGO przywieziono nam dzieci z Zamojszczyzny, gdzie Niemcy wypędzali wszystkich, żeby potem zasiedlić ten teren swoimi ludźmi. Najmłodsze dziecko, które znalazło się u nas nie miało nawet dwóch lat...

Pracowałam tam do 1944 roku, prawie do końca wojny. Mieszkałam wtedy z ojcem i najstarszą siostrą, która nie chciała pracować u Niemców. Mama była w tym czasie u siostry Joanny na wsi. W tym roku, już po 22. lipca, zmarł ojciec. Jeszcze przed śmiercią uczył mnie rosyjskiego, z książki Czechowa..., na wypadek gdyby weszli Rosjanie.... Nie wiedzieliśmy co będzie... Rosjanie oficjalnie weszli 17 września 1944 r., wtedy zaczęło się łapanie AK-owców... i inne złe rzeczy. Już we wrześniu udało mi się jednak dostać pracę w kilku szkołach i jakoś zaczęło się układać... W szkole krawieckiej uczyłam francuskiego, polskiego. Udzielałam też prywatnych lekcji. W 1945 roku przyszedł list od



Ochronka Polskiego Komitetu Opiekuńczego w Lublinie (element organizacyjny RGO)
- p. Zofia (pierwsza z prawej u góry) przed katedrą w Lublinie z dziećmi, które w maju 1944 r.
przystąpiły do I Komunii św.

przyszłego męża. Pisał: „Już wróciłem – jeśli możesz, to przyjeżdżaj”

Co się działo z Pani narzeczoną w czasie wojny? Miała Pani z nim jakiś kontakt?

Tak, przez całą wojnę mieliśmy kontakt listowny. W sierpniu 1939 roku został wcielony do wojska, po 1 września brał udział w walkach, ale już 17 września dostał się do niewoli. Był oficerem, więc trafił do oflagu w Mecklemburgii – tu bliżej Polski. Całe 5 lat siedział w obozie. Przerzucały go do Bornego Sulinowa (wtedy Grosborn), do Rederitz, Prenzlau, Neubrandenburg, ale kontaktował się z nami. To były zwykłe karteczki, większe listy, na formularzach obozowych, pisał do rodziny, zresztą też stąd wysiedlonej – jego ojciec pracował w tartaku gdzieś pod Radzyniem, siostra z bratem pod Warszawą, reszta rozsiana była po Polsce. Komunikowali się jednak ze sobą i w lutym lub marcu 1945 roku wrócili wszyscy do Nowego Tomysła. Ja swoje listy od przyszłego męża pod koniec wojny, w obawie przed rewizją NKWD, spaliłam. Paliłam te listy i płakałam, bo żał mi ich było, jednak tam opisane były jeszcze sprawy gdańskie, prześladowania Polaków... mnóstwo rzeczy na Niemców – nie chciałam nikogo narażać. Przepisałam tylko AK-owskie piosenki i schowałam do piwnicy, pod słoiki z konfiturami. Niestety też gdzieś zaginęły...

Z powrotem męża z oflagu wiązał się znamienity epizod. W niewoli wraz z nim był Leon Kruczkowski, razem również stamtąd wracali. Ich autentyczne spotkanie z Niemcami w czasie

marszu przez Jastrów, było inspiracją do napisania przez Kruczkowskiego dramatu pt. „Pierwszy dzień wolności”.

W 1945 roku przychodzi do Pani list od narzeczonego ze słowami: „Wróciłem – przyjeżdżaj”, łatwo było się zdecydować na taki krok?

W 1945 roku umarła moja mama, rok wcześniej ojciec. W domu rodzinnym w Lublinie była tylko siostra. Właściwie nic mnie tam nie trzymało. Roman pisał też, że tu tworzy się szkoła. Już przed moim przyjazdem rozmawiał z dyrektorem Musiałem i wiedziałam, że dostanę etat romanistki. Miałam ukończone studia, więc dyrektor przyjął mnie od razu. Byłam pierwszym zatrudnionym w tej szkole nauczycielem. Przyjechałam więc pod koniec sierpnia do Nowego Tomysła. Nie znałam właściwie przyszłej rodziny, wiedziałam tylko kto jest kim z opowiadań. Do Lublina wróciłam jeszcze tylko po swoje rzeczy, a w listopadzie 1945 roku odbył się tam nasz ślub. Bukiet ślubny zawiozłam na cmentarz, na grób rodziców. Siostra zrobiła obiad, ot i całe wesele... Pamiętam, że moja klasa nieorientowana dokładnie w dacie mojego powrotu wystawała przez kilka dni na dworcu PKP, z kwiatami. Oczywiście, gdy przyjechałam, to nikt mnie nie witał – w końcu dali spokój. Ślub cywilny był w Nowym Tomyslu, no i odtąd żyłam sprawami tego miasta.

W domu rodzinnym było zawsze dużo ludzi i bardzo mi się podobało, że tutaj było podobnie. Zamieszkałam tu wraz z teściem, przyszłym mężem, bratem męża – Ludwikiem, jego sio-

strami Emilią i Heleną Markowską, która miała piątkę dzieci. Aż do 1957 roku prowadziliśmy wspólne gospodarstwo – w sumie 11 osób – nawet wtedy, gdy w 1947 r. z Syberii wrócił Markowski... Własna żona go nie poznała.... Stał w progu człowiek wychudzony, obdarty... dopiero jak się odezwał poznała go po głosie. Był chory na gruźlicę, która dopiero tu się rozwinęła, a 2 lata później zmarł. Wszyscy zresztą byliśmy zarażeni. Ale ważne było, że byliśmy razem.

Pani teść, Roman Nitsche, przed wojną był właścicielem dobrze prosperującego tartaku oraz fabryczki produkującej maszyny rolnicze, jakie były losy zakładu po wojnie? To nie były wymarzone czasy dla prywatnych przedsiębiorców...

Choć teść był prostym kowalem, to jednak jego znajdujący się pod Lesznem zakład był wyposażony bardzo nowocześnie. Miał nosa do nowinek technicznych, popierał postęp i posiadał również zmysł przedsiębiorcy. W końcu postanowił wyjechać ze wsi, by móc założyć jakieś większe przedsiębiorstwo niż zakład kowalski. Mniej więcej w 1921-1923 roku sprowadził się do Nowego Tomysła, gdzie kupił od Niemca tartak. Gdy zaczęły się psuć maszyny, dokupił niemiecką fabryczkę, w której nie tylko dokonywał reperacji maszyn z tartaku, ale i produkował młockarnie, siewniki, skrzynie do parowania ziemniaków i wiele innych maszyn rolniczych. Przez jakiś czas miał również tartaki w Borui i Zachodzku. Po wojnie udało się odzyskać fabrykę i tartak – wykreślono Niemców z ksiąg wieczystych

i na powrót wpisano Polaków.

Dom także został odzyskany, ale nie wszystkie meble. Tylko biblioteczka i ciężki bufet ocalały. Najpierw Niemiec wywiózł stąd wiele rzeczy, chociaż gdy ciotka przyjechała tutaj w marcu 1945 roku, to dom jako tako wyglądał. W piwnicy stały nawet zaprawy, drzwi były zakluczone. Wzięła więc klucze i zaniósła do Urzędu. Zgłosiła tam, że rodzina żyje i będą wracać. Jednak między marcem a czerwcem kiedy wrócili... zostało wyniesione stąd prawie wszystko. Zastali kupę śmieci na środku i właściwie gołe ściany. Znajomy fryzjer nam opowiadał: „Pani, tam wynosili, a wynosili... W niejednym domu tutaj na pewno jest wiele rzeczy...”. Stolarz, który meble robione przez niego dla Markowskiej na zamówienie rozpoznał w jakimś domu. Nie chciano ich oddać, więc sprawa znalazła się w sądzie i takim sposobem meble wróciły. Czasem zdarzało się, że ktoś sam oddał jakieś rzeczy należące do rodziny, ale wiele rzeczy nie wróciło. Z teściem się o tym się rozmawiało, bo to było dla niego zbyt bolesne...

Początkowo przecież nie było nawet na czym spać, ludzi w domu było dużo, więc przynosili łóżka wyrzucone z niemieckiego szpitala usytuowanego w obecnej Szkole Podstawowej nr 2. Bardzo długo nam służyły. Jeśli chodzi o tartak wszystko to działało bez zarzutu i działałoby do dziś, gdyby nie upaństwowienie w 1951 roku. To było bardzo przykre. Dobrze, że teść już nie żył i tego nie widział... Już i tak przed śmiercią, nieraz jak bryczkę widział ulicy to, mówił: „O, moja bryczka jedzie!” no bo niemożliwie kradli...

Tartak został odebrany, natomiast fabryczkę od likwidacji uratowało to, że mąż założył spółdzielnię i sam ją prowadził. Jego wkładem były maszyny i narzędzia. Tu jednak było dużo ludzi, było między kogo dzielić pieniądze. Tylko ja miałam pensję, a pomagaliśmy i szwagierce męża z Inowrocławia, i jego siostrze z Wrocławia. Żywił nas ogród. Potem dopiero powoli siostrzenice zaczęły chodzić do pracy i było trochę lepiej.

Ważne jednak jest to, że moja córka Joanna, na pytanie: "jakie było jej dzieciństwo" odpowiada, że było szczęśliwe, mimo niedostatków, bo w domu było dużo ludzi, szanowaliśmy się wzajemnie i pomagaliśmy sobie. Tylko niektórym się wydawało, że skoro mamy wielki dom, to i wiele pieniędzy. A co? Mieliliśmy cegły gryźć? Uważani byliśmy za bogatych i czuło się czasem jakąś zazdrość – tylko ludzie nie wiedzieli, że nie było czego zazdrościć – chyba tylko tego, że trzymaliśmy się razem. Tu było takie wychowanie jak i u mnie w domu – zawsze była w rodzinie zgoda.

Wróćmy do Pani pracy w nowotomskim liceum noszącym początkowo nazwę Miejskiego Gimnazjum Koedukacyjnego. Brała Pani udział w tworzeniu tej placówki, jak wyglądały jej początki?

Stanisław Musiał, dyrektor gimnazjum w Grodzisku Wlkp. w 1945 r. otrzymał zadanie zorganizowania Miejskiego Gimnazjum Koedukacyjnego Nowym Tomysłu. To zadanie nie było przypadkowe – p. Musiał był niezwykle szanowanym i cenionym przełożonym i nauczycielem, piewcą

pięknej polszczyzny. W sierpniu zgłosiłam się do niego z papierami. Zatrudniona byłam jeszcze jako panna Rybicka.

Początek roku był trudny – ludzie, którzy mieli się naszej szkole uczyć byli bardzo różni. Zgłosił się, na przykład, ojciec z osiemnastoletnim synem. Obaj wrócili z Afryki, opaleni jak murzyni. Ojciec chciał by syn zaczął szkołę średnią, ale na takiego dorosłego dryblasa Dyrektor nie chciał się zgodzić – nie mógł się uczyć z 12-14-latkami w pierwszej klasie. Zostali odesłani do innej szkoły. O kursach pedagogicznych, które potem były w naszej szkole, czy nauce dla starszych nie było wtedy jeszcze mowy.

W końcu jakoś się młodzież pozbierała. Rok szkolny zaczęliśmy bojąc się 11 września od mszy świętej. Uczniowie szli parami do kościoła. Równiutko, nikt się nie wychylał. Tej mszy właściwie zupełnie nie pamiętam. Tyle było w głowie nowości...

Wróciliśmy gromadkami. Byli i mali i więksi, na różnych poziomach. Nauczycieli już było wtedy kilku. Prefekt, ksiądz Skaziński – wspaniały człowiek – miał niesamowite podejście do młodzieży. Od razu też rozkręcił harcerstwo. Do biologii zgłosiła się Julia Preisler (siostra Michała Preislera) – nie miała jeszcze skończonych studiów, była i p. Bondarowicz.... Profesorowie gromadzili się stopniowo, dlatego rok szkolny się opóźnił – najpierw musieli być uczniowie, potem grono pedagogiczne, a na końcu pozwolenie z kuratorium na prowadzenie szkoły. Początkowo dyplom ukończenia studiów miałam tylko ja i pan Musiał.... Były takie braki w kadrze, że

nawet uczyłam matematyki... Później zgłosił się pan Kulisz, a do śpiewu Jan Goliński... Brakowało polonisty, bo panu Musiałowi większość czasu zajmowały sprawy urzędowe i organizacyjne. Jego żona była sekretarką, woźnym p. Muszyński.

Pieniądzy było niewiele, potrzeby duże. Brakowało pomocy szkolnych, a przede wszystkim książek. Zrobiliśmy w szkole zbiórkę, by utworzyć bibliotekę. Ci, którzy w domu mieli książki najczęściej jednak byli wysiedleni, a gdy wracali to już do pustych domów...

Pamiętam takie zabawne zdarzenie – kiedyś do szkoły pewien chłopiec przyniósł dwie książki. Odłożyłam je, by później przekazać panu dyrektorowi. Spakowałam się, zebrałam arkusze

papieru z zapisanymi uczniami z klasy (dzienników jeszcze nie było), no i na przerwę zabrałam również te książeczki. Malutkie były, ręcznie oprawione... Gdy zaczęłam je oglądać zobaczyłam u góry strony taką dziecięcą pieczętkę. Sama później kupowałam podobne dzieciom – literki układało się w takim rowku i stemplowało... No i patrzę na tę pieczętkę a tam napisane: „Roman Nitsche”, zerkam na drugą książkę pt. „Upiór w purpurze” (śmiech) – tak samo ma pieczętkę: „Roman Nitsche”. No to poszłam do kancelarii (sekretariat, dyrektor, kancelaria, wszystko było razem) i mówię: „Dyrektorze, mam 2 książki do biblioteki, ale chyba je sobie zabiorę”. I pokazałam mu pieczętki. „To chyba jeszcze mój mąż, będąc dzieckiem je tu



Mała matura 1947 r. Od lewej w dolnym rzędzie: ks. Kazimierz Granops, Zofia Nitsche, Stanisław Musiał, Bernard Lehman, Anna Bondarowicz, Franciszek Taberski

postawił!". Oczywiście zabrałam je do domu. Jaka to była radość, gdy mąż wrócił z pracy i mu pokazałam, co zdobyłam! „Moje książki, oprawione przeze mnie na lekcji!” - wykrzyknął.

No i tak powoli tworzyła się ta szkoła. Spisaliśmy wszystkich uczniów. Ja miałam około sześćdziesięciu - z różnych miejscowości, z różnych części Polski, z różnych roczników - rozpiętość ogromna. Taką gromadę trzeba było jakoś posegregować. Poza tym ciągle dochodzili nowi uczniowie.

W mojej pierwszej klasie uczył się i pan Gołabek - potem dentysta (pani Nitsche pokazuje zdjęcie swojej klasy i się uśmiecha) - Założył swoje pierwsze w życiu długie spodnie!... Ach, jaki ładny chłopiec z niego był... Uczyli się z nim pan Kozowski, i Zdzisław Wałęsa..., no i wielu innych.

W szkole funkcjonowały również klasy przyspieszone - 2 lata w jednym roku, oraz - dla młodzieży starszej - kurs pedagogiczny. Kończyli go m. in. państwo Zarzeczcy i pan Bujalski. Kadry nauczycielskiej brakowało, więc tym, którzy chcieli być nauczycielami musiało to wystarczyć.

Pierwszym historykiem był Leitgeber - z tych Leitgebrów poznańskich, którzy przyszli z Bambergu. Stary człowiek, ale historię miał w małym paluszku. Młodzież starsza doskonale pamiętała te lekcje. Dla niego wszystko zawsze zaczynało się od łoża... Wszystko rozgrywało się wokół króla - a skoro król, to i łoże...

Pierwsza matura, już z podpisem dyrektor Bondarowicz, odbyła się w 1951 roku. Matematykę prowadził wtedy Juszcak. Nauczyciele zmieniali się często. Nie było fizyka i młodzież

chodziła do stacji przekątnikowej na nietypowe zajęcia do pana Koszyckiego, który im opowiadał o działaniu radia, telefonu i podobnych urządzeń.

Na początku lat 50. francuskiego było bardzo mało, wchodził już rosyjski. Wszystkie romanistki miały problem - musiały nadrabiać innymi przedmiotami. Znałam taką, która poszła na rusycystykę i zaczęła uczyć tego języka, ale wszystkie romanistki się od niej trzymały z daleka... poza tym donosiła. Znałyśmy się wszystkie, gdyż co miesiąc lub kwartał w Poznaniu odbywały się konferencje... Spotkania te, prócz wymiany doświadczeń, miały służyć wtłoczeniu nam ideologii... My jednak nie byłyśmy ideologami, miałyśmy inne głowy - w nich wszystko to fruwało, nie wsiąkało... Wpuszczałyśmy jednym uchem, drugim wypuszczałyśmy... (serdeczny śmiech). Podawali jakieś lektury nawet, a potem był egzamin ideologiczny dla nauczycieli. Egzaminowała dyrektorka jednej ze szkół z Leszna, ale w naszej szkole. Chodziła i pilnowała, żeby nie ściągać... Poruszyło to nas..., że „TAKA” chodzi i nas kontroluje... No, cóż... złapali jedną głupią... Historyczka też nas próbowała uczyć jaka różnica między kosmopolityzmem, a internacjonalizmem - ale odpowiadałyśmy „choroba wie!”

Nieciekawe były te 50 lata...

W końcu już nie miałam czego uczyć, przerzuciłam się więc na język polski. Dyr. Bondarowicz dodatkowo kazała mi uczyć języka rosyjskiego, którego przecież nie znałam... W prawdzie przed wojną Pater, mówił by się

uczyć tego języka „w razie czego” i miał rację, że będzie w końcu potrzebny, ale przecież nie znałam go dobrze... Co robić? Kuzyn mnie trochę poduczył, a wysiedlona ze wschodu uczennica napisała mi pytania na końcowy egzamin. Ja czytać umiałam, poprawić mogłam, bo gramatykę znałam, ale mówienie i pisanie szło mi gorzej... No, ale pani Dyrektor uznała, że całkiem dobrze poszedł egzamin... Wszystko to jednak po to było, by udręczyć nauczyciela... takie czasy.

Ciągle brakowało mi godzin do etatu. Poszłam więc uczyć j. polskiego do Szkoły Zawodowej u pana Łakomczyka. Jego później też wyrzucili, gdyż brał udział w procesji Bożego Ciała. Udowodniono, że szedł, więc musiał opuścić stanowisko dyrektora. Szkoła ta mieściła się w obecnym budynku LOK-u, przed wojną była tam *Luizen-schule*. W klasach bardzo ciasno – dużo uczniów, młodzież rozwijająca się..., siekierę tam można było zawiesić... jak to się mówi... To była też inna młodzież, nie do końca zainteresowana akurat językiem polskim. Zdarzało się jednak, że pamiętali mnie po latach.... Słysmy kiedyś z córką przed stanem wojennym do sklepu siekierę kupić – tak, na wszelki wypadek... no i w sklepie słyszę „Dzień dobry Pani Nitschowa!” – mężczyzna jakiś czapkę zdjął i pyta, czy go nie poznaję – „Siedziałem w ostatniej ławce w szkole zawodowej”- „Ach tak, poznaję! I wymieniałam jego nazwisko. Ucieszyłam się... Aż dziw, że po tylu latach się kłaniają. W szkole zawodowej uczyłam przecież jakoś między 50 a 56 rokiem. Jeśli chodzi o licealistów, to właśnie te najstarsze klasy – roczniki 56 i 57 –



Z p. Dorywalskim na wycieczce szkolnej
w Tatrach - 1951 r.

wszyscy się trzymają razem, wiedzą jeden o drugim wszystko. Co 5 lat robią zjazdy w Porażynie i zawsze jestem ich gościem. Wieczorem mnie odwożą do domu, a sami do nocy siedzą i jeszcze rano nie mogą się rozstać... Właśnie teraz w sobotę, 15 września obchodzili 50. lecie matury. Było jak zawsze wesoło i szalenie miło znów się z nimi spotkać – w tych klasach byli m, in. Ewa Sosińska, pan Zygmunt Duda, pani Adamczewska, Czajkova, pan Wielicki, Majewicz i wielu innych... I ostatnia klasa, w której Renata Śmiertelna była, chociaż miałam tam lekcje tylko przez rok, też o mnie

pamięta. Do dziś odzywają się do mnie moi uczniowie, nawet niedawno dostałam kartkę od księdza z drugiego rocznika maturalnego. Właśnie poszedł do Domu Emeryta.

Wracając do 1950 roku. Dyr. Musiał został wtedy „skłoniony” do rezygnacji z funkcji – czy przyczyniła się do tego jego ogólnie nieprzychylna ówczesnej władzy postawa, czy też jakieś konkretne wydarzenia?

Ogólnie rzecz biorąc nasilenie stalinizmu było powodem.... Nie chciał się po prostu naginać. Może i wpłynęła na to również sprawa słynnych chłopców... To było bardzo smutne wydarzenie... W 1949 roku w szkole odbył się proces pokazowy kilku uczniów*. Zbudowali oni taką organizację... Nie przypuszczaliśmy, że coś takiego się stanie. Grono pedagogiczne nie miało pojęcia o ich poczynaniach. Chłopcy byli grzeczni, chodzili do szkoły, a swoją działalnością zajmowali się w wolnym czasie.. To, co robili, to były głupoty właściwie... Dobry psycholog by powiedział „Chłopcy źle się bawicie, porzućcie to” – ale myśmy nic nie wiedzieli... Wiem tylko z oskarżenia, co robili... Byli harcerzami, tak się bawili trochę – jednego z siebie nazywali porucznikiem i pisali rozkazy o różnych treściach – na przykład, że

ten i ten „donosi do UB i trzeba go zlikwidować”, robili jakieś napisy na murach... Po lasach była porzucona broń, więc ją zbierali – pochodzili zresztą z rodzin partyzanckich, mieli konspirację we krwi – ich rodzice byli wysiedleni do generalnej guberni – tam były całe oddziały partyzanckie, każdy dom był w coś zaangażowany...

Cała szkoła musiała pójść na tę rozprawę, a ostentacyjnie wprowadził ich na salę milicjant, który potem bardzo nisko mi się kłaniał – mniejsza o nazwisko. Pamiętam tylko, że łyzy ciurkiem mi ciekły jak ich wprowadzano. To było w Domu Ludowym u pani Olejniczakowej... Jeden z nich był niepełnoletni, oczywiście wstawiał się za nim p. Musiał, ale to nic nie pomogło. Skazano ich na 12, 15 lat więzienia. Niektórzy robili te przyspieszone klasy, więc nie dość, że byli przez okupację poszkodowani, to jeszcze potem to.... Byli z okolic – ze Zbąszynia, Buku, Opalenicy, Lwówka. Nie odbyli całych kar, objęła ich amnestia w '56 roku, jednak potem nikt nie chciał ich przyjąć do pracy. Skazani byli na roboty w kopalniach na śląsku, dwóch tam umarło. Jedynie pan Stelmaszyk w rejonie przyjął jednego z nich do pracy.

Po 56 roku zrobiło się trochę luźniej... Dyrektor Musiał wrócił jednak

* 22 września 1949 r. zapadł wyrok Wojskowego Sądu Rejonowego w Poznaniu na sesji wyjazdowej w Nowym Tomysłu skazujący członków tzw. „Tajnej Organizacji Wyzwoleńczej” – Edmunda Listewnika, Jana Matuszewskiego, Witolda Skibińskiego, Henryka Schulza, Mariana Starosty i Mieczysława Wittiga – za m. in.: „udział w nielegalnej organizacji mającej na celu zmianę przemocą ustroju Państwa Polskiego, działającej pod nazwą „Tajna Organizacja Wyzwoleńcza”... kolportaż ulotek antypaństwowych, zbieraniu broni palnej dla celów organizacyjnych oraz w przygotowaniu w lasach nowotomyskich dwóch „bunkrów” mających służyć jako ewentualne schronienie dla sprzętu i członków organizacji” na 12-15 lat więzienia, przepadek mienia oraz utratę praw publicznych, obywatelskich i honorowych na lat 5.



Rocznik maturalny 1957 r. W dolnym rzędzie od lewej: Kazimierz Kryś (matematyk), Elżbieta Maryńczyk, Lech Bondarowicz, n.n., Zofia Nitsche, Anna Bondarowicz (dyrektor), S. Musiał, Felicja Gołąbek, ks. Michał Kosicki, Urszula Starostówna (w-f), Kazimierz Dorywalski



Rocznik 1959. W dolnym rzędzie od lewej: ks. Stanisław Ziemia, E. Maryńczyk, Józef Chwalisz (fizyk), Tadeusz Weysssewhoff (j. rosyjski), Felicja Gołąbek, Andrzej Meysner, S. Musiał, Zofia Nitsche, K. Dorywalski, Kazimierz Kryś, Lech Bondarowicz, Rudolf Schreyner (chemik)

na stanowisko tylko dlatego, że namówił go pan Dorywalski. To była zresztą niesamowita postać. Przyjechał z Pińska. W Pińsku uczył w liceum jezuickim, wzorowym – gdzie były 2 baseny, musztra, na rozkaz wszystko wykonywano i kto wyszedł z tej szkoły, to był prima żołnierz, prima! Potem ci chłopcy szli do kadetów, pod Lwowem. Miałam do czynienia w czasie wojny z takim kadetem – uczniem. Proszę pani – jego buty z daleka świeciły! Mucha mogła sobie złamać nogę na tym wypolerowanym nosie... To były szkoły dla chłopców! Przysposabiała do wojska, dlatego to wojsko było tak cenne! Dziewczyny to szalały za żołnierzami.. A teraz? To fajtlapy są, nie żołnierze. Nie potrafi taki nawet odezwać się. A tamci? Byli szarmanccy, elegancy, prostolinijni...

No i pan Dorywalski uczył w tej szkole. Potem był dyrektorem w Ślesinie, skąd został wyrzucony jako „ideologicznie nieprzystosowany”. Stamtąd trafił do nas. Był biologiem i chemikiem, ale nie było rzeczy, na której by się nie znał – chodząca encyklopedia. W naszej szkole zwany był „Dziadkiem”. Ogród jaki zrobił z naszymi uczniami to było cacko – miał nawet sadzawkę, w której żyły rybki, żaby i ropucha – z innych szkół przyjeżdżali uczniowie, by go zobaczyć. Mieścił się na terenie obecnego stadionu.

Dziadek właśnie wiercił panu Musiałowi dziurę w brzuchu, by ten napisał pismo o przywrócenie na stanowisko. No i faktycznie w 1957 roku został ponownie dyrektorem... Jednak już bez tego zapachu.... Miał cały czas związane ręce – trzeba było się zawsze liczyć UB i władzami.

Ten pierwszy raz, gdy go zdejmowano ze stanowiska, to ja jako pierwsza zorientowałam się co się święci. Na koniec roku szkolnego 1945/1950 przyjechała do nas pani Bachulska – wizytatorka. Pani Bondarowicz wygłosiła długie przemówienie, w którym padło zdanie, że pozbywamy się dwóch kolegów, którzy nie pasowali.... Jakich dwóch, myślę? A nikt wtedy jeszcze nic nie wiedział, łącznie z tymi kolegami... Popłakałam się, bo wiedziałam, co będzie dalej. Tak, jak się spodziewałam, na powizytacyjnej konferencji powiedziano już, że zmieniamy dyrektora... A ci koledzy „nie pasujący” to byli: historyk Taberski i matematyk Lehman... Zresztą z Taberskim niedawno po jakimś zjeździe nawiązaliśmy kontakt i nawet mówimy sobie „Zosieńko” i „Franusiu” na stare lata, choć wcześniej nie byliśmy na ty. (śmiech)

Tak to było z panem Musiałem... Zresztą po raz drugi, w 1961 r. też odszedł z powodów ideologicznych,... na nowo nie pasował... A przecież zaangażowany był zawsze w życie szkoły i uczniów – osobiście wspierał finansowo biedniejszych wychowanków szkoły. Historia oddała mu sprawiedliwość – jedna nowotomyskich ulic nosi jego imię.

Czy po 1956 zmienił się stosunek do nauczania języków obcych w szkole? Mogła Pani wrócić do uczenia francuskiego w większym zakresie?

Owszem, coś drgnęło, choć jak dla mnie to było późno. W 1962 roku wysłano nas – około 50 osób na konferencję dla romanistów do Sevre. Zor-



Matura, rocznik 1958. Na dole od lewej: Józef Chwalisz, Jan Goliński, K. Kryś, Lech Bondarowicz, przedstawiciel Komitetu Rodzicielskiego - K. Dorywalski, Z. Nitsche, S. Musiał, E. Maryńczyk, S. Ziemba, E. Gołąbek, A. Meysner



Z. Nitsche, dyr. S. Musiał, Irena Długaszewska - Gwiazdka 1961 r.

ganizowało to ministerstwo w porozumieniu z nauczycielami z Sevre. Tamtejsza szkoła miała świetne wyniki nauczania, stosowała nowe metody. Z lekcji, na które tam chodziliśmy wiele wynosiliśmy. Faktycznie szkoła, metody, dojrzałość uczniów – wszystko zachwycało. Jednak poza tę szkołę wyjść nie było można, nie było kontaktu ze zwykłymi ludźmi. Raz tylko umówiłam się z poznaną tam Armenką, by porozmawiać po francusku, bo nie było okazji do rozmowy z francuzami... Jednak i do tego spotkania nie doszło. Uczestniczyliśmy w samych wykładach, słuchaliśmy tylko... Było widać, że Francuzi też nie chcą z nami rozmawiać... Wiedzieli, że jesteśmy z kraju komunistycznego, nie rwali się do tego. Ciągłe żyliśmy przecież w tym systemie – wiozłam do Francji mnóstwo paczek, listów – stąd dla rodzin tam mieszkających. Pamiętam, że aby coś tam kupić musiałam przemyścić 100 dolarów zaszyte w pasku... Dzieci się cieszyły, że jadę, bo miały być prezenty...

Zmiany były, ale ja od 1968 roku chorowałam. Na przemian byłam w szpitalu i szkole... Niewiele uczyłam wtedy. Nie miało to sensu. W 1972 roku odeszłam na emeryturę. Lata '70 były już inne, nowy budynek, lepsze warunki, ale już niewiele tego doświadczyłam.

Szkoła, to obok nauki również życie kulturalne, organizacje i rozrywka...

Tak, ja swoją pracę w szkole urozmaicałam sobie opiekowaniem się jakąś organizacją – chodziłam na zbiórki harcerskie, prowadziłam koło PCK

i miałam pieczę nad Spółdzielnią Uczniowską. Na lekcjach wychowawczych wymyślałam dla uczniów nietypowe zajęcia. Szycie, robienie ozdób choinkowych, gazetek ściennych... Zresztą ten czas głównie wykorzystywałam na robienie lekcji historii, ale o tym może później opowiem... A propos PCK przypomina mi się takie zabawne zdarzenie z jednej z matur...

Miałyśmy apteczkę na korytarzu. Klucz był u mnie lub u tej uczennicy, która apteczką się opiekowała. Przed jedną z matur pan Dorywalski na wszelki wypadek zrobił więcej kropli walerianowych i schował do tej szafki. Kropli, tradycyjnie zrobionych na spirytusie, było pół litra... Moi maturzyści jakoś się o tym dowiedzieli, otworzyli tę apteczkę – w oczekiwaniu na egzamin trochę się denerwowali – no i wypili tę walerianę,... całą! (śmiech) Przychodzę, a szafka otwarta,... waleriany nie ma... Pytam – „Kto rozbił tę szafkę?” Oczywiście winnych nie było... No to pytam znów: „Tam jest puśta butelka, chcę tylko wiedzieć, czy to wszyscy wypili, czy jeden?” Bo jak jeden, to niedobrze... Może zasnął gdzieś, albo co... Oczywiście nikt się nie przyznał... Myślę jednak, że nikt nie do tej butelki był... Do dziś nie wiem kto to zrobił, ale już nie poruszam tego tematu na zjeździe...

Wracając to życia kulturalnego szkoły...

Mieliśmy koło teatralne. W 1947 roku Dyrektor zezwolił młodzieży na odtworzenie Pasji. Tekst zorganizował od zakonników młody matematyk, w przedstawieniu brali udział i licealiści, młodzież gimnazjalna i uczniowie pedagogicznej klasy. To był wielki suk-



Maturzyści z lat 56 - 57 (klasy - męska i żeńska) spotykają się do dziś... - tutaj na tegorocznym zjeździe (p. Zofia, wychowawczyni klasy męskiej, czwarta z lewej)

ces, z tym przedstawieniem wyjeżdżali nawet w teren do Międzychodu, Międzyrzecza, Kalisza. Starsze roczniki to pamiętają i wspominają do dziś: „A tamten to grał Pana Jezusa”. Później było też drugie, duże przedstawienie: „Krakowiacy i Górale”.

Oprócz kółka teatralnego, było taneczne - pamiętam jak Ewa Sosińska tańczyła,... pięknie, z odpowiednimi przysiadami, przytupami... ach, jak to wyglądało... Mieliśmy też chór szkolny prowadzony przez p. Jana Golińskiego, były zawody między chóralne, a później Renata Śmiertelna, która była w mojej ostatniej klasie organizowała śpiewanie piosenek partyzanckich.

Do szkoły przyjeżdżali również muzycy z filharmonii, tzw. Artos. Wraz z nimi pojawiał się pan Karaśkiewicz - konferansjer prowadzący te koncerty.

Co roku gościła u nas pani Rychter - już wtedy leciwa aktorka - deklamowała wiersze Mickiewicza, Słowackiego. Wielka dama... Panowie byli zachwyceni - tu na zdjęciu widać jaki pan Musiał uśmiechnięty i pan Kałek... Chusteczkę do do nosa jej podawał - o tak (p. Zofia pokazuje odpowiedni gest) - w dwóch palcach. (śmiech) Mam to przed oczyma, jak chodził wokół niej na palcach... jeszcze słyszę, jak ona recytuje... Zajmowała taki lokalik przy kuchni i urządziła po swojemu, przywoziła obrazki na ścianę, nakrycie na tapczan,... miała duże wymagania co do jedzenia... Chciała na przykład pomarańcze, a one przecież były tylko dwa razy do roku na święta...

Pamiętam też pokazy przeźroczy - to były zdjęcia z Krakowa, z Warszawy, Poznania. Takie były czasy, że nie było

dostępu do książek, do różnych rzeczy... no i to była atrakcja, tak samo jak koncerty Artosu. Zabierałam na nie zawsze moje dzieci. Lubili muzykę, bo w domu się grało, mój ojciec przecież grał, mąż również.... W szkole było sporo zajęć popołudniami, ale gdy Asia i Romek byli mali nie mogłam chodzić na wszystkie. Lekcje też trwały długo w tych pierwszych latach, bo druga zmiana uczyła się do dwudziestej. Dzieci, co prawda, nigdy nie były same w domu, bo tu było dużo ludzi, ale przecież jeszcze musiałam zrobić obiad, zakupy... Nie było zresztą co kupić... tylko gołąbków w słoikach nie brakowało... potem na gołąbki patrzeć nie mogłam...

Wracając do tematu... Prowadziłam również zajęcia z młodzieżą na świetlicy, przygotowaliśmy tam świętowanie rocznic.... urodziny Mickiewicza, Nałkowskiej itp. Przygotowywaliśmy dekoracje, wybieraliśmy wiersze do recytacji, były odpowiednie gazetki ściennie. W latach 60. opiekowałam się Spółdzielnią uczniowską. Prowadziłyśmy sklepik szkolny, kanapki robiłyśmy, herbatę. Miałymy księgozbiór z prawdziwego zdarzenia, prowadziła ją Joanna – moja córka.. Spółdzielnia miała też swój wkład w zabawy szkolne – organizowała poczęstunek. Zebraliśmy w ten sposób 11 tysięcy i przekazaliśmy dyrektorowi na wycieczkę szkolną. Szkoła zarabiała też na wykopkach, sadzeniu lasu, siano-kosach.. jak każda inna...

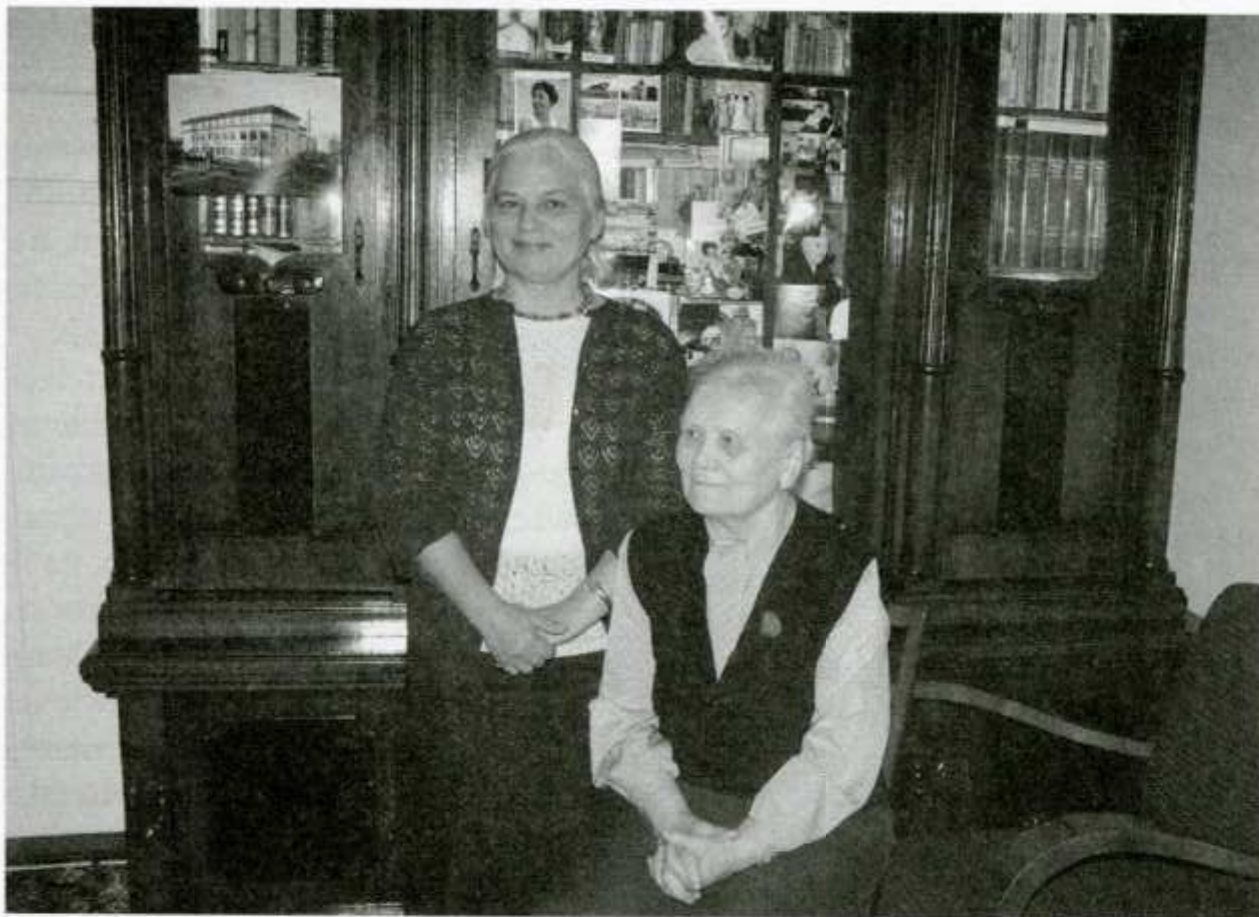
Za dyrektora Koneckiego zaczęły się rajdy do lasu, był też wyjazd do Kotliny Kłodzkiej, z panem Meisnerem. Szkoła organizowała wystawy, były zajęcia sportowe, SKS-y...

Pani pasją była szkoła. Trudno było odejść na emeryturę?

I tak, i nie. Chorowałam wtedy i nie było sensu marnować uczniów. Na tych zastępstwach niewiele się nauczili. A ja raz byłam, raz nie. Raczej częściej w szpitalu...

Potem na emeryturze uczyłam łaciny, trochę francuskiego. Problemy z gardłem nie pozwoliły się jednak forsować. Chociaż jedna z moich uczennic wybrała się potem na studia, na filologię klasyczną... Z łaciny w końcu również zrezygnowałam, bo złamałam nogę, a rehabilitacja trwała prawie cały rok. Po tym roku wikariusz namówił mnie żebym uczyła religii. Nie zdawałam żadnych egzaminów, misję kanoniczną dostałam z kurii jeszcze w czasach księdza Michała Kosickiego. Do dziś mam jego list z podziękowaniem. Byłam jednak przyzwyczajona do pracy z młodzieżą, a to były młodsze dzieci, nie miałam już cierpliwości... Mówię sobie: „jak już się rwiesz do rękoczynów, to lepiej zrezygnuj”. Później jeszcze długo udzielałam lekcji prywatnych, nawet 2 lata temu miałam uczennice. Teraz przyszedł moment na wspomnianie, powrót – chociaż myślami – do Lublina. Kiedy stamtąd wyjechałam to zostawiłam wszystko, także myślenie o tym miejscu i o tym, co było. Teraz z córką wracamy do wspomnień rodzinnych, kupujemy książki o Lublinie.

Pozostaje Pani ciągle w pamięci swych uczniów, wychowała Pani kilka pokoleń. Nie tylko uczyła Pani języków, ale przekazywała mnóstwo wartości. Co pani przyświecało w pracy dydaktycznej?



Zofia Nitsche dziś – z córką Joanną...



... i autorką niniejszego tekstu

W mojej pracy wychowawczej nie potępiałam nigdy nikogo, bo wiem jak to jest, gdy się jest młodym – jest się butnym, pysznym, chce się postawić na swoim... Myśli się, że moje własne zdanie jest najlepsze, najmądrzejsze, ale doświadczenie czasem pokaże, że to było do niczego. Czas pokaże, ile to było warte. W gronie nauczycielskim zawsze uczniów broniła Fela Gołąbkowa i ja. Gdy chciano ucznia wyrzucać, ja mówiłam żeby go zostawić. Choć zdradzał pewne symptomy naiwności i nieznajomości rzeczywistości, dlaczego miał za to pokutować? Wystarczyło, że on i tak był naznaczony nieświadomością własnej głupoty...(śmiej) To dlaczego jeszcze go karać,... życiową niedołęgę? To była już dojrzała młodzież, czasem ich rozpie-rało.... Klamki były powyrywane - no, ale z czego te klamki były...? Piec rozwalili... Wyrznął drzwiami, to i kafel odpadł... no co wielkiego? Przewiew był, to i szyba wyleciała... no to wstawiali nowe szyby... Krzesła były zniszczone – zrozumiałe, jak siedzi i się kiwa, to się zniszczyły... przecież ważyli po 60 – 70 kilo, mieli po 18, 19 lat...

Ale te psikusy i wybryki nie były złośliwe..... to trochę inaczej niż teraz bywa. Na ogół to były nieszkodliwe żarty... Inaczej tylko było w wypadku syna jakiegoś partyjnego, który donosił.. Kiedyś mnie zapytał o sprawy polityczne – akurat Rokossowski odszedł, a Spychalski przyszedł – i on mnie pyta – „Co z Rokossowskim, co się dzieje w tej Polsce?” – Ja rozłożyłam tylko ręce i mówię: „Czy ja wiem? Skąd ja mogę wiedzieć?” I to już też znalazło się w partii, potem wzywał mnie p. Musiał i kazał uważać. Ale to i tak by-

ła najlepsza odpowiedź mówić „Nie wiem”, bo ciągle coś się zmieniało... Wisiały w szkole 3 portrety: Engelsa, Marksa, Bieruta, potem Cyrankiewicza... Gdy coś się działo „na górze” przychodziło nowe zdjęcie, a stary portret szedł za piec... Czasem uczniowie sami chowali dla żartu...

Jeśli chodzi o wychowanie, to najwięcej czasu na rozmowy z uczniami miałam na godzinach wychowawczych. Inne nauczycielki się dziwiły – „Co ty robisz na tych lekcjach?” A mnie jeszcze było mało. Kontrolowało się dzienniczki, wyjaśniało incydenty z całego tygodnia. Sami mi opowiadali o starciach z innymi nauczycielami, mieli do mnie zaufanie. Potem sama starałam się łagodzić te starcia. Resztę czasu poświęcałam na własne lekcje historii. 1. września mówiłam o Westerplatte, czytałam Wańkowicza, opowiadałam o Powstaniu Wielkopolskim, potem uczniowie przynosili historyczne pamiątki rodzinne, odznaczenia i była dyskusja. Po latach pamiętają wiersze patriotyczne, które czytaliśmy. Czasem opowiadałam na lekcjach wychowawczych co nieco z moich młodych czasów, jak spędzało się narodowe święta. Nie było ograniczenia przecież, że o tym nie mogę mówić... A opowiadając o tym, co można, mówiłam przy okazji o tym, czego nie można było... Dużo opowieści dotyczyło Gdańska i gdy pewnego razu uczennice odwiedziły mnie w szpitalu, to przyniosły mi książkę „Historia Gdańska”... Pamiętały, wiedziały co mi kupić, nie jakieś powieści-dło, ale Gdańsk...

Nie byłam mściwa. Czasem ktoś mnie poprawił na lekcji – może uda-

wałam, że nie słyszę, ale też uczciwie rozważałam, czy ma rację. Nie brałam do siebie tego, gdy młodzież była rozweselona, albo coś w moim zachowaniu może wydawało im się śmieszne – myślałam: „Dorośniesz, zrozumiesz”. Oceniając starałam się coś wyciągnąć, wydusić z ucznia, żeby móc postawić ocenę pozytywną.

Chodziłam do domów uczniów, którzy mieli problemy, by rozmawiać z rodzicami. Najczęściej robiłam to w niedziele, niespodziewanie. Brałam Asię za rękę i jechałyśmy do Róży, do Wąsowa, do Borui.. Z reguły przynosiło to jakiś skutek.

Zawsze mówiłam rodzicom przed egzaminami: „Pozwólcie dzieciom się uczyć, dajcie im czas” – Pamiętam, że jedna z matek powiedziała: „Ja jemu nawet jeden pokój oddałam” Dobrze. „Niech pani tylko zagląda do tego pokoju, bo nie wiadomo, co on tam robi! Może schadzki urządza zamiast się uczyć...” (śmiech).

Wysiłek rodziców też był przecież istotny. Nie tylko nauczyciela... Dziś rodzice dają pieniądze i ich nie interesuje nic więcej. Jak dajesz pieniądze za pytaj, na co wydał... Myśmy w domu dostawali 2 zł. w gimnazjum, czy liceum. Dużo szło na składki – 10 groszy na Sodalicję Mariańską, 10 groszy na Ligę Morską i Kolonialną, 10 groszy do samorządu klasowego... Na bilet do kina, na popołudniówkę wystarczało 50 groszy, więc zostawało na 2,3 seanse. Mama wiedziała na co te pieniądze wydajemy i więcej nie dostawaliśmy. To uczyło gospodarności. No i tak starałam się moich wychowanków uczyć, jak to u mnie w domu było...

O tym, że mi ufali przekonało mnie takie zdarzenie... W lecie przyjechała do mnie uczennica z jednej z okolicznych wiosek, były już wakacje. Wchodzi z płaczem i mówi mi: „Ojciec chce mnie zabić, chodzi za mną z nożem... – a to rzeźnik był – Ja do domu nie wracam!” Ubrałam się, wzięłam dziewczynę i pojechałam z nią, mając duszę na ramieniu i nie bardzo wiedząc, co tam zastanę. Myślałam: „Może zwariował człowiek i ja pierwsza pójde pod ten nóż”. Gdy dotarliśmy na miejsce jej matka stojąca przed domem, pokazała mi gdzie jest mąż. Byłam mocno zdenerwowana, ale odezwałam się: „Niech się pan nie chowa, i tak widzę, że pan tam jest. I co? Na kogo pan szykuje ten nóż?” Był we mnie strach, ale i jakaś desperacja. „Niech pan schowa nóż, bo nawet straszyć nim dziecka nie można. Pan popełnia wielkie zło. Za to można iść do więzienia!” Chciałam go jakoś nastraszyć... Weszliśmy wszyscy do mieszkania. Na bufecie, pod szkłem stał baranek wielkanocny. Mówię więc: „Skoro nóż za cholewą, to wyrzucicie wszystkie obrazy, wyrzucicie tego baranka – na co wam te symbole? Skoro nie stosujecie się do tego, co Pan Bóg kazał robić!” Spuścił głowę, jak bandyta patrzył spode łba... Żona cała się trzęsła, córka też. „Ojciec jest do pouczenia, nie do bicia” – mówię. „Ale ja nie chcę żeby ona z tym chłopakiem chodziła!” – w końcu przemówił. „Musi dziewczyna pochodzić – ja na to -bo musi chłopaka poznać. W ciemno wyjdzie za mąż? Pan jej poszuka narzeczonego i do ołtarza ich poprowadzi za rękę? Młodzi muszą sobie porozmawiać. Można mieć pieczę na tym

jak długo rozmawiają, ale nie o czym rozmawiają – po czynach pan pozna. Nie zabiorę jej do siebie, bo nie mam warunków – musi być przy rodzicach!” Potem po latach, na jednym ze zjazdów okazało się, że ona była nieślubnym dzieckiem... Ojciec sądził po sobie,... po prostu nie ufał jej. No, ale w każdym razie udało się sytuację załagodzić... Jednak długo się dziwiłam, że ta uczennica po mnie przyjechała, abym interweniowała sprawach rodzinnych. Niedawno, – też na zjeździe – okazało się, że akurat jej klasa mówiła na mnie „mama”. Jak każdy nauczyciel miałam swoje przezwisko,... ale to uznaję za wyjątkowe... Chociaż może coś w tym było, bo moje własne dzieci miały pretensje, że więcej czasu poświęcałam uczniom, niż im.

Co z perspektywy czasu uważa Pani za swój sukces pedagogiczny?

Kilku moich uczniów poszło do seminarium. Byłam na prymicjach u kilku księży, jeden z nich – ks. Walewacz – zmarł niedawno. Wśród moich wychowanków jest kilku romanistów i łacinniczka. Jeden z romanistów miał nawet swoją pracownię językową na Politechnice Szczecińskiej. Siostrzeniec męża, Markowski, który był moim uczniem, pracując w azotach tarnowskich, miał sympozjum, na którym wygłaszał referat po francusku, a potem prowadził dyskusję. Referat nie był skomplikowany, ale bar-

dzo dobry zważywszy na to, że francuski znał tylko ze szkoły, z mojej klasy... byłam z niego dumna. Na moich lekcjach była dyskusja nad każdym błędem... może potem już nie, bo i mniej zapału uczniowie mieli, no i za komuny było za mało francuskiego... Uczyłam osoby, które później stały się znaczące dla swojej społeczności – to też miłe, ale najbardziej zawsze mnie cieszyło, gdy wiedza wyniesiona z moich lekcji przydawała im się w życiu. Zresztą chcąc uniknąć pytania na lekcji prosili zwykle, by im opowiadać o Francji, a ja mogłam opowiadać godzinami. Szczególnie, gdy tak często wyłączali prąd w latach 60. No, chyba, że robiliśmy powtórkę po ciemku ze słówek, czy gramatyki... Jeździli potem do Paryża..., cieszyłam się, gdy mówili, że korzystali z tych moich opowieści.

Kiedyś było takie zabawne zdarzenie z Jackiem Jaroszykiem, bratem pani Halcowej – też już po wielu latach od szkoły. Szłam chodnikiem, ulicą obok mnie przejeżdża samochód, a on z tego samochodu się wychyla i krzyczy do mnie: „Byłem we Francji, byłem w Paryżu!!!! Wszystko się zgadza! Jest tak jak pani mówiła!” (śmiech) To było takie przyjemne... wszyscy ludzie na ulicy patrzyli na nas...

Rozmawiała
Sylwia Kupiec

Foto: archiwum rodzinne Zofii Nitsche, Sylwia Kupiec

ODCZYTANE NA NOWO...

Wśród celów przyświecających redakcji PRZEGLĄDU NOWOTOMYSKIEGO znajduje się prezentowanie – w części historycznej czasopisma – postaci wybitnych nowotomyślan, zasłużonych dla miasta i jego mieszkańców. Wśród opracowywanych aktualnie biogramów znajduje się i ten poświęcony ks. dziekanowi Michałowi Kosickiemu, który duszpasterską – w najpełniejszym tego słowa znaczeniu – posługę w naszym mieście pełnił w latach 1946 – 1980. Jednak szczupłość społecznie zaangażowanych sił redakcyjnych i autorskich sprawia, iż przedsięwzięcie to przesuwają się nieco w czasie. Zanim więc koniec zwieńczy dzieło prezentujemy nekrolog tego wybitnego nowotomyskiego kapłana, który opublikowany został na łamach *Miesięcznika Kościelnego Archidiecezji Poznańskiej* (1982, s. 152-54).

Kolejnym materiałem, który publikujemy w tym dziale, jest artykuł pióra dra Zdzisława Kościańskiego, znawcy dziejów Nowego Tomyśla, którego z wielką radością i satysfakcją witamy na naszych łamach. Zamieszczony poniżej tekst, który ukazał się na łamach czasopisma *Otwarta Szkoła* (2002 nr 6) poświęcony jest szerzej nieznanemu, bohaterskiemu epizodowi z życia znanego w naszym mieście lekarza medycyny – Ireneusza Cieślińskiego.

Ks. Michał Kosicki (1906 – 1981)

Urodził się w Wielkiejwsi koło Buku, 1 września 1906 r. z ojca Wincentego, robotnika majątkowego i matki z Talbierskich. Najmłodszy z sześciorga rodzeństwa, od wczesnego dzieciństwa przejawiał szczególne zamiłowanie do piękna. Szkołę podstawową ukończył w Buku, a następnie dwuletnią Szkołę Wydziałową również w tej samej miejscowości. W następnych latach był uczniem Gimnazjum im. Paderewskiego w Poznaniu. Tutaj zadecy-

dował o całej swojej przyszłej drodze życiowej. Choć artystyczna jego dusza wahała się, jak sam mówił, między pędzlem a kropidłem, wybrał zdecydowanie Piękno Najwyższe – Boga. Gimnazjum ukończył w 1927 r. i zgłosił się do Seminarium Duchownego w Gnieźnie. Bardzo prawdopodobne, że na taką właśnie decyzję wpłynęły jego osobiste kontakty z ks. Stanisławem Janickim i ks. Zimochem, którzy pomogli mu w odnalezieniu właściwej drogi. Tych

bowiem księży wspominał zawsze ze szczególnym uczuciem i wdzięcznością.

W swoich latach szkolnych należał do harcerstwa, sam organizował biwaki i obozy, redagował pisemko „Nasze letnisko”, do którego artykuły sam głównie pisywał. Posiadał przedziwną lotność myśli i łatwość pióra.

Po dwóch latach pobytu w seminarium w Gnieźnie studiował w Seminarium Poznańskim i w Poznaniu też otrzymał święcenia kapłańskie z rąk księdza kardynała Augusta Hlonda – 12 czerwca 1932 r.

Jako dawny członek Sodalicji Mariańskiej szczególną czcią darzył Najświętszą Matkę.

Pracę kapłańską rozpoczął w parafii Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w Poznaniu na Główniej.

Kolejne jego wikariaty, to parafie św. Michała, Matki Boskiej Bolesnej i św. Marcina w Poznaniu.

W 1939 r. w chwili zagrożenia Polski najazdem hitlerowskim, zgłasza się ochotniczo do Wojska Polskiego. Udaje się do Wojskowego Obozu Ćwiczebnego w Biedrusku pod Poznaniem, gdzie znajduje się dowództwo Wielkopolskiej Brygady Kawalerii, którą dowodzi gen. bryg. dr Roman Abraham. Przyjmują go z otwartymi rękami, gdyż dwa pułki dotąd nie mają swoich kapelanów. Otrzymuje przydział do 7 Pułku Strzelców Konnych. Przechodzi cały szlak bojowy brygady, bierze udział w bojach pod Sobotą, Walewicami, Zbrożkową Wolą, Głównem, następnie nad dolną Bzurą, pod Brochowem i Witkowicami, wreszcie w nieustannym boju przez Puszcę Kampinoską. W czasie walk 7 Pułku Strzelców Kon-



nych ks. kapelan Kosicki nie czeka nigdy na punkcie opatrunkowym, zawsze najchętniej przebywa w pierwszym szeregu bojowym, gdyż tam może przyjść najprędzej z pomocą rannym. Któregoś dnia na przedpolu dostrzega liczne ciała zabitych i rannych Niemców. Gdy tylko natarcie naszych oddziałów rusza naprzód, ks. kapelan podchodzi do nich, pytając, czy ktoś potrzebuje pomocy. Dostrzega żołnierza w hełmie i w okrwawionym mundurze, tulącego się w największym strachu do krzaka.

- Jestem księdzem katolickim - mówi - czy chcesz może się wyspowiadać? - Jestem protestantem. - Nie obawiaj się, zaraz przyślę do ciebie sanitariusza.

W bitwie pod wsią Zamość na terenie Puszczy Kampinoskiej, w czasie przebijania się do Warszawy, zostaje

ciężko ranny płk Stanisław Królicki, dowódca 7 pułku Strzelców Konnych. Po założeniu opatrunków, wraz z lekarzem, ks. kapelan wiezie ciężko ranne go dowódcę na taczance do szpitala. Podczas nocy pcha taczankę przez bezdroża i wyboje leśne i dowozi ranne go do szpitala w twierdzy modlińskiej, po czym zaraz wraca do swojego pułku, aby dzielić z nim los do końca w walkach w oblężonej stolicy.

Ks. Kosicki za swoją postawę i męstwo odznaczony zostaje *Virtuti Militari* i Krzyżem Walecznych.

Po kapitulacji Warszawy nie idzie do oflagu. Pozostaje w kraju, zdejmując mundur, zmienia nazwisko, pracuje jako drwal w lesie, a równocześnie bierze udział w ruchu podziemnym jako kapelan konspiracyjnego 7 Pułku Strzelców Konnych. (Stanisław Podlewski: *Wierni Bogu i Ojczyźnie*, s. 67-68).

Pracuje teraz w diecezji kieleckiej – jako wikariusz w parafii Kuczków i proboszcz w Sułoszowej.

Po wyzwoleniu, w roku 1945 powraca do Poznania. Zamianowany zostaje administratorem parafii Sieraków – pracuje tam od 15 kwietnia do 15 listopada 1945. Powołany z kolei do Poznania, pełni funkcję dyrektora Caritasu.

Dnia 1 października 1946 roku otrzymuje jako proboszcz parafię Nowy Tomyśl z kościołami filialnymi w Borui Kościelnej, Jastrzębsku i Sątupach. Pracuje z jednym tylko wikariuszem. Czas wypełniają mu ustawiczne objazdy, opieka nad chorymi i cała masa innych zajęć. Praca staje się nieco łatwiejsza dopiero po trzech latach, gdy Boruja otrzymuje nowego proboszcza, a następnie odpadają kolejno Jastrzębsko i Sątopy. Ma już teraz dwóch wika-

riuszów. Zabiera się energicznie do pracy. Buduje wikariat dla księży – współpracowników i Biuro Parafialne, zakłada nowy cmentarz grzebalny z nowo wybudowaną kaplicą, odnawia protestancki kościół pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa, odnawia całkowicie parafialny kościół pod wezwaniem Matki Bożej Nieustającej Pomocy, wznosi salki katechetyczne, a przy tym prowadzi niezmordowaną pracę duszpasterską. Jest też należycie ceniony i szanowany przez swoich parafian. W 1954 roku zostaje mianowany dziekanem dekanatu lwóweckiego.

Był człowiekiem światłym, o szerokich horyzontach, głębokim humanistą, wspaniałym kaznodzieją, wytrawnym spowiednikiem doskonale rozumiejącym człowieka i jego problemy. Serdecznie życzliwy dla każdego, wnosił zawsze atmosferę spokoju i pewności. Posiadał rzadką umiejętność łagodzenia wszelkich sporów i zadrążeń. Zawsze chętnie służył w posłudze kapłańskiej. Cieszył się wielkim autorytetem wśród braci kapłanów. Chociaż wiedział o tym, nigdy nie stwarzał dystansu szczególnie wobec młodych kapłanów, to też było powodem głębokiego uczucia i szacunku, którym darzyli go konfratry.

W 70-tą rocznicę urodzin musiał poddać się operacji. Życiu jego chwilowo nie zagrażało bezpośrednio niebezpieczeństwo, ale choroba nowotworowa rozwijała się nadal. Niejednokrotnie cierpiał wiele, ale nigdy tego po sobie nie okazywał. Uśmiechem pokrywał ból. Czując się osłabionym, w 1979 roku zrezygnował z funkcji dziekana.

W dalszym ciągu uczestniczył we wszystkich zgromadzeniach dekanal-

nych, bywał na odpustach, chociaż już bez odprawiania sum odpustowych i głoszenia kazań, których tak chętnie zawsze słuchano. Choroba coraz bardziej dawała znać o sobie. Jeszcze jednak się nie poddawał, czerpiąc moc z ufności do Matki Nieustającej Pomocy. Stał coraz bardziej. Widząc się już niezdolnym do pracy, zrezygnował z funkcji proboszcza i z dniem 1 czerwca 1981 r. miał przejść na dobrze zasłużoną emeryturę. Niestety nie doczekał tego.

W dniu 29 maja 1981 r., zaopatrzone sakramentami św., wieczorem o godz. 21.15 odszedł po nagrodę do Pana.

Pogrzeb jego był wielką manifestacją nie tylko społeczności parafialnej Nowego Tomyśla, ale i dekanalnej. Mszy św. żałobnej i wszystkim ceremoniom pogrzebowym przewodniczył ks. bp Stanisław Napierała.

Ks. Adam Radomski

Foto. archiwum rodzinne p. Barbary Kosickiej

Pamiętajmy o uczestnikach Poznańskiego Czerwca...

Pierwszym i gwałtownym wyzwaniem pod adresem istniejącego porządku politycznego w Europie Wschodniej, przewyższającym pod każdym względem demonstracje w Berlinie Wschodnim i Pilźnie (1953 r.), były wydarzenia w czerwcu 1956 roku w Poznaniu. Robotnicy, obok żądań natury ekonomicznej i politycznej, postawili poczucie społecznej sprawiedliwości. Stąd też na transparentach były m. in. hasła: *Chcemy chleba, Żądamy podwyżki płac, Precz z czerwoną burżuazją, Precz z normami, Precz z Ruskimi, My chcemy wolności, Jesteśmy głodni, Chcemy żyć jak ludzie.*

Demonstracje poznańskie liczące około 100 tysięcy osób (w mieście liczącym 300 tysięcy mieszkańców) przyniosły ofiary w ludziach i musiały być powstrzymane interwencją wojska. Były także niespodzianką dla ekipy rządzącej, która początkowo nie wiedziała, jak na nie zareagować. W ulicznych walkach życie straciło 75

osób, a kilkuset demonstrantów zostało rannych. Ówczesne władze uznały poznańskie wypadki za dzieło *agentury imperialistycznej i reakcyjnego podziemia* oraz *chuligańskich mętów*.

Odchodzą od nas świadkowie wydarzeń Poznańskiego Czerwca. Dnia 4 stycznia 2002 r. w Nowym Tomyślu zmarł Ireneusz Cieśliński – lekarz chirurg. W środowisku nowotomyślan i grodziszczan znany również wielu jako znawca „staroci”. Zarówno o jego chwalebnej drodze w Poznańskim Czerwcu, jak i wcześniejszej drodze walki niepodległościowej, wiedziało niewielu. Chyba w pracy wychowawczej z dziećmi i młodzieżą nie wykorzystano w pełni jego pasji i przeżyć. Był świadkiem historii, który wiele doświadczył. Jego życie w czerwcu 1956 r. było związane z pracą chirurga, którego zadaniem było ratowanie ludzi, niezależnie po jakiej stronie stali, a jednocześnie z zachowaniem człowieczeństwa i prawdy. Taka wiedza, jak postę-

pować jest dzisiaj potrzebna do dokonywania wyborów.

Ireneusz Cieśliński urodził się w 1924 r. w Będzinie, w rodzinie nauczycielskiej. W czasie kampanii wrześniowej jako ochotnik służył w batalionie łączności pułku artylerii, a w czasie okupacji działał w Szarych Szeregach – Armii Krajowej. W lutym 1945 r. został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa w Będzinie za reaktywowanie harcerstwa w Czeladzi (Górny Śląsk), a w 1946 r. – za udział w strajku studentów w Poznaniu. Jako harcmistrz kierował VI Hufcem w Poznaniu na Winiarach, m. in. w 1947 r. budował Dom Harcerza na Winiarach. W 1951 r. ukończył studia medyczne w Poznaniu i podjął pracę najpierw w Poznaniu, potem w Grodzisku Wielkopolskim, a następnie w Nowym Tomysłu.

Doktor Cieśliński w latach 1955–1960 był zatrudniony na oddziale chirurgicznym Szpitala Miejskiego im. F. Raszei w Poznaniu, znajdującym się niedaleko siedziby ówczesnej Milicji Obywatelskiej i Urzędu Bezpieczeństwa.

Podczas wydarzeń poznańskich w czerwcu 1956 r. przez cztery doby nieustannie udzielał medycznej pomocy uczestnikom powstania. Potem, w czasie procesów uczestników zająć, jako świadek mówił gorzkie dla ówczesnej władzy słowa prawdy o dniu 28 czerwca i następnych dniach 1956 roku.

Po latach wspominał: *Z ulicy Dąbrowskiego tłum ruszył w dół na ul. Kochanowskiego. Szpital im. Raszei nie miał wówczas tych budynków, które dzisiaj stoją, na ich miejscu był wolny plac i z tego placu widać było prawie cały budynek UB.*

Pochód przeszedł pod ten budynek. Nie widzieliśmy jednak całego pochodu, bo tam był taki mały dom, który trochę zasłaniał widok. Słyszeliśmy wznoszone okrzyki, widzieliśmy pięści podniesione w kierunku UB. Potem w stronę okien poleciały kamienie podniesione z bruku, z ulicy. W jednym z okien pokazał się osobnik w zielonym ubraniu, w takim mundurze półwojskowym, trudno mi to z perspektywy lat powiedzieć, i coś początkowo krzyczał do nich. Po chwili wyjął pistolet i strzelił dwa razy w górę, a następnie zaczął strzelać w dół. Zaraz potem widziałem przez okno, że idzie pierwszy ranny, nazwiska nie pamiętam, ale ranny był – przetrząsał kości ramiennej lewej czy prawej. Potem było dwoje dzieci, a później około 300, może nawet więcej. Kiedy zobaczyłem rannych, to zbiegłem na dół, wziąłem dwie rejestratorki, którym kazałem być przy wejściu, i przy każdym, kto wejdzie, pisać nazwisko, imię i godzinę przyjęcia. Nie zdawałem sobie sprawy, jak wielkie to będzie miało znaczenie dla późniejszego procesu i historii. I właśnie, Wysoki Sądzie, mam tutaj te księgi na dowód, kiedy i jacy ranni przychodzili, o której godzinie. Pierwsi ranni – dziś nie pamiętam minut dokładnie – byli około godziny dziesiątej z minutami, a ludność mogła mieć broń dopiero około dwunastej z minutami, to znaczy po zdobyciu więzienia. To była pierwsza broń w Poznaniu, czyli ludność nie mogła rozpętać tego całego piekła, tylko Urząd Bezpieczeństwa.

Oprócz rannych, przetrzałów, postrzałów, dostarczono nam też zabitych. Część umierała u nas. Ranni byli natychmiast operowani na dwóch salach, na jednej operował dr Granatowicz z kolegami, na drugiej m. in. ja. Na pierwszym piętrze szpitala jest duża kaplica, którą natychmiast za-

mieniono na salę dla rannych. Łóżka zostały zniesione ze strychu {...}. Z ciężkich wypadków pamiętam takiego chłopca – gimnazjalistę osiemnasto – dziewiętnastoletniego, pokłutego bagnietami już w następnym czy w tym samym dniu, a także przestrzały klatki piersiowej, przestrzały brzucha. Zabitych znoszono zaraz do garażu szpitalnego, który w tej chwili służył do dzisiaj jako kostnica...

Dalej wspominał: Między innymi był też u nas jeden ranny żołnierz, miał przestrzał kości podudzia. Od niego dowiedzieliśmy się, jak się to wszystko odbywało. Otóż oni zostali zebrani z różnych jednostek z całej Polski, otoczyli Poznań. Wprowadzono ich w błąd, powiedziano im, że na ulicach Poznania grasują bandy rabujące sklepy, mordujące ludzi, które to bandy należy uinicestwić. W takim zaciętrzewieniu żołnierze, chyba bez ich winy, strze-

lali naprawdę trochę bezmyślnie. Po godzinie milicyjnej, która była {...} od godz. 21 wieczorem, strzelali bez zapytania do ludzi, ktokolwiek się pojawił, kobieta, nie kobieta....

Losy ludzkie są pogrążone w losach wsi, miasteczek, regionów, państwa i świata. Takimi też były losy doktora Ireneusza Cieślińskiego. Pamiętajmy nie tylko o tych świadkach historii, którzy odeszli, ale także o tych, którzy są jeszcze wśród nas.

Miejmy nadzieję, że upiory przeszłości – szowinizmu, ksenofobii, stalinizmu i faszyzmu, pozostaną tylko lękami. Natomiast synonimem dzisiejszej Polski w Europie Ojczyzn będą – silny duch, prawość, mądrość i wiara przodków, a nie głupota, zakłamanie, ciemnota i nietolerancja.

dr Zdzisław Kościański

Foto.: archiwum autora



Ireneusz Cieśliński w otoczeniu uczestniczek ćwiczeń sanitarnych w Nowym Tomysłu – 1972 r.

WOKÓŁ NAS

Ewa Wojtanowska

...Tylko koni żal...

Koń odegrał w dziejach Polski rolę szczególną. Najcenniejsze narodowe tradycje, najpiękniejsze karty historii i polskie obyczaje związane są z koniem. Przypomnijmy przy tej okazji, że pierwszą flagą jaka załopotowała nad ruinami Monte Cassino był proporzec 12 Pułku Ułanów Podolskich. Tymczasem jednak – co zrozumiałe – świat się zmienia. Decyzją Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa, w dniu 27 lipca 2000 r., została zlikwidowana Stadnina Koni w Posadowie. W ten sposób przerwano istniejącą tam i udokumentowaną od ponad 200 lat, hodowlę koni. Z jednej strony rozumiemy wymagania współczesności, z drugiej jednak – trochę żal...

Jak to dawniej bywało...

Majątki Posadowo, Lwówek i Konin należały do rodziny Łąckich. Melchior, jako pierwszy z rodziny Łąckich, zapoczątkował w 1792 r. hodowlę koni. Mianowany rotmistrzem II Ukraińskiej Brygady Kawalerii Narodowej w Dywizji Podolsko-Braclawskiej, posiadał w swym majątku w Posadowie konie krwi orientalnej. Zasłużony poznański działacz rolniczy, Włodzimierz Wolniewicz w swej rozprawie na temat koni w 1851 r. dowodził, iż w Wielkim Księstwie Poznańskim nie ma koni odrębnej rasy. Konie w Księstwie są pomieszane – od rasy wschodniej, poprzez arabską, turecką do ukraińskiej. Na skutek ustania napływu koni ze stepów Rosji, władze pruskie musiały powiększyć własne zaplecze, produkujące konie, zarówno dla rolnictwa, jak i na potrzeby armii. Nie tylko władze pruskie czyniły starania, by podnieść jakość i wielkość pogłowia koni w Wielkopolsce. W tym samym kierunku zaczęły iść starania światłych Polaków, przeważnie obywateli ziemskich. Tym działaczom przyświecał nie tylko cel korzyści majątkowych, ale

również wizja dorównania polskiego rolnictwa – choć znajdującego się pod zaborami - najlepszym wzorcom zachodnim. W 1875 r. Władysław Łącki sprowadził do Posadowa 20 klaczy wschodniopruskich, kupił też parę koni orientalnych ze stadniny Bnińskiego w powiecie wyrzyskim, sprowadził sześć klaczy gidranek (półkrwi arabskiej) z Węgier, korzystał również z ogierów sierakowskich i własnych. Stadnina koni w Posadowie jako jedna z wielu otrzymała srebrny medal, nadany jej przez władze pruskie za remonty. Był to jeden z dwóch medali przyznanych w Wielkopolsce przez cesarza Wilhelma II z widoczną inskrypcją, która w dosłownym tłumaczeniu znaczy *Dla chwały króla ta hodowla koni*. Przypomnieć też należy, że początek zorganizowanej hodowli koni w Wielkopolsce przypada na rok 1895, wówczas bowiem powstaje w Wielkim Księstwie Poznańskim Centralne Towarzystwo Gospodarcze i centralny rejestr zapisywania klaczy w księgi rodowodowe.

Po wyzwoleniu...

Po wybuchu powstania wielkopolskiego w 1918 r., w dwa dni po oswobodzeniu Poznania, we Lwówku i Posadowie z inicjatywy Stanisława Łąckiego, Mieczysława Kwileckiego oraz byłego plutonowego armii niemieckiej, Wojciecha Świerczyka, powstał polski oddział konny złożony z byłych kawalerzystów i młodych nieprzeszkolonych ochotników, któremu to Stanisław Łącki podarował 22 konie. Na owy czas Stadnina Koni w Posadowie liczyła już od 200 do 250 klaczy zarodowych, dostarczała dla wojska rocznie 100 koni remontowych i 12 ogierów dla stad państwowych.

W roku 1918 Stadnina Koni w Posadowie była największą w Europie hodowlą koni. W 1922 r. na walnym zjeździe Towarzystwa Księgi Stadnej w Poznaniu Stanisław Łącki zostaje nowym prezesem, który w tym samym roku przejął dobra posadowskie. W okresie do II wojny światowej Posadowo wywarło ogromny wpływ na hodowlę koni w Wielkopolsce, a tym samym na kształtowanie się typu konia wielkopolskiego.

Niestety, podczas II wojny światowej wszystkie konie w Posadowie zginęły. Początki organizacji stadniny po II wojnie datują się od maja 1945 r. Zarząd stadnin przejmuje dwa gospodarstwa - Lwówek i Konin, pozostałe gospodarstwa - Posadowo i Pakosław zajęte były wówczas przez wojska radzieckie i zostały przekazane stadninie w roku 1946. Początkowo stadnina, zwana Stadniną Koni Lwówek, była bardzo słabo obsadzona końmi zarodowymi. Klaczy przydatnych do hodowli zarodowej w 1945 roku zdołano zgromadzić tylko 18 szt. W 1946 r. przeprowadzono do Posadowa część klaczy z Racotu i wówczas liczba ich wzrosła do 30. Do 1951 r. Stadnina Koni w Posadowie nie rozwijała się z uwagi na przybycie powracającej z Niemiec Zachodnich stadniny koni z Janowa.

Przypomnijmy, janowska stadnina koni we wrześniu 1939 r. została całkowicie zniszczona przez Armię Czerwoną. Jej właściciele część stadniny zdo-

łali wywieźć na Zachód. Stadnina janowska wróciła do Polski w 1946 r. Ponieważ gospodarstwo w Janowie były całkowicie zniszczone, stadnina ta została umieszczona w gospodarstwie Posadowo i Pakosław. Stadnina janowska została przeniesiona do Janowa dopiero w 1950 r. I wówczas dopiero mogła się rozwijać właściwa stadnina koni w Posadowie.

Posadowska stadnina koni została zorganizowana znacznie później niż inne stadniny, dlatego też nie wywarła na niej piętna powojenna tendencja do zmiany konia poznańskiego na typ konia roboczego. Właśnie w Posadowie została zorganizowana hodowla koni typu wielkopolskiego, a zbiegło się to z likwidacją stadnin w Konarzewie, Kobylnikach i Modrzu. Kłacze z tych stadnin - wraz z przychówkiem - zostały przeprowadzone do stadniny w Posadowie i stały się materiałem wyjściowym, na którym zbudowano w Posadowie hodowlę koni. W 1953 r. w Posadowie było już 200 kłaczy, w tym okresie stadnina składała się 4 gospodarstw: Posadowo, Pakosław, Konin, i Lwówek oraz 6 folwarków, z których Komorowo i Pawłówek zostały później zorganizowane jako samodzielne gospodarstwa. Początkowo stadnina dysponowała końmi z innych stadnin. Były to przeważnie typy koni roboczych, które przydatne byłyby w gospodarstwie.

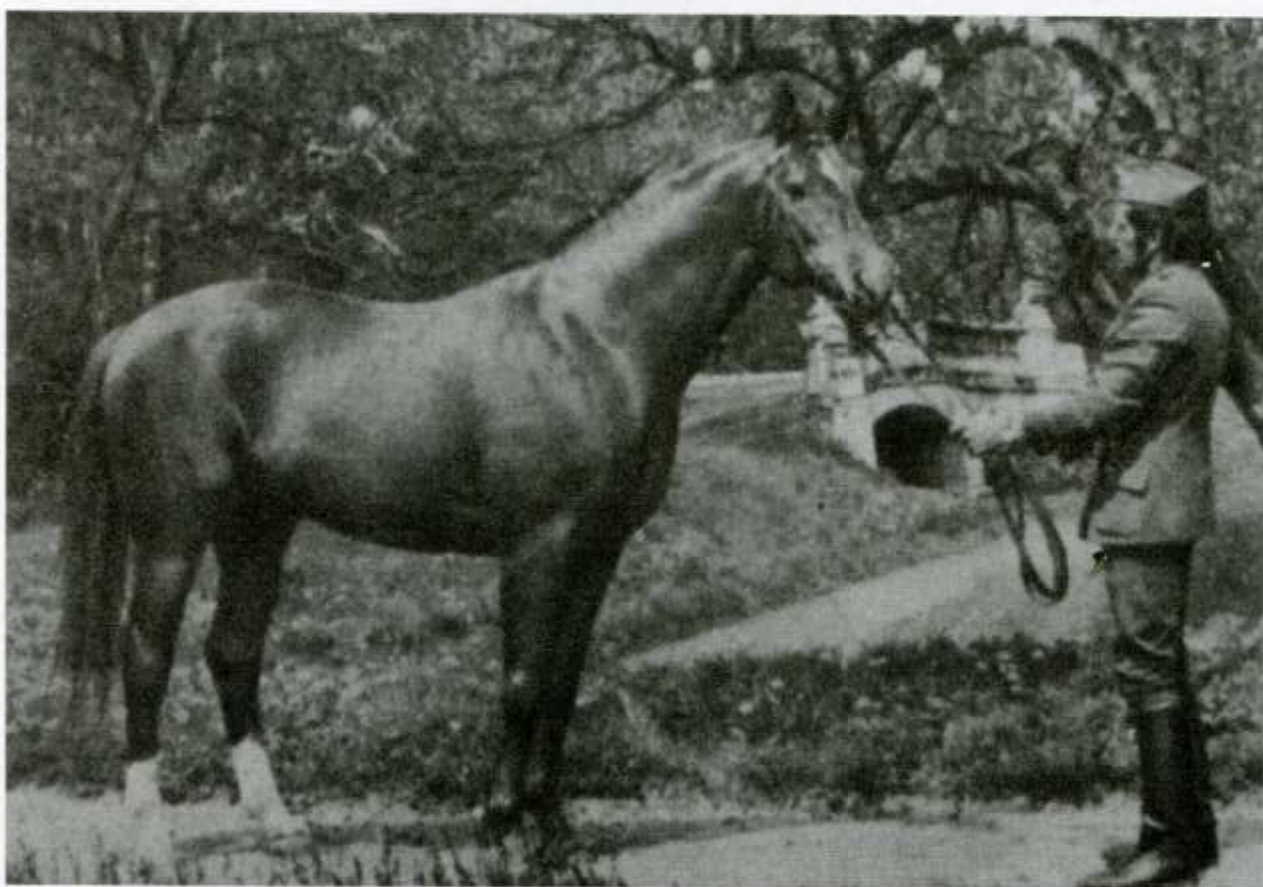
Do Polski dla uruchomienia gospodarki trafiały również konie z przydziału UNRR-y. Ponieważ Zachód w bardzo szybkim tempie zaczął rozwijać i modernizować swoją gospodarkę rolną (powstanie EWG), pozbywano się więc koni roboczych. Sprowadzano je m. in. do Polski. Jednak hodowcy w Polsce bardzo szybko zdali sobie sprawę z tego, że należy rozpocząć hodowlę konia rekreacyjnego i sportowego, zwłaszcza, że postępująca w dużych państwach gospodarkach rolnych mechanizacja z wielu prac zaczęła wypierać konie. W Posadowie hodowlę konia sportowego zaczęto w 1953 r. i już w roku 1956 sprzedano 3 remonty (wałach na potrzeby wojska) do Szwajcarii i 2 konie sportowe do Holandii. Do roku 1964 sprzedano łącznie 169 koni remontowych do Szwajcarii, Indii, Egiptu i Szwecji oraz 72 konie sportowe i 4 kłacze zarodowe do Związku Radzieckiego.

Historia konia sportowego w Posadowie rozpoczyna się od kłaczy *Happy* urodzonej w Hanowerze, która wzięta do hodowli dała cały szereg sportowych koni. M. in. *Heppyness* (ur. w 1955 r.) okazała się bardzo dobrą matką koni sportowych, potem *Heroína* (ur. w 1969 r.) siwa po ogierze *Rumianie*, która w treningu była do 1967 r. Stadnina prowadziła też zakład treningowy założony 1958 r. dla koni sportowych w Poznaniu Wola, na dawnym torze wyścigowym. W Posadowie powstał klub jeździecki założony w 1948 r., a jego członkowie brali czynny udział we wszystkich zawodach jeździeckich, z bardzo dobrymi wynikami.

W 1983 r. zaczęto w Posadowie używać do hodowli koni sportowych, ogierów hanowerskich i holsztyńskich tzw. pełnej krwi angielskiej, czystej krwi arabskiej oraz angloarabskiej. Zdecydowanie wówczas zmienił się typ koni wielkopolskich hodowanych w Posadowie.



Czwórka siwych klaczy ze stadniny w Posadowie - 1978 r.



Belfegor - czołowy ogier rasy wielkopolskiej w stadninie koni w Posadowie - 1979 r.

Posadowska stadnina w swej działalności nie tylko hodowlanej, ale i gospodarczej, zapisała na swoim koncie wiele sukcesów. Oprócz wyhodowania szeregu bardzo dobrych ogierów i klaczy, za które otrzymywała nagrody i medale na wystawach, stadnina miała też bardzo dobre wyniki sportowe, a laury sportowe były udziałem nie tylko posadowskiej sekcji jeździeckiej na koniach posadowskich, ale również zawodników nie zrzeszonych, startujących na koniach wyhodowanych w Posadowie. Stadnina była jedną z nielicznych stadnin w Polsce, gdzie oprzegano wszystkie młode klacze wcielone do stada matek, a od roku 1978 wprowadzono próby dzielności klaczy. Wzorowano się, z pewnymi modyfikacjami, na próbach dzielności ogierów w zakładach treningowych. To działanie pozwalało na eliminację klaczy, które nie nadawały się ani pod wierzch, ani do zaprzęgu. Niezwykle ważną rolę w stadninie odegrała sekcja jeździecka, poza rekreacją dla młodzieży sekcja spełniała rolę dalszego sprawdzania dzielności materiału hodowlanego i wyłaniania sportowych talentów. Tym sposobem sprawdzone zostały zdolności potomstwa wielu ogierów pełnej krwi np. *Orkan*, *Regiment*, *Belfegor*. Przypomnieć należy, że w roku 1990 Stadnina Koni w Posadowie wyhodowała czołowego ogiera *Orkisz*, a wcześniej w roku 1985 ogiera *Alkierz* - uczestnika Wszechstronnego Konkursu Konia Wierzchowego (WKKW) na olimpiadzie w Seulu w roku 1988 oraz konia *Chutor* - uczestnika WKKW na olimpiadzie w Barcelonie w roku 1992.

Stadnina Koni w Posadowie, oprócz zadań hodowlanych, specjalizowała się w pokazach zaprzęgów wielokonnych. Na jednym z ostatnich pokazów w Posadowie wystąpił zaprzęg 19. konny. Stadnina posiadała szczególne warunki do pokazów zaprzęgów, dysponowała bowiem 40 stylowymi pojazdami konnymi oraz 60 kompletami szorów wyjazdowych i uprząży chomątowej. Stadnina organizowała też doroczne biegi myśliwskie.

... *dadzą mi konika cisawego...*

Arabowie nazywali sierść konia koszulką. Trafnie, bo uroda konia w znacznym stopniu zależy od barwy i jedwabistości sierści. Dziś mało kto potrafi rozróżnić i nazwać barwy koni, na przykład jakiego koloru jest koń, gdy powiemy - wrony, cisawy, izabelowaty, bułany, czy gniady? Krótko wyjaśnijmy różnice. Koń wroni to czarny, czyli kary. Koń maści cisawej to koń o barwie brązowej, wpadającej w czerwień (w wieku XVIII przyjęto dla niego nazwę kasztan). Koń bułany to koń o barwie płowej, jasnożółtej, gliniano żółtawej czy kremowojasnej; najczęściej jednak spotykana nazwa to izabelowaty. Z tym określeniem koloru wiąże się legenda o księżniczce austriackiej Izabeli - córce Filipa, która uczyniła śluby, że nie zdejmie bielizny póki jej ojciec nie zdobędzie Ostendy. Niektórzy twierdzą, że chodziło o zupełnie inną księżniczkę kastylską, która uczyniła podobne śluby w związku z oblężeniem Grenady. Nieważne jednak kto w tym sporze ma rację. Ponieważ w obu wy-

padkach chodzi o brudną bieliznę wysoko urodzonych dam, tak więc tym kolorem nazwano konie szlachetnego urodzenia, natomiast terminem bułana czy płowa określano konie niższego pochodzenia. Koń maści gniadej to koń barwy brązowej, przy czym grzywa i ogon są koloru czarnego. Należy też wspomnieć o koniu białym, białym kopycie i gołych cielistego koloru chrachach, konie te w czasach cesarstwa rzymskiego zastrzeżone były dla cesarzy. Natomiast koni karych chętnie używali dostojnicy kościoła. Na koniec wymienimy jeszcze maść taranty, która ma barwę biało-czarną, a zwana jest sroką.

... hodowla, której nie ma...

W ostatnich latach istnienia stadniny wszystkie konie zostały skomasowane w gospodarstwie w Posadowie, z którego usunięto i rozmieszczono w innych gospodarstwach cały inwentarz posadowskiej stadniny i tak zakończyła się największa w Europie posadowska hodowla koni.

Dodajmy jeszcze, że jedną z najprzyjemniejszych cech konia jest jego życzliwość do człowieka i gotowość służenia mu. Gdyby pokusić się o porównanie człowieka i konia z punktu widzenia ilości dobra i zła, jakie czynią, to wynik porównania byłby taki - koń czyni zło tylko wtedy, kiedy człowiek swoją głupotą i złośliwością zmieni jego naturę; koń nie zdemoralizowany przez człowieka jest dobroduszny i człowiekowi życzliwy. Natomiast historia społeczeństw ludzkich nie wystawia człowiekowi najlepszego świadectwa. Człowiek czynił różny użytek z tego pięknego zwierzęcia. Jeździł nim do boju, do ukochanej, zarabiał jego siłami na życie, tresował, by za zdolności wyuczone brać pieniądze, orał nim i za pośrednictwem kieratu wprowadzał maszyny rolnicze w ruch, wydobywał węgiel, ale też gonił na koniu inne zwierzęta, by je... zabijać.

Wielu jest ludzi, którym się zdaje, że owies, siano i trochę słomy pod nogi, to wszystko, co się koniowi należy. A gdyby tak przyjrzeć się z bliska, gdyby przypomnieć sobie historię Polski... koń odgrywa w niej pierwszoplanową rolę... i konia z rzędem temu, kto zrozumie postawę człowieka.

Opracowano na podstawie:

1. Okręgowe Przedsiębiorstwo Hodowli Zwierząt Zarodowych w Poznaniu, Poznań 1979 (z publikacji tej pochodzą zamieszczone w artykule zdjęcia).
2. J. Urbankiewicz, *Gdzie są konie z tamtych lat*, Łódź 1986.
3. W. Waligóra, *Monografia hodowli zarodowej*, Poznań 1974.
4. *Koń poznański*, Kraków 1961.
5. Informacje Adama Kaczmarka, byłego wieloletniego dyrektora Stadniny w Posadowie.

Tomasz Andrzejewski

Motocyklowe spotkania Opalenica – Sielinko 2007

... Skąd pomysł zorganizowania zlotu motocyklowego, i to w Opalenicy? Czy może dlatego, że sport motocyklowy stał się w ostatnim czasie bardzo modny i widok motocyklisty nie jest już taką egzotyką, jak jeszcze parę lat temu? Otóż, nie. Nie podążyliśmy za modą, lecz przede wszystkim za chęcią przypomnienia, a może bardziej przedstawienia i uświadomienia w szerokiej społecznej świadomości faktu, dzięki któremu Opalenica staje się wyjątkowym miejscem na mapie Polski. Tym faktem jest wyprodukowanie właśnie w Opalenicy – w latach 1929 - 1932 – pierwszego polskiego motocykla „LECH”. To właśnie legło u przyczyn zorganizowania tego typu imprezy w Opalenicy.

Impreza została zaplanowana w ramach corocznego święta Opalenicy – Najśodszych Dni, a na bazę zlotu wybrano najlepszą z możliwych lokalizacji – tereny wystawowe Wielkopolskiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego w Sielinku.



Przejazd motocyklowej kawalkady przez Opalenicę

Sobota, 4 sierpnia, teren Wielkopolskiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego. Poranek nastrajał optymizmem, wreszcie po zimnych, deszczowych dniach zanoszą się na słoneczny i prawdziwie letni weekend. Tak więc pierwszy warunek, aby ktokolwiek przyjechał został spełniony.

Tuż przed 12.00, choć sama zbiórka planowana była od 13.00, niebo nad Sielinkiem „rozdarł” dźwięk pierwszego motocykla – to duet z Lubonia, właściciel na swoim „dopieszczonym”, czerwonym – MZ Trophy.

Dawało to nadzieję, że wielka niewiadoma, jaką jest frekwencja na takiej imprezie, tym bardziej organizowanej po raz pierwszy, nie będzie najgorsza i będzie z kim pokazać się w Opalenicy.

Na dobre zaczęło się grubo przed pierwszą, do tej godziny na parkingu stało już kilkanaście motocykli. W międzyczasie zjazdowicze i obserwatorzy mieli możliwość zwiedzenia Muzeum Gospodarki Mięsnej. Z każdą mijającą minutą stawało się jasne, że powinno się udać, a zaproszenie LECHa (motocykla z Opalenicy) zostało dobrze przyjęte wśród motocyklowej braci. Po następnej godzinie była już setka jednośladów i tak już do godziny „0”, tj. 16.00, kiedy to zarejestrowanych zostało ponad 330 maszyn, między innymi z: Gdańska, Szczecina, Zamościa, Lublina, Wrocławia, Łodzi, Głogowa, Kościana, Gniezna, Poznania, Obornik, Szamotuł, Zbąszynia, Legnicy, Lubonia i wielu innych miejscowości.

Minuty do 16.00, otwarcie, formowanie kolumny, oczekiwanie na przyjazd policji i ruszyła błyszcząca w słońcu kawalkada prawie 400 motocykli śladami jazdy testowej pierwszego polskiego motocykla z Sielinka przez Troszczyn, Dakowy Mokre, Uścięcice, Kozłowo do Opalenicy. Tutaj ulicą Poznańską na Rynek, powoli, dostojnie, w takt miarowej pracy silników i użyciu wszystkiego, co wydaje z siebie jakikolwiek dźwięk, kawalkada jakiej to miasto jeszcze nie widziało, dotarła pod Ośrodek Kultury, pokazać się opalenicznom i obejrzeć wystawę polskich motocykli z okresu międzywojennego.

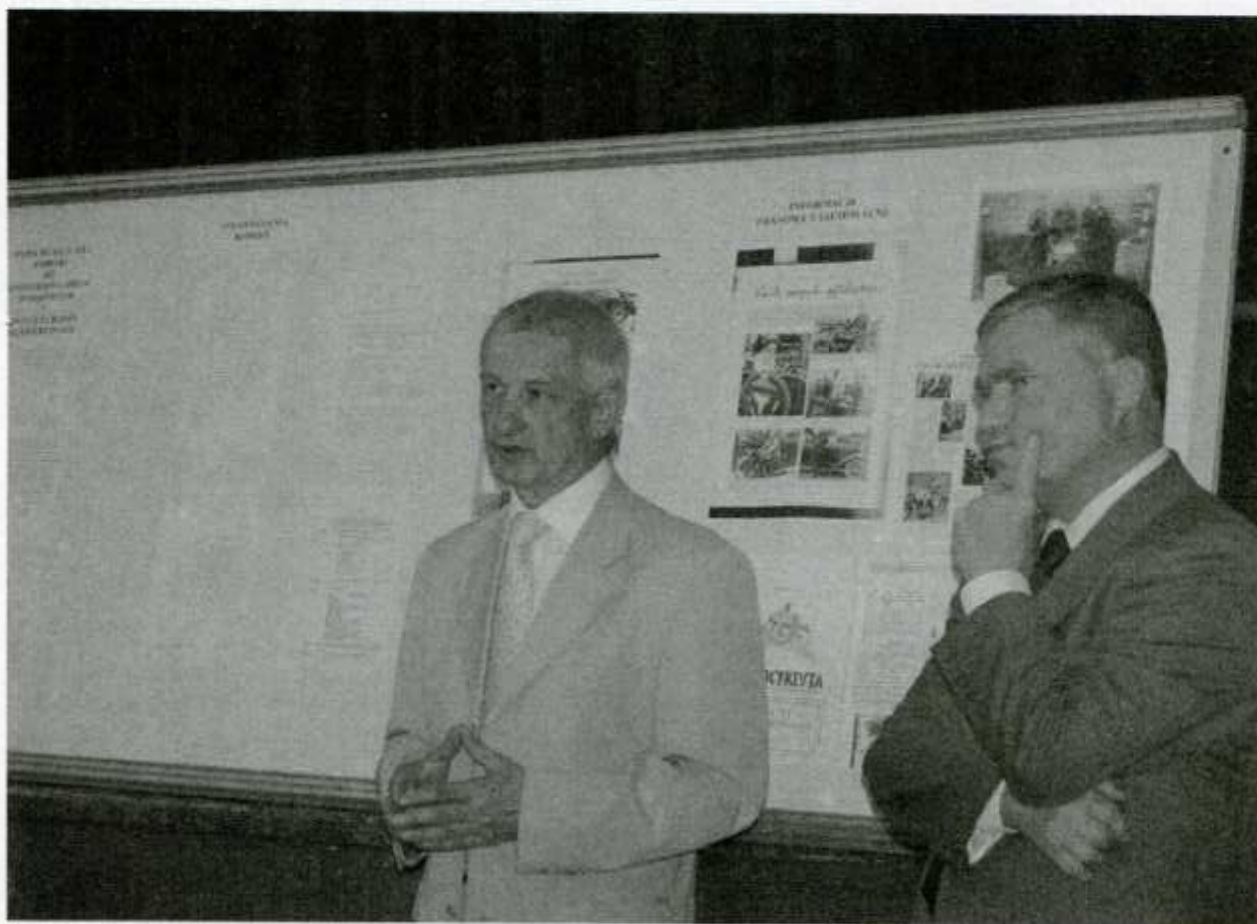
Ekspozyty pochodziły z kolekcji Ryszarda Wosińskiego, który wspólnie z burmistrzem Ryszardem Napierałą otworzył wystawę o godzinie 16.00 i mimo że zaprezentowanych jednośladów było tylko pięć, to były one naprawdę wyjątkowe i unikatowe z racji stopnia oryginalności, sprawności technicznej, a w przypadku roweru z silnikiem - marki KEMPISTY - mieliśmy okazję obejrzeć jedyny egzemplarz w Polsce, a tym samym pewnie na świecie.

Oczywiście, nie mogło zabraknąć sztandarowego motocykla tamtych lat SOKOŁA w wersji 1000 (produkowanego dla Poczty Polskiej) oraz jego odmiany cywilnej – SOKOŁA 600 z bocznym wózkiem i jeszcze dwóch motocykli, produkowanych w Poznaniu WUL – GUM oraz MOJ z Katowic.

Wypada żałować, że wśród pokazanych egzemplarzy zabrakło motocykla z Opalenicy. LECH był jednak obecny dzięki materiałom archiwalnym, jakie są w posiadaniu Urzędu Miejskiego oraz ilustracjom komputerowym, wykonanym przez Stefana Damińskiego.



Chwila na relaks i wymianę doświadczeń



Ryszard Wosiński i Burmistrz Opalenicy – Ryszard Napierała na tle ekspozycji poświęconej opalenickiemu LECHOWI

Może dzięki tej wystawie odszukamy nowe, nieznane dokumenty lub informacje o opalenickim motocyklu.

Ekspozycję uzupełniły wydawnictwa traktujące o tematyce motoryzacyjnej: instrukcje obsługi motocykli, przedwojenne mapy drogowe oraz akcesoria motocyklowe, takie jak jeden z pierwszych polskich kasków, prędkościomierze, rękawice, sygnały dźwiękowe i inne.

Szczególne podziękowania należą się Ryszardowi Wosińskiemu, który nieodpłatnie użyczył części swojej kolekcji i poświęcił swój czas, dzięki czemu taka wystawa mogła zostać zaprezentowana w Opalenicy.

Po tym edukacyjnym przystanku jeszcze jedna runda po Opalenicy, postój na płaskowyżu, gdzie odbywały się imprezy w ramach *Najśłodszych Dni* w roku i powrót do Sielinka, gdzie muzyka na żywo i zorganizowane konkursy umilały czas uczestnikom zlotu.

Po 22.00 wystartował II Nocny Rajd Ślepego Nietoperza – w podtytule **ALEJA STRACHU**. Zawodnicy, w liczbie około 50, mieli do pokonania prawie 80. kilometrową trasę, z koniecznością zaliczania kolejnych mrożących krew w żyłach zadań, spotykając na swojej drodze różnych nieoczekiwanych gości. Te nocne harce zakończyliśmy przy ognisku około godziny 4.00 nad ranem. Niedzielne południe zakończyło spotkanie uczestników zlotu w Sielinku.

Miejmy nadzieję, że za rok będzie drugie, jeszcze większe i lepiej przygotowane. Wszystkim uczestnikom bardzo dziękuję, że znaleźli czas i chęci do odwiedzenia Opalenicy i Sielinka. Za wszelkie niedoskonałości pierwszej takiej imprezy serdecznie przepraszamy i liczymy, że za rok przyjmiecie znowu nasze zaproszenie.

Za wszelkie utrudnienia w ruchu serdecznie przepraszamy, ale przecież raz to nie zawsze i... chyba jednak warto było.

Jak powiedział jeden z uczestników zlotu, nawiązując do produkowanego w Opalenicy pierwszego polskiego motocykla: *Była to niezła lekcja ojczystej historii pokazująca, iż Polacy poza przelewaniem krwi w powstańczych zrywach, targaniem kajdan, wyrywaniem murom zębów krat i przekuwaniem kos na sztorc, tworzyli – w chwilach wolnych od walki „za wolność naszą i waszą” – zręby europejskiej motoryzacji i współtworzyli kulturę techniczną Europy Środkowej*. Natomiast o samym motocyklu LECH, jeśli oczywiście czytelnicy będą zainteresowani tematem, może będzie jeszcze okazja napisać na łamach **PRZEGLĄDU NOWOTOMYSKIEGO**.

Dożynki we Lwówku

Dożynki obchodzono w Polsce prawdopodobnie już w XVI lub na przełomie XVI i XVII wieku, kiedy to na naszych ziemiach rozwinęła się gospodarka folwarczno – dworska. Urządzali je dla żniwiarzy – służby folwarcznej i pracowników najemnych – właściciele majątków ziemskich. Była to zabawa, poczęstunek i tańce – w nagrodę za dobrze wykonaną pracę przy żniwach i zebrane plony. Żniwa były bowiem uwieńczeniem wielkiego gospodarskiego trudu, od efektów którego, tj. od ilości i jakości zbiorów, zależała ludzka egzystencja. U schyłku XIX wieku, wzorem dożynek dworskich, zaczęto urządzać dożynki chłopskie, gospodarskie. Bogaci gospodarze wyprawiali je dla swych domowników, rodziny, parobków i najemników.

W okresie międzywojennym zaczęto organizować dożynki gminne, powiatowe i parafialne. Organizowały je lokalne samorządy i partie chłopskie, a przede wszystkim koła Stronnictwa Ludowego, Kółka Rolnicze, parafie, często także i szkoły. Dożynki tamtych czasów były manifestacją odrębności chłopskiej i dumy. Z zabawy urządzonej głównie dla czeladzi dworskiej stały się świętem całego rolniczego stanu, połączonym z wystawami rolniczymi, festynami, występami ludowych zespołów artystycznych.

Po ostatniej wojnie, przez długie lata gospodarzami dożynek byli przedstawiciele władz administracyjnych i partyjnych różnych szczebli (od gminnych do centralnych) i miały one charakter polityczny. Miały bowiem wyrażać poparcie dla ówczesnej władzy i polityki rolnej, ale zachowywano



Dorodny wieniec dożynkowy ze Zgierzynki

w nich również elementy tradycyjne: uroczyste pochody z wieńcami i pieśni. Towarzystwo im także różne imprezy: kiermasze, zabawy itp.

Po 1980 roku dożynki po raz kolejny zmieniły swój charakter - pozostając świętem rolniczego stanu, stały się jednocześnie uroczystością wyznaniową i religijną, dziękczynieniem składanym Bogu i Matce Bożej za szczęśliwie zakończone żniwa i zebrane plony. Dziś dożynki mają podwójny charakter: religijny - związany z podziękowaniem Bogu za plony oraz ludowy - związany z zabawą z okazji zakończenia zbiorów.

Nawiązaniem do bogatych dożynkowych tradycji były zorganizowane we Lwówku, w sobotę 25 sierpnia 2007 r., Dożynki Powiatu Nowotomyskiego, które w tym roku zostały połączone ze Świętem Chleba. Uroczystości do-



Moment częstowania chlebem przez
Wicestarostę Nowotomyskiego Józefa Asta

żynkowe rozpoczęły się Mszą św. dziękczynną, która odbyła się w lwóweckim kościele parafialnym. Stamtąd barwny korowód na czele z Lwówecką Orkiestrą Dętą przemaszerował na rynek miasta, gdzie miała miejsce część obrzędowa - otwarcie uroczystości, prezentacja wieńców dożynkowych oraz scenek rodzajowych z życia wiosek gminy Lwówek. Kulminacyjnym momentem uroczystości było dzielenie chleba przez lwóweckich piekarzy i czę-

stowanie nim zgromadzonych na rynku mieszkańców. Tę część uroczystości uświetnił występ Zespołu Pieśni i Tańca „Polanie”. Atrakcją wieczoru był występ Wojciecha Kordy z zespołem oraz kapeli ludowej „Po Zagonach”.



Foto. Izabela Putz

Występ Zespołu Pieśni i Tańca „Polanie”

Z TEKI...

... Ewy Łodygi

... Wewnętrzne, duchowe, tajemnicze ...

Ewa Łodyga jest absolwentką Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Poznaniu (dyplom z malarstwa i wystawiennictwa w 1992 r.). Ukończyła studia w poznańskiej Akademii Sztuk Pięknych (dyplom w 1999 r. w pracowni malarstwa prof. Jerzego Kałuckiego).

W 1998 roku otrzymała nagrodę za rysunek w konkursie *Gazety Malarzy i Poetów* w Poznaniu, a w 2000 roku nagrodę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w 10. Ogólnopolskim Przeglądzie Malarstwa Młodych PROMOCJE '99 w Legnicy. W latach 1993-1999 brała udział w zbiorowych wystawach końcowych, w pracowniach prof.: J. Waltrosia, W. Świerzego, W. Marszałka, J. Kozłowskiego, J. Kałuckiego na ASP w Poznaniu, a w 1998 w wystawie „*Gazety Malarzy i Poetów*”, BWA w Poznaniu. W 1999 roku miała indywidualną wystawę dyplomową „*O Naturze*”, a w 2000 roku brała udział w Ogólnopolskim Przeglądzie Malarstwa Młodych w Galerii Sztuki w Legnicy. Przez cztery lata pracowała jako nauczyciel sztuki w Gimnazjum w Nowym Tomyślu. Obecnie jako dekorator – stylista projektuje wnętrza prywatne i publiczne. Zajmuje się również reklamą w zakresie grafiki komputerowej i fotografii. Uprawia malarstwo sztalugowe, a czasami rysuje portrety na zamówienie.

Od 25 czerwca do 31 lipca 2007 r. w nowotomyskiej bibliotece można było oglądać wystawę prac Ewy Łodygi pt. „*Obrazy*”.

...*Obrazy* Łodygi dają się interpretować jako swego rodzaju „znaki” odsyłające do tego co wewnętrzne, duchowe, tajemnicze. Mimo realistycznego przedstawiania nie odsyłają one bowiem do konkretnych modeli – raczej reprezentują pewien sposób odczuwania, są skutkiem wewnętrznych stanów emocjonalnych: bardziej odpowiadając stronie psychologii niż racjonalnej konstrukcji. Kierunek obrazowania u Łodygi przebiega od abstrakcji ku przedstawialności. Świadczy o tym choćby przekręcanie na bok obrazów i podsuwana stąd sugestia ich odbioru tylko przez analizę układu barwnych plam. Artystka specyficznie również buduje nastrój obrazów.

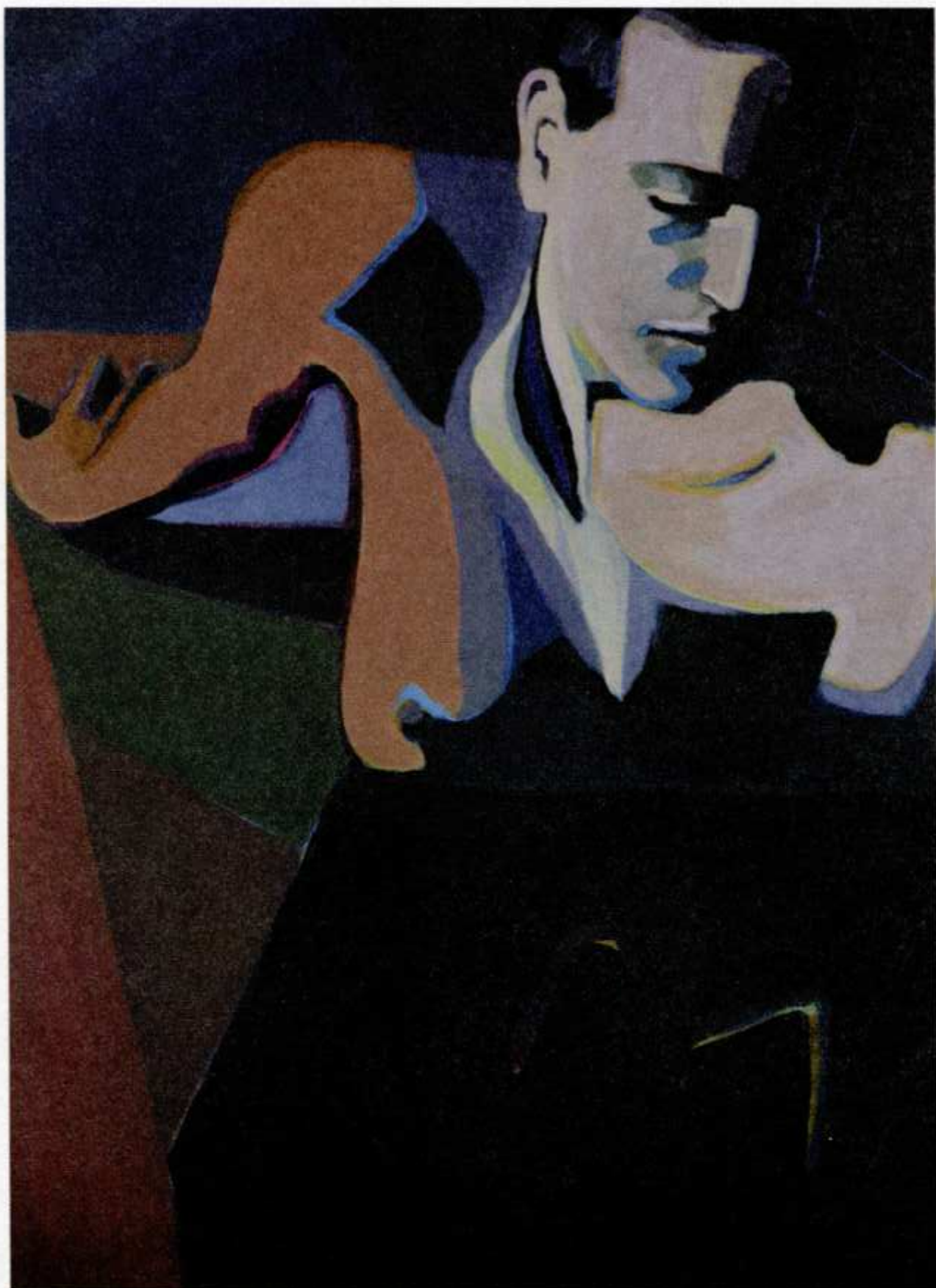
Są one konstruowane ściśle według świadomości reguł warsztatu malarskiego: okonturowane plamy barwne, kontrasty kolorów, bryłowatość postaci osiągnięta zestawieniami nieregularnych plam, wyrazistość fakturowa. W efekcie obrazy emanują pewną energetycznością – siłą zestawień światłocieniowych, ale i swoistą refleksyjnością. Ta figuracja, wynikająca z barwnych plam abstrakcji, jest również w tym wypadku na tyle dowodem pragnienia obecności co i tęsknoty za nieobecnym...



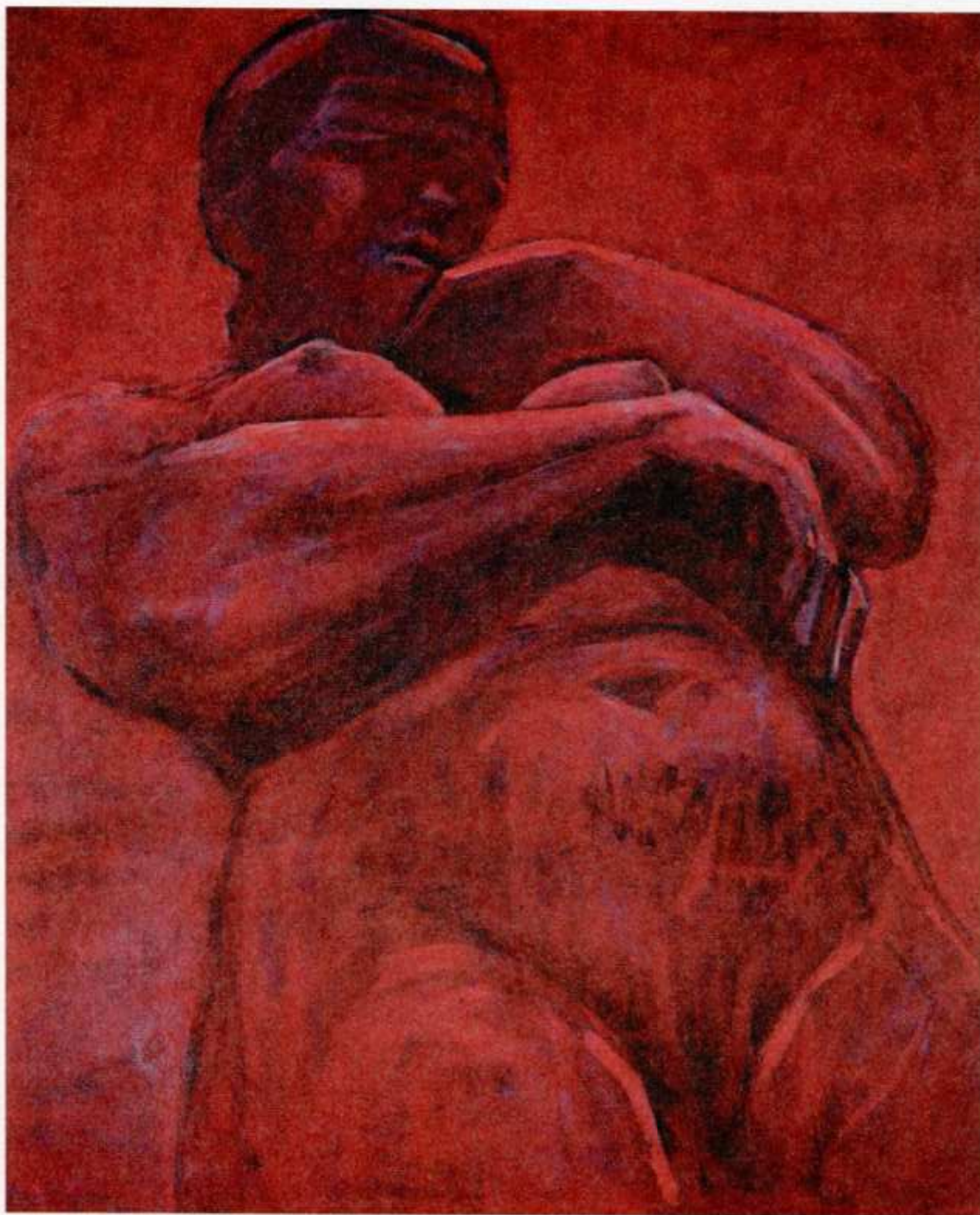
Ewa Łodyga



Z cyklu „O naturze” - *Liść*, 1999 r.



OPicasso, 2000 r.



Z cyklu „Portrety Posagów” - *Posąg 1*, 2007

Na podstawie tekstu Andrzeja Saja „(Nie) obecność” ze wstępu do katalogu będącego główną nagrodą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP w 10. Ogólnopolskim Przeglądzie Malarstwa Młodych, którą Ewa Łodyga otrzymała ex equo z Beata Cerdzyńską –

– opracowała: Sylwia Kupiec
Foto. Sylwia Kupiec, Izabela Putz

Z DZIAŁALNOŚCI NTK

O Wiklinowy Laur 2006 (III)

Kontynuując publikację utworów nagrodzonych i wyróżnionych przez jury **II Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego O WIKLINOWY LAUR**, którego organizatorami są Nowotomyskie Towarzystwo Kulturalne i Komitet Organizacyjny Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego, pragniemy dziś zaprezentować naszym Czytelnikom wiersze kolejnych jego laureatek.

Dwie równorzędne III nagrody w kategorii twórczości dorosłych przypadły:
p. **Monice Mazur** (Godło: Costa) z Radomia za cykl wierszy (bez tytułu)

i p. **Annie Piliszewskiej** (Godło: Sen o wymyślonym warkoczu i Pomarańczowy Obłok) z Wieliczki za cykl wierszy *pejzaż z motywem chmielu i wikliny* oraz za utwór prozatorski *Baśń o istnieniu*.

Lucyna Kończal-Gnap

Monika Mazur (Godło: Costa)

Pochodząca z Pionek, absolwentka Wydziału Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Marii – Curie Skłodowskiej w Lublinie, w 2001 roku ukończyła studia doktoranckie, uzyskując stopień doktora nauk humanistycznych w zakresie filozofii. Interesuje się filozofią kultury, szczególnie zagadnieniami estetyki i filozofii sztuki. Mieszka i pracuje – jako wykładowca i nauczyciel – w Radomiu.

W 2001 roku wydała debiutancki tomik wierszy *Róża wiatrów*, za który otrzymała Świętokrzyską Nagrodę Literacką, a po 3 latach ukazał się kolejny zbiór jej wierszy *Krajobraz po baśni*. Jej wiersze opublikowane zostały także w wielu antologiach i almanach (m. in. *Świat symboli* Radom 1998, *Z wichru spłynie moja miłość* Szczecin 2000, *Brodawka życia* Bydgoszcz 2000, *List oceaniczny* Toronto 2003, *Miłość niejedno ma imię* Katowice 2004). Jest laureatką wielu ogólnopolskich konkursów literackich, np. II Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Rainera Marii Rilkego (Sopot 1999), II Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Stanisława Jerzego Leca (Nowy Targ 2000), Ogólnopolskiego Konkursu Po-

etyckiego *O dzban czar-
noleskiego miodu* (Czar-
nolas 2002), XI Pia-
stowskiej Biesiady Po-
etyckiej (Piastów
2004), II Ogólnopol-
skiego Konkursu Po-
ezji im. Zbigniewa
Herberta (Otwock
2005).

Monika Mazur ma
także w swoim twór-
czym dorobku wiele
indywidualnych i zbio-
rowych wystaw pla-
stycznych. Uprawia
grafikę artystyczną (m.
in. monotypie, linory-
ty, gipsoryty) oraz ma-
larstwo olejne na płót-
nie.



uliczka nie z tego świata
zaułki zaplecione ciszą

na dnie koszy pełnia
kwiaty płyną

w wiklinowej pajęczynie
wiersza

tyle tu
niespełnionych
koszy
rozplecionych nocy
w supły dni

łąki zostaną na dłużej
siano wiatrem

echo
zawieruszy się
tu częściej

przyniesiesz go
na wiklinowym
sercu

największy kosz świata
cała łąka w środku

płyną ulicami kobierce

aż do muszli koncertowej

gdzie wiklinowe nuty spadają
z nieba
na pejzaż myśli

To Myśl co wikliną oplata
zaułki
siedzi pod parasolem
z miną frasobliwą
liczy na niebie cienie
chmur
pejzaże kwitnące

To Myśl została w koszach
spojrzenia
przemienia w szepty
To Myśl bliska światła
strudzenie wyciszone
w wiklinowym ukojeniu

Urodzona w Krakowie, obecnie mieszkanka Wieliczki, zadebiutowała na łamach czasopisma literackiego *Akant* w 2003 roku. Interesuje się literaturą (głównie polską), filozofią, historią starożytną, malarstwem oraz muzyką klasyczną. Podziela pogląd, że poezja ... *podobno nie po to jest, aby znaczyć, ale po to, żeby być*. Jej ulubionym wierszem jest *Żona Lota* Wisławy Szymborskiej, a wśród ulubionych książek wymienia m. in.: *Imię róży* Umberto Eco, *Zbrodnię i karę* Fiodora Dostojewskiego i *Dom dzienny, dom nocny* Olgi Tokarczuk.



Jest autorką tomiku wierszy *Perszerony jesienne* (2005) oraz książki *Prywatna korespondencja* (2005). Jej wiersze znajdują się w wielu antologiach poetyckich (np. *Miraże myśli* 2003, *Dialog z Panem Bogiem* 2003, *Kareta pełna marzeń* 2003, *W blasku księżyca* 2004).

Jest także laureatką konkursów literackich w dziedzinie poezji i prozy m. in.: I Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Kulki w Łomży (2003), Konkursu Literackiego *O Nagrodę Jesiennej Chryzantemy* (Płock 2004) czy Konkursu Liberum Arbitrium *Blżej ziemi, blżej nieba* (Tuchów 2005).

pejzaż z motywem chmielu i wikliny I

słońce spada –
ciężka czerwona pomarańcza
w pomarszczone oko
jeziora

mężczyźni tną wiklinę –
w spękanych sękach palców
połyskują ostrza

starcy zgięci przez czas
znoszą witki
a potem dźwigają je w chustach –
dryfują chmielu morzem
ku kropkom chat
co jak małe wysepki
rzucone w zieloność

dymią obłokiem kurzu
niewidzialne podwórka
a tam smagłookie
panny
w podkasanych sukniach
czekają na kochanków
warząc chmiel
i powoli wyplatając kosze

Pejzaż z motywem chmielu i wikliny II

zapalił się widnokręś
od rudego wschodu
szyszki chmielu szłochają
srebrną ranną rosą

Ponad okiem jeziora
śmigają

deszczowe anioły
o skrzydłach splecionych z wikliny –
z długich jasnych promieni
wypruwają ostrożnie
strzępki złota

będą potem
te dziewczęta co boso
w podkasanych sukienkach
wyplatają kosze
i chałupy –
wysepki rzucone w zieloność
poskrzypując skrzydłami
w smugi jasno złociste
ubierać

pejzaż z motywem chmielu i wikliny III

płynie cisza
podniebnym rozgwieżdżonym morzem –
czern
rozlewa się w plamach

już zdążyła zatopić pochłonać
chmiel
wysepki rozrzucone
w rozczochraną zieloność
i tych starców sękatych
i te panny nadobne

zimny srebrzysty nóż
błyska ostrzem –
z wysoka ucina
sny
godziny
gałązki wikliny

pejzaż z motywem chmielu i wikliny IV

słońce iskrzy
i stoi w zenicie

w zwierciadelku kałuży
przeglądają się panny
nadobne i bose –
zamiatają
deszczowe okruchy
koniuszkami warkoczy

zamyślane anioły
o skrzydłach splecionych
z wikliny
rozpinają łuk tęczy
nad chmielowym morzem

czas się schyla
nad krzywą zagrodą
los
jak kołacz się toczy

KRONIKA WYDARZEŃ

lipiec - wrzesień 2007

Wystawa prac Ewy Łodygi

Od 25 czerwca do 31 lipca 2007 r. w sali wystawowo-widowiskowej Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomyślu można było oglądać wystawę malarstwa nowotomysłanki **Ewy Łodygi** – zatytułowaną *Obrazy*. Więcej o artystce w tekście *Z teki... Ewy Łodygi* s. 108 – 111.

„Wielkopolska Jakość” dla Urzędu Miejskiego

Urząd Miejski w Nowym Tomyślu nagrodzony został Certyfikatem *Wielkopolska Jakość* za profesjonalizm w realizacji zadań jednostki administracyjnej oraz za dbałość o rozwój lokalnej przedsiębiorczości i podnoszenie standardu życia mieszkańców. Certyfikat odebrał Burmistrz Nowego Tomyśla Henryk Helwing podczas uroczystej gali dnia 2 lipca w Sali Czerwonej Pałacu Działyńskich w Poznaniu.



Z rąk kapituły konkursowej certyfikat odebrał Burmistrz Nowego Tomyśla Henryk Helwing

Firma "Josera" w Nowym Tomysłu

5 lipca w Nowym Tomysłu odbyło się uroczyste rozpoczęcie budowy wytwórni mieszanek mineralnych dla zwierząt przez Firmę "Josera" Sp. z o.o.

Firma "Josera" ma swoją główną siedzibę w Niemczech. Jest producentem mieszanek mineralnych dla bydła i trzody chlewnej. Zakład w Nowym Tomysłu położony będzie na działce o powierzchni 15 ha, w pobliżu bocznic kolejowej.



Rozpoczęcia budowy dokonano poprzez symboliczne wykopanie pierwszych łopat ziemi na terenie budowy zakładu

Uroczystości w Cichej Górze

14 lipca mieszkańcy Cichej Góry świętowali dwa jubileusze: 250. lecia wsi oraz 50. lecia działalności Koła Gospodyń Wiejskich.

Z okazji jubileuszu Rada Miejska w Nowym Tomysłu na wniosek mieszkańców wsi odznaczyła tytułem *Zasłużony dla Gminy i Miasta Nowy Tomysł* osoby, które w sposób szczególny przyczyniły się do rozwoju wsi. Wyróżnieni zostali: Tadeusz Plenzler - sołtys wsi Cicha Góra w latach 1946 - 66, Krystyna Bruździńska - od 20 lat sprawująca funkcję przewodniczącej Koła Gospodyń Wiejskich w Cichej Górze. Pośmiertnie odznaczenie otrzymał niedawno zmarły Wincenty Wójcik - żołnierz Armii Krajowej, członek organizacji niepodległościowych, współorganizator i pierwszy prezes Kółka Rolniczego w Cichej Górze.

Wyróżnienia od Komitetu Organizacyjnego obchodów jubileuszy 250. lecia wsi i 50. lecia KGW otrzymali: Teofil Klimek - najstarszy rodowity mieszkaniec Cichej Góry, Cecylia Rajczak - najstarsza rodowita mieszkanka Cichej Góry, Maria i Antoni Walkowiakowie - najstarsze stażem małżeństwo we wsi, Dominika Dziubała - wieloletnia przewodnicząca Koła Gospodyń Wiejskich,

Dionizy Różycki – sołtys wsi w latach 67 – 87 oraz Roman Kupiec – sołtys wsi Cicha Góra w latach 1988 – 90. Jubileusz ćwierćwiecza istnienia wsi upamiętniony został odsłonięciem jubileuszowego kamienia pamiątkowego.



Gratulacje i życzenia od przybyłych gości odbierali sołtys Cichej Góry Krzysztof Rupa i przewodnicząca KGW Krystyna Bruździńska

„Ogrody działkowe dla seniorów”

Pod takim tytułem od 16 lipca do 3 sierpnia odbyły się trzy jednodniowe turnusy wczasów dla seniorów z terenu miasta i gminy Nowy Tomyśl. Miejscem spotkań i aktywnego wypoczynku seniorów był Rodzinny Ogród Działkowy im. Karola Świerczewskiego w Nowym Tomyślu. Seniorzy uczestniczyli w spotkaniach z ciekawymi ludźmi, biesiadach, gimnastyce prowadzonej przez rehabilitanta. Odbyły się też wyjazdy do Ośrodka Rehabilitacyjnego w Puszczykowie, na Warsztaty Terapii Zajęciowej do ogrodów działkowych w Zbąszyniu oraz do Muzeum Wikliniarstwa i Chmielarstwa w Nowym Tomyślu. Seniorów w każdym tygodniu odwiedzali uczestnicy Środowiskowego Domu Samopomocy w Nowym Tomyślu, którzy wraz z seniorami przygotowywali tradycyjne potrawy regionalne.

Zagrał Pireus

W ramach cyklu spotkań „Pod grabem” 20 lipca przed nowotomyską publicznością wystąpił zespół *Pireus* grający muzykę grecką. Zespół pochodzi z Bolesławca, a na scenie muzycznej istnieje już kilka lat. W Nowym Tomyślu wystąpił z półtoragodzinnym programem.

Święto Policji

Z okazji dorocznego Święta Policji w dniu 25 lipca odbyła się uroczysta gala, podczas której policjanci z całego powiatu nowotomyskiego odebrali awanse na wyższe stopnie służbowe. W uroczystości uczestniczyli goście z Komendy

Wojewódzkiej Policji w Poznaniu, przedstawiciele władz samorządowych powiatu i gmin oraz reprezentanci organizacji i instytucji.

Wakacyjne pikniki

28 lipca na terenie dwóch nowotomyskich wsi Paproć i Przyłęk odbyły się wakacyjne pikniki, podczas których najmłodsi mieszkańcy tych miejscowości mogli skorzystać z wielu atrakcji przygotowanych przez dorosłych. W Paproci dzieci uczestniczyły w konkurencjach sportowo-rekreacyjnych oraz obejrzały pokaz sprzętu ratowniczego przygotowany przez strażaków. Dla dzieci bawiących się w zajeździe konnym „U Huberta” w Przyłęku, wielką atrakcją były przejażdżki kucykami oraz konkurencje sprawnościowe. Wieczorem zabawę rozpoznała dorosłość.

Remont zabytkowego magistratu

Wybudowana w 1900 roku kamienica, w której obecnie mieści się Urząd Miejski w Nowym Tomyślu została gruntownie odrestaurowana. Wyremontowano elewację budynku oraz dach, zainstalowano iluminację frontowej ściany budynku. Obecna kolorystyka budynku nawiązuje do pierwotnego jego wyglądu. Wszystkie prace przeprowadzone zostały zgodnie z zaleceniami Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Ta warta ponad 444.000,00 zł inwestycja zakończona została 28 lipca.

Program dla seniorów

Od lipca do listopada, dwa razy w tygodniu seniorzy ze Starego Tomyśla uczestniczą w zajęciach organizowanych w ramach programu pt. *Młody Senior*, opracowanego przez Zarząd Rejonowy Polskiego Czerwonego Krzyża w Nowym Tomyślu. Seniorzy spotykają się ze znanymi osobami, uczestniczą w zajęciach edukacyjnych i kulturalnych, które odbywają się w świetlicy wiejskiej. Program obejmuje także wyjazdy, np. do teatru.

Harcerskie przyrzeczenie

Z okazji 100. lecia skautingu harcerze i instruktorzy z hufca Związku Harcerstwa Polskiego w Nowym Tomyślu odnowili przyrzeczenie harcerskie. Stało się to o wschodzie słońca 1 sierpnia, w leśnej bazie w Sękowie. Przy ognisku, na wspólnym śpiewie, wspominając dawne lata spotkały się trzy pokolenia harcerzy, którzy podobnie jak cała bracia harcerska na świecie postanowili uczcić tę jubileuszową noc. Więcej o tym wydarzeniu w tekście *Jeden świat - jedno przyrzeczenie*, s. 20-24.

Sportowo-rekreacyjnie w Bukowcu

11 i 12 sierpnia w Bukowcu upłynęły na imprezach sportowo-rekreacyjnych zorganizowanych w ramach Festynu Kulturalno-Sportowego. Mieszkańcy wsi bawili się przy muzyce w wykonaniu zespołów z Bukowca i Cichej Góry, uczestniczyli w strzelaniu z wiatrówki i łuku, przyglądali się pokazom karate i szkolenia psów obronnych. Odbył się także XVII Turniej Piłki Nożnej im.

Czesława Duszyńskiego oraz rozegrano mecz pomiędzy oldbojami *Korony Bukowiec* i *Lecha* Poznań.

Święto działkowców

17 sierpnia na terenie Rodzinnego Ogrodu Działkowego im. Karola Świerczewskiego w Nowym Tomyślu odbył się VI Powiatowy Dzień Działkowca. W święcie tym uczestniczyli działkowcy z całego powiatu nowotomyskiego oraz zaproszeni goście. Ważnym punktem uroczystości było rozstrzygnięcie konkursów dla działkowców. W tym roku w kategorii *Najpiękniejsza działka rekreacyjna* wygrał ogród Bogumiły i Mariana Krause, II miejsce zdobył Tadeusz Pilarski, III – Lucyna i Andrzej Borowczakowie. W kategorii na *Najlepszą działkę warzywną* najwyżej oceniony został ogród Alojzego Ruty, na II miejscu uplasowała się działka uprawiana przez Annę i Józefa Chojnackich, a na III miejscu ogród Urszuli i Jana Szałków. W konkursie *Najpiękniejsza działka warzywno-rekreacyjna* wygrał ogród Joanny Nowaczyk, II miejsce za swą działkę zdobyli Teresa i Eugeniusz Jazgar, a III – Bogumiła Miałkas.



Dzień Działkowca był okazją do wspólnej zabawy i integracji

Festyn nad jeziorem w Biesenthal

18 sierpnia gmina Nowy Tomyśl promowała swoje walory podczas festynu nad jeziorem Wukensee w Biesenthal – partnerskim mieście w Niemczech. Na nowotomyskim stoisku można było zaopatrzyć się w ulotki i foldery niemieckojęzyczne oraz drobne pamiątki z miasta. Na specjalnie na tę okazję przygotowanych 8 tablicach tematycznych znajdowały się opisy i zdjęcia prezentujące historię, gospodarkę, kulturę i walory turystyczno-przyrodnicze Nowego Tomyśla, historię współpracy oraz zdjęcia Biesenthal uwiecznione nowotomyskim obiektywem. Swoją działalność prezentował również Nowotomyski Ośrodek



Mieszkańcy Biesenthal chętnie degustowali produkty nowotomyskiej mleczarni

Kultury. Uczestnicy festynu mogli degustować wyroby nabiałowe z Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej "TOP" Tomyśl. Na stoisku z wyrobami wiklinowymi odbywał się całodzienny pokaz wyplatania.

Piotr Hojan – najlepszym siatkarzem turnieju

W dniach 17-19 sierpnia odbyły się we Wrześni V Mistrzostwa Pracowników Samorządowych w siatkówce plażowej. Nowy Tomyśl reprezentowali Leszek Gruszkiewicz ze Starostwa Powiatowego i Piotr Hojan z Urzędu Miejskiego. Za najlepszego siatkarza turnieju organizatorzy uznali Piotra Hojana, naczelnika Wydziału Geodezji, Urbanistyki i Gospodarki Nieruchomościami nowotomyskiego magistratu.

Rajd rowerowy

180 rowerzystów uczestniczyło w Rajdzie Szlakiem Chmielu i Wikliny, który zorganizowany został przez Klub Turystyki Rowerowej „Szarka” z Nowego Tomysła w dniach 24-26 sierpnia. Organizatorzy wytyczyli dwie trasy. Trasa szosowa biegła przez Belęcin, Boruję, Kuźnicę Zbąską, Cichą Górę, Nowy Tomyśl, Jastrzębsko Stare do Zbąszynia. Szlak szosowo-szutrowy wiódł przez Łomnicę, Chrośnicę, Boruję, Kuźnicę Zbąską, Cichą Górę, Nowy Tomyśl, Grubsko do Zbąszynia. Trasa rajdu biegła przez tereny atrakcyjne turystycznie oraz obrazujące wikliniarsko-chmielarskie tradycje Nowego Tomysła, np. Muzeum Wikli-

niarstwa i Chmielarstwa i gospodarstwo rolne wyspecjalizowane w uprawie chmielu.

Jarmark Chmielo-Wikliniarski

Od 31 sierpnia do 2 września trwał nowotomyski Jarmark Chmielo-Wikliniarski. Do Nowego Tomyśla przybyły tysiące osób, aby uczestniczyć w tradycyjnych elementach tego święta takich, jak obrzęd jarmarkowy, korowód, konkursy chmielo-wikliniarskie. W tym roku przed publicznością wystąpiły gwiazdy estrady: zespół Kombii, Reni Jusis, Robert Janowski, Kabaret pod Wyrwigroszem i wielu innych wykonawców.



W tym roku obrzęd jarmarkowy przygotowali mieszkańcy Bukowca

I Międzynarodowy Konkurs Plecionkarski

1 września odbył się I Międzynarodowy Konkurs Plecionkarki zorganizowany w ramach Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego. Do konkursu przystąpiły cztery drużyny. Międzynarodowe jury pod przewodnictwem artysty Jędrzeja Stępa przyznało pierwsze miejsce reprezentacji Francji, za wykonaną z białej wikliny pracę przedstawiającą postać człowieka. Drugie miejsce zajęła Korporacja Rudnik nad Sanem, wykonawca wiklinowego ptaka, trzecie miejsce przypadło Stowarzyszeniu Plecionkarzy i Wikliniarzy Polskich – twórcom wiklinowej ławki. Reprezentacja Ukrainy zajęła czwarte miejsce za wyplecenie wiklinowego wazonu. Pomysłodawcą imprezy i jej komisarzem był Andrzej Pawlak, wiceprezes Stowarzyszenia Plecionkarzy i Wikliniarzy Polskich.



Reprezentant zwycięskiej francuskiej drużyny z pamiątkowym pucharem

Oblicza czasu...

W sobotę, 1 września 2007r., w ramach obchodów *Dnia Niepodległości Ukrainy i Jarmarku Chmielo-Wikliniarskiego* w sali wystawowej Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomysłu otwarta została wystawa grafiki Władi-



mira Bachtowa i malarstwa Ołeksandra Dobrodija - *Oblicza czasu*. Wystawę, której organizatorem był Konsul Honorowy Ukrainy w Poznaniu - Łukasz Horowski, można było oglądać do 15 IX 2007r.

Jarmarkowy debiut PRZEGŁĄDU NOWOTOMYSKIEGO

W czasie tegorocznego Jarmarku Chmielo - Wikliniarskiego swoje miejsce wśród stoisk promocyjnych znalazł również nasz kwartalnik społeczno - kulturalny. Redaktorzy PRZEGŁĄDU NOWOTOMYSKIEGO i członkowie Nowotomyskiego Towarzystwa Kulturalnego w dniach 1 i 2 września prowadzili sprzedaż pierwszego i drugiego numeru pisma. Goście stoiska mogli również zapoznać się z treściami periodyku oraz uzyskać informacje o warunkach udziału w jego współredagowaniu.



Przedstawiciele redakcji - Sylwia Kupiec i Bogumił Wojcieszak oraz stała - mamy nadzieję - czytelniczka.

Tureckie pejzaże

Z dniem 3 września w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Nowym Tomyślu otwarta została wystawa akwarel Zdzisława Połącarza *Tureckie pejzaże*. Większość prac ukazuje malownicze tereny Riwiery Tureckiej. Wystawa jest pokłosiem wycieczki artysty do Turcji.

Spotkania Dyskusyjnego Klubu Książki

4 września w nowotomyskiej bibliotece publicznej odbyło się pierwsze powakacyjne spotkanie Dyskusyjnego Klubu Książki, którego tematem były *Opowieści starego Kairu* N. Mahfuz. Członkowie Dyskusyjnego Klubu Książki, po raz

kolejny – 18 września spotkali się – w nowotomyskiej księgarni publicznej. Tym razem tematem rozmów klubowiczek była kontrowersyjna powieść Frederica Beigbedera *Windows on the World*.

Punkt paszportowy

5 września w budynku Starostwa Powiatowego w Nowym Tomyślu otwarty został Terenowy Punkt Paszportowy. W miejscu tym obsługiwani będą mieszkańcy powiatów nowotomyskiego, grodziskiego, międzychodzkiego i wolsztyńskiego. Aby zapewnić osobom niepełnosprawnym możliwość korzystania z biura, zainstalowany został schodolaz.

Nagrody dla nowotomyskich działkowców

8 września w Częstochowie odbyły się obchody Krajowych Dni Działkowca, w których wzięła udział także delegacja z Nowego Tomyśla. Uroczystość rozpoczęła się Mszą świętą w bazylice na Jasnej Górze. Podczas obchodów wręczone zostały nagrody i dyplomy okolicznościowe laureatom konkursu na najlepszy Rodzinny Ogród Działkowy i Wzorową Działkę 2007 roku. Decyzją Prezydium Krajowej Rady Polskiego Związku Działkowców wśród laureatów znaleźli się także działkowcy z Nowego Tomyśla. Pracowniczy Ogród Działkowy „Złote Piaski” uhonorowany został tytułem *Rodzinny Ogród Działkowy Roku 2007*, natomiast państwo Elżbieta i Marian Patela otrzymali nagrodę *Wzorowa Działka 2007* za działkę nr 109 w Pracowniczym Ogrodzie Działkowym „Złote Piaski”.



Nowotomyscy działkowcy na obchodach Krajowych Dni Działkowca w Częstochowie

Zachowaj Trzeźwy Umysł

10 września w Centrum Olimpijskim w Warszawie odbył się finał kampanii *Zachowaj Trzeźwy Umysł*, podczas którego wręczono główne nagrody laureatom konkursów. Wśród zwycięzców znalazła się absolwentka Gimnazjum w Nowym Tomysłu - Urszula Marchewka, nagrodzona w konkursie „Poznaję siebie i innych”.

Na szczelbu gminy uroczystego podsumowania kampanii i wręczenia nagród osobom wyróżnionym dokonano 8 września. Wśród nagrodzonych uczniów znaleźli się nowotomyscy gimnazjaliści: Martyna Majchrowska, Karolina Geisler, Alicja Hancyk oraz absolwenci klasy III c, a także klasa VI d ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Nowym Tomysłu i uczeń Szkoły Podstawowej nr 2 - Mateusz Dłużewski. Otrzymali oni nagrody z rąk Burmistrza i Pełnomocnika ds. rozwiązywania problemów alkoholowych.

Plener malarski - PORAŻYN 2007

W dniach od 10 do 24 września 2007 roku w Ośrodku Szkoleniowo-Wypoczynkowym Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Porążynie odbył się plener malarski zorganizowany przez Okręg Poznański Związku Polskich Artystów Plastyków. Plener, organizowany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Gabinetu Prezydenta Miasta Poznania, jak również Urzędu Marszałkowskiego, skupiał artystów z Ukrainy, Białorusi oraz dwie artystki - malarki z Czech i Włoch. Dzięki nieocenionej pomocy zakochanego w swym mieście Mariana Czajki, artyści mieli okazję podziwiać piękno Nowego Tomysła. Wystawa poplenerowa prezentowana była w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Nowym Tomysłu w dniach od dnia 24 września do 14 października br.



Usportowione gimnazjum

12 września w Kleczewie odbyła się Wojewódzka Inauguracja Roku Sportowego 2007/2008, podczas której podsumowano rywalizację sportową szkół województwa wielkopolskiego za rok szkolny 2006/2007. Wśród wyróżnionych szkół gimnazjalnych, spośród 409 klasyfikowanych gimnazjów, na piątym miejscu uplasowało się Gimnazjum w Nowym Tomyślu i zdobyło tytuł *Najbardziej Usportowionej Szkoły w Wielkopolsce*. Wynikiem tym nowotomyskie gimnazjum obroniło swoją pozycję sprzed roku.

Produkty regionalne

12 września w Sielinku odbyła się siódma edycja konkursu na najlepszy regionalny i lokalny produkt żywnościowy, którego celem jest poznanie regionalnych produktów oraz przygotowanie ich producentów do ubiegania się o ochronę zgodną z ustawodawstwem unijnym. Kapituła konkursowa wyłoniła laureatów w poszczególnych kategoriach. Nowotomyskimi laureatami są: Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska TOP Tomyśl, która uzyskała II miejsce za masło ekstra oraz Stefan Słociński, właściciel zakładu mięsnego z Bukowca, któremu przyznano III miejsce za leberkę wędzoną (wątrobiankę).

Maturalny jubileusz

15 września maturzyści rocznik 1957 świętowali jubileusz 50. lecia ukończenia Liceum Ogólnokształcącego w Nowym Tomyślu i przystąpienia do egzaminu dojrzałości. Uroczystość rozpoczęła się Mszą św. w kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Nowym Tomyślu. Absolwenci spotkali się z nauczycielką języka francuskiego, wychowawczynią jednej z klas prof. Zofią Nitsche, która wzięła udział w uroczystości. Pani Profesor wraz ze swoimi uczniami wspominała lata spędzone w nowotomyskim ogólniaku. Na grobach zmarłych profesorów, kolegów i koleżanek uczestnicy jubileuszu złożyli kwiaty i zapalili znicze.

Warsztaty plastyczne

W czwartek, 20 września 2007r. uczniowie klas IV Szkoły Podstawowej nr 1 w Nowym Tomyślu wzięli udział w warsztatach plastycznych zorganizowanych przez Oddział dla Dzieci nowotomyskiej biblioteki publicznej, pod hasłem *Rzeźbimy z Emilem*. Warsztaty zorganizowane zostały w ramach obchodów 100. rocznicy urodzin Astrid Lindgren. Dzieci wraz z Krystyną Kozłowską – artystką plastykiem z Kuśliny tworzyły formy przestrzenne z drutu i bibuły.

Żegnali lato

21 września Klub Osiedlowy Spółdzielni Mieszkaniowej zorganizował dla mieszkańców osiedli i miasta festyn pt: *Pożegnanie lata*. Część sportowo-rekreacyjna festynu przeznaczona była dla dzieci, rozrywkowa – dla starszej widowni. Seniorzy z Klubu Seniora „Srebrny Włos” z latem pożegnali się podczas obchodów „Dnia Turystyki” odbywającego się w wigwamie w Grubsku.



Klub Osiedlowy przygotował wiele atrakcji dla dzieci

Młodzi wyplatają



Efektom tygodniowej pracy młodych plecionkarzy jest płot okalający Dworek Myśliwski

Od 24 do 30 września na terenie Muzeum Wikliniarstwa i Chmielarstwa w Nowym Tomysłu trwały V Spotkania Młodych Plecionkarzy. W imprezie uczestniczyło 21 osób z pięciu placówek oświatowych: Uniwersytetu Ludowego Rzemiosła Artystycznego w Woli Sękowej, Liceum Sztuk Plastycznych im. Józefa Chełmońskiego w Nałęczowie, Centrum Kształcenia Praktycznego w Skwierzynie, Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 4 w Kwidzynie oraz Zespołu Szkół Agroekonomicznych w Dobrocinie koło Morąga. W tym roku młodzi plecionkarze doskonalili swój kunszt poprzez wyplatanie płotu wokół dworku myśliwskiego. Uczestniczyli też w prelekcjach, spotkaniach z artystami i zwiedzaniu gospodarstwa wikliniarskiego.

Wystawa w dworku

24 września w Dworku Myśliwskim otwarta została wystawa pt. *Skwierzyna - miasto o tradycjach wikliniarskich. Młodzi plecionkarze z Centrum Kształcenia Praktycznego*. Na czynnej do 30 listopada ekspozycji oglądać można m. in. współczesne prace uczniów Centrum, wyposażenie pracowni plecionkarskiej oraz fotografie z lat 60 i 70.

Spotkanie z pisarką

24 i 25 września 2007 r., w ramach cyklu: *Twórca i jego dzieło*, w nowotomyskiej księgarni odbyły się spotkania autorskie z Ewą Stadtmüller - autorką poczytnych książek dla dzieci. 24 września pisarka spotkała się z dziećmi w Filii w Jastrzębsku Starym oraz w Filii w Wytomyślu, 25 września z najmłodszymi



czytelnikami Oddziału dla Dzieci Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomyslu i Gminnej Biblioteki Publicznej Miedzichowa - w Filii w Bolewicach.

Nowotomyslanie pamiętają

26 września w Poznaniu odbyła się uroczystość odsłonięcia Pomnika Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej. Nowy Tomyśl na uroczystości reprezentowany był przez delegacje władz samorządowych gminy i powiatu oraz poczty sztandarowe uczniów nowotomyskich szkół, strażaków z ochotniczych straży pożarnych i harcerzy. Budowa pomnika finansowana była m. in. ze środków przekazanych przez samorządy gminne i powiatowe województwa wielkopolskiego, w tym również przez Urząd Miejski i Starostwo Powiatowe w Nowym Tomyslu.



Po Mszy św. w Bazylice Archikatedralnej ulicami Poznania odbył się przemarsz do Parku im. Henryka Wieniawskiego, gdzie nastąpiło odsłonięcie Pomnika Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej.

Dla miłośników podróży

Istniejący od 2 lat w nowotomyskiej bibliotece KLUB MIŁOŚNIKÓW PODRÓŻY „Przez kontynenty” powakacyjnym spotkaniem, które odbyło się 27 września 2007 r. zainaugurował kolejny rok swego istnienia. W podróż do *Mongolii - kraju Czyngis - chana* zabrała klubowiczów dobrze znana, bo patronująca

Klubowi podróżniczka – Katarzyna Mazurkiewicz rodem z Porażyna. Klub serdecznie zaprasza tych miłośników przygody i podróży (choćby tylko *palcem po mapie*), którzy chcieliby od września brać udział w spotkaniach.



„Silva Rerum”

28 września w Nowotomyskim Ośrodku Kultury nastąpiło otwarcie wystawy fotografii autorstwa Jolanty Owczarczak. Ekspozycja zatytułowana została „*Silva Rerum*”. Na miejsce wystawy swoich prac autorka wybrała Nowotomyski Ośrodek Kultury, ponieważ właśnie tutaj zrodziło się jej zamiłowanie do sztuki.

Jolanta Owczarczak – *Zdjęcia na tej wystawie to moja zabawa formą, odkrywanie różnych technik fotografowania.... żeby przedstawić kilka snów, które zrodziły się w mojej głowie.*

Wzorowy Producent Żywności

Sołtys Cichej Góry Krzysztof Rupa prowadzący gospodarstwo rolne został nagrodzony certyfikatem i statuetką *Wzorowy Producent Żywności* za wysoką produkcję mleka, przedsiębiorczość w warunkach gospodarki wolnorynkowej i dbałość o środowisko naturalne. Nagroda przyznana przez Korporację Producentów Żywności – Klub Promocji Jakości wręczona została 29 września podczas targów *Polagra Farm* w Poznaniu.

Opracowała: Marzena Kortus

Zdjęcia: Archiwum Urzędu Miejskiego w Nowym Tomyslu, Foto Gabi



Tomasz Andrzejewski

Absolwent Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Wydział Nauk Społecznych Instytut Nauk Politycznych i Dziennikarstwa – specjalizacja marketing polityczny. Od 2001 roku związany zawodowo z Urzędem Miejskim w Opalenicy (informacja publiczna i promocja gminy).



Lidia Gałęcka

Polonistka, nauczyciel z wieloletnim stażem w placówkach oświatowych Nowego Tomyśla. Członek Nowotomyskiego Towarzystwa Kulturalnego. Zainteresowania: literatura piękna, historia, edukacja regionalna.



Lucyna Kończal – Gnap

Dyrektor Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomyślu, wiceprezes Zarządu NTK, animatorka wielu wydarzeń kulturalnych. Kierowana przez nią placówka biblioteczna stanowi od lat ośrodek, mogący poszczycić się m. in. bogatą ofertą wydarzeń kulturalno – edukacyjnych i własnym tytułem prasowym *Suplement*.



Marzena Kortus

Pracownik Urzędu Miejskiego w Nowym Tomyślu. Zainteresowania: literatura, fotografia i kulinaria. Publikowała w prasie codziennej i periodykach: *Kronika Wielkopolski* i *Przegląd Wielkopolski*.



Zdzisław Kościański – doktor nauk humanistycznych, pracownik Wielkopolskiego Kuratorium Oświaty w Poznaniu; autor blisko 300 publikacji, przewodniczący Komisji Historycznej Zarządu Głównego Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego 1918/1919. Komisarz wielu wystaw o tematyce historyczno- patriotycznej, prelegent sesji naukowych i popularnonaukowych.



Arno Kraft

Autor cennych poznawczo publikacji poświęconych dziejom powiatu nowotomyskiego, m. in.... *und dazwischen Neutomischel*. Nowotomyszanin sercem i urodzeniem, obecnie mieszkaniec Berlina. Z wykształcenia nauczyciel geografii, wspomaga nowotomyskich regionalistów swoją wiedzą i cennymi zbiorami.

Sylvia Kupiec

Kulturoznawca, pracownik Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomyszu. Zainteresowania: socjologia kultury, współczesne zjawiska społeczno – kulturowe, media tradycyjne i elektroniczne, najnowsza historia Polski, muzyka, film.

**Izabela Putz**

Romanistka, pracownik Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Nowym Tomyszu i Nauczycielskiego Kolegium Języków Obcych w Starym Tomyszu. Dziennikarka tygodnika *Nasz Dzień po Dniu*. Zainteresowania: psychologia społeczna, realia społeczno-polityczne, kultura Białorusi i Ukrainy, a także muzyka i literatura francuska.

**Tadeusz Szymański**

Nadleśniczy Nadleśnictwa Bolewice. Absolwent Wydziału Leśnego Akademii Rolniczej w Poznaniu. Pochodzi z Sopotu, od 1983 roku mieszkaniec Bolewic. Pasjonuje się przyrodą, sportami zimowymi, wodnymi oraz... wnuczkami. Zainteresowania: muzyka współczesna, film.

**Andrzej Wałęsa**

Dyrektor Gimnazjum im. Feliksa Szołdrskiego w Nowym Tomyszu, nauczyciel chemii, działacz społeczno - kulturalny (m.in. Prosinfoniki). Członek Zarządu Nowotomyskiego Towarzystwa Kulturalnego

**Ewa Wojtanowska**

Prezes S. U. P. „Roltech” w Opalenicy. Działaczka społeczna. Założycielka pierwszego szczepla harcerskiego w Opalenicy. Członek komendy i sekretarz Rady Przyjaciół Harcerstwa Hufca ZHP w Nowym Tomyszu. Członek Nowotomyskiego Towarzystwa Kulturalnego. Pasjonuje ją poezja i muzyka poważna.

**Edmund Żurek**

Geograf, ekolog, regionalista, długoletni nauczyciel w Zespole Szkół Ogólnokształcących i Policealnych im. M. Kopernika w Nowym Tomyszu, wiceprzewodniczący Rady Powiatu I kadencji (1998-2002), prezes stowarzyszenia Forum Obywatelskie Powiatu Nowotomyskiego.



